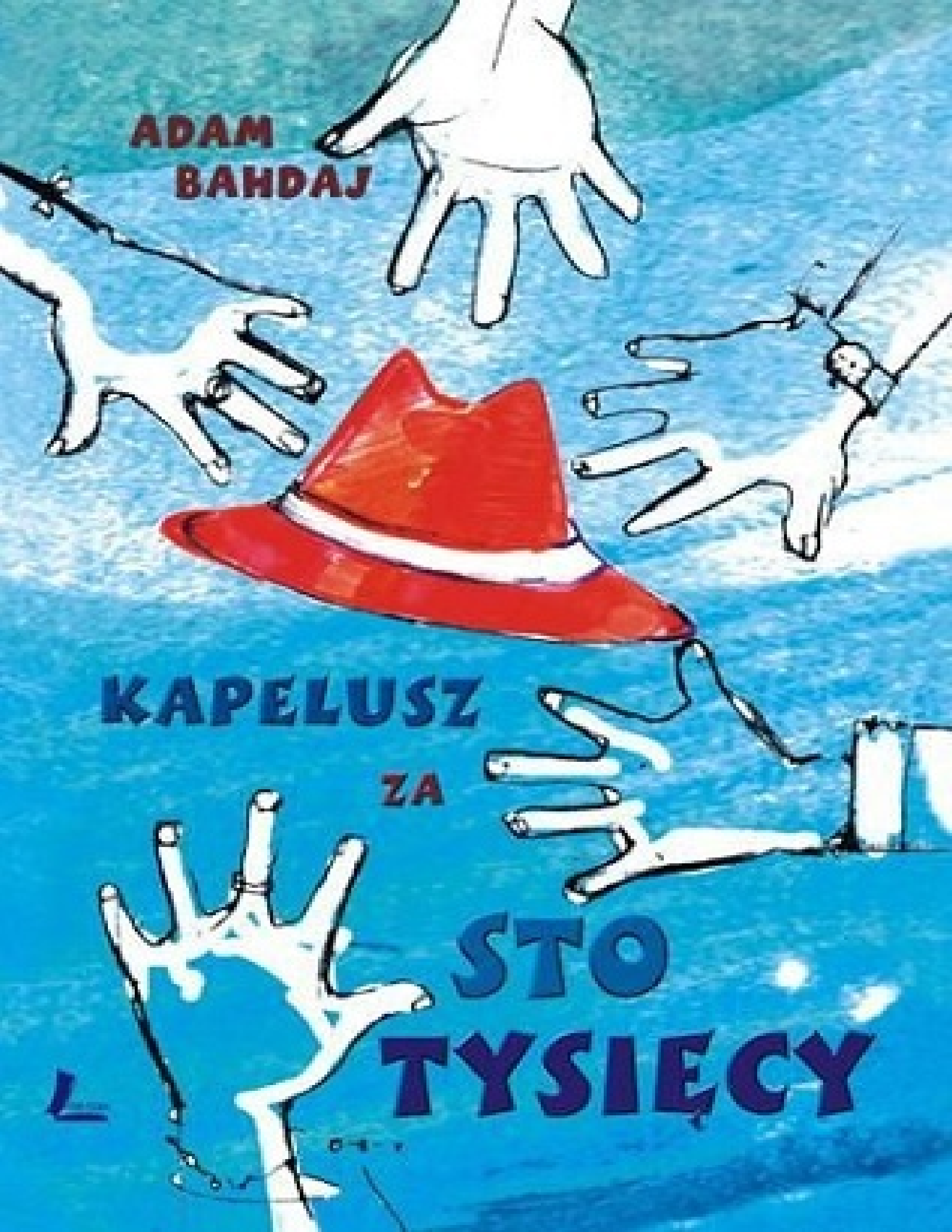


**ADAM
BANDAJ**

KAPELUSZ

ZA

**STO
TYSIĘCY**



Adam Bahdaj

Kapelusz Za Sto Tysięcy

BYŁAM SZEFEK GANGU

W czwartek przyjechaliśmy do Nieborza. Zaczynam jednak od soboty, bo w czwartek i w piątek nic się nie działo, a skoro nic się nie dzieje, to trudno o tym pisać.

W sobotę padał deszcz, a potem zaczęła się ta zwariowana historia z kapeluszem za sto tysięcy...

Zanim jednak przystąpię do kapelusza, powinnam się przedstawić. Nazywam się Krystyna Cuchowska, mam lat dwanaście, przeszłam do szóstej klasy i jestem podobno dziewczynką. Ale daję słowo, to jakaś pomyłka. Od urodzenia powinnam być chłopcem i nazywać się — Krystyn Cuchowski. Mam o to wielki żal do rodziców. Bo pomyślcie, jak czuje się dziewczyna, która ma usposobienie chłopca, a w przyszłości chciałaby być szlachetnym szeryfem, ózeryf rozprawia się z bandą Zezowatego Jima i rozkochuje w sobie piękną córkę sędziego Richardsona wprost do nieprzytomności. Czyż ja w przyszłości będę mogła rozkochać złotowłosą Mary, wyrwać ją z rąk Zezowatego Jima, stanąć z nią przed ołtarzem, a potem obsypać złotem i perłami?

Ale trudno, jestem dziewczynką i muszę się z tym pogodzić.

Oficjalnie jestem Krystyna Cuchowska, lecz koledzy nazywają mnie — Dziewiątka. Morowo, co? Byłam bowiem szefem gangu na Saskiej Kępie, w Warszawie, i ośmiu ! ? starszych ode mnie szczeniaków słuchało mnie jak własnej matki.

Zapytacie, jak zostałam szefem gangu, skoro z całej naszej dziewiątki byłam jedyną dziewczynką, i do tego najmłodszą? To proste; Felek z Zakopiańskiej powiedział, że ten będzie szefem, kto wszystkich pokona. Na mnie w ogóle nie liczyli. Myśleli, że będę im chodziła do sklepu po cukierki albo cerowała skarpetki. O, nie, moi drodzy! Nie wiedzieli, że w tajemnicy przed wszystkimi zapisałam się na kurs dzudo. Gdy przyszło do próby, najpierw dałam pucówkę najstarszemu i nasilniejszemu — Felkowi z Zakopiańskiej. Biedak rozplakał się, a inni nie. chcieli już ze mną walczyć. Nazwali mnie Dziewiątką, a potem usługiwali mi i przynosili lody.

Mieliśmy mnóstwo wspaniałych planów, jednak skończył się rok szkolny i wszyscy rozjechali się na wakacje. Moja rodzina wyruszyła nad morze do Nieborza. Na wczasy — proszę sobie wyobrazić!

Wczasy rodzinne polegają chyba głównie na tym, że dzieci zatruwają życie rodzicom, a rodzice dzieciom. To ma być wypoczynek! Początkowo miałam wdychać jod, żeby mi się wzmocniły migdałki i żebym przyjechała zdrowa ?? Warszawy. Ale jak tu wdychać, skoro tyle ciekawszych zajęć, na przykład zbieranie bursztynów, nie mówiąc już k o rozwiązywaniu zagadki kapelusza za sto

tysięcy...

Nieborze składa się z morza, plaży i reszty, a reszta \ składa się z domów i ulic, które krzyżują się przeważnie | pod kątem prostym i mają dość ciekawe nazwy; na przykład — ulica Żart, ulica Słowicza, ulica Uskok... Z Żartu po prostu boki można zrywać, a na Słowiczej wcale nie ma słowików, tylko wróble i makolągwy.

Nasz dom wczasowy nazywa się „Ustronie”. Stoi — jak na pośmiewisko — na samym środku ulicy Plażowrej. Mieszkamy na pierwszym piętrze pod trzynastką. Tata z Jackiem — mój młodszy brat, pożał się Boże — wciąż chodzą na ryby, a mama gra z paniami w brydża. Jeżeli jest pogoda, grają na plaży; jeżeli nie ma, w świetlicy. Zdaje mi się, że mama po to tylko wyjechała do Nieborza, żeby przegrać premię, którą tata otrzymał w czerwcu w fabryce za jakiś pomysł racjonalizatorski. Czy nie mogła przegrać tych pieniędzy w Warszawie?

Ja tymczasem marzę o wielkiej przygodzie...

Dni w Nieborzu dzielą się na dni pogodne i niepogodne. W pogodne dni wszyscy siedzą na plaży, w niepogodne — w kawiarni „Jantar” albo na tarasie hotelu „Pod Trzema Żaglami”.

Wszystko w Nieborzu jakoś się dzieli. Nawet letnicy i wczasowicze dzielą się na takich, którzy mają porażenie słoneczne pierwszego, drugiego lub trzeciego stopnia, bo ponoć za długo siedzieli na plaży, a teraz schodzi im skóra

i są podobni do łuszczących się czerwonoskórych Indian. Dlatego Nieborze przypomina wioskę indiańską, której mieszkańcy cierpią na łuszczycę.

SPOTKANIE Z ORNITOLOGIEM

W czwartek i piątek było piekło, trzydzieści stopni

w cieniu. Smażyliśmy się w promieniach ultrafioletowych

i w innych — w jakich kto chciał. A w sobotę generalna

klapa. Podobno nad Skandynawią zaległ nagle wielki niż

i przemieścił się nad nasze wybrzeże, tak jakby nie miał

nic innego do roboty. To skandal, nad Skandynawią niż,

a my musimy cierpieć i patrzeć, jak za oknami pada deszcz.

Wszyscy nagle zwiesili nosy na kwintę i chodzili ze

znudzonymi minami. Tylko tata pogwizdywał od rana.

Mówił, że jak deszcz, to lepiej biorą ryby. Jacek też tak mówił, bo zawsze powtarza za tatą. Wzięli więc rowery, peleryny, gumowe buty, wędki i pojechali w niewiadomym kierunku.

Mama narzekała, że ją łamie. Nie wiedziała, w którym miejscu, lecz bardzo się krzywiła i wypytywała, czy na dole w świetlicy grają już w brydża. Niestety, nie grali, więc mama zaczęła narzekać na ludzi, którzy zamiast zerwać się o świcie, wylegują się w łózkach i nie wiadomo o czym myślą.

Żał mi było mamy, więc zahaczyłam nieśmiało:

— Może byśmy poszły na spacer.

— W taką pogodę? — zdziwiła się.

— Pójdziemy zbierać bursztyny. Wczoraj nazbierałam pół słoika.

8

— W taki deszcz?

— Wczoraj nie było deszczu.

Ach prawda, zupełnie o tym zapomniałam. Jeżeli masz ochotę, to idź sama.

— Mamusiu, przecież obiecywałaś w Warszawie...

— Tak, ale dzisiaj podle się czuję.

— Jestem pewna, że spacer dobrze ci zrobi.

— Wyjrzyj, czy jeszcze pada.

— Pada, mamusiu.

— No, proszę, chcesz mnie wygnąć z moim ischiasem

na taką pluchę. Okropność!

— W takim razie pójdę sama — powiedziałam zdecydowanie.

— Idź, moja droga, tylko ubierz się ciepło, bo podobno

straszny wiatr.

— Włożę wellingtony i pelerynę. Nic mi nie będzie.

— I gruby sweter, bo cię przewieje.

— I jeszcze co?

— Może dres Maćka. Wisi w szafie.

— Dziękuję. Będę wyglądała jak bokser.

Mama chciałaby, żebym włożyła na siebie wszystko, co mam. Zgodziłam się jedynie na sweter.

— Żebyś mi się tylko nie przeziębiła.

Oczywiście, dla rodziców po to jedynie wychodzimy, żeby się przeziębic, a potem wysłuchiwać: „A widzisz, a mówiłam, gdybyś mnie słuchała, to nie dostałabyś kataru”. Tak jakby katar nic nie robił, tylko czyhał na

zdrowie.

Ubrałam się szybko. Spojrzałam w lustro. W wellington -kach, w džinsach i w zielonej pelerynie wyglądałam jak Robin Hood, wybierający się na łowy, a może nawet lepiej.

i)

— Ciao, mamusiu! - zawołałam, porwałam słoik i wybiegłam z domu.

Na dworze padał deszcz... waiobraz.

Muszą przyznać, że podobał mi się deszczowy ^ajobr Od morza szedł wiatr. Na wysokim brzegu gięły ?<< klonach sosny. Ich korony, jak flagi, trzepotały^ smu Mymi masztami pni. Kilka przewróconych kos^yJe na pustej plaży, a morze z szumem i syk em nacer brzeg. Grzywiaste fale osiadały na piasku n^ 2™ daleką podróżą potwory. Pozostawiały po sol»iOD z piany, drobnych muszelek i ciemnego k»*«« nu Nad mołem w porywach wiatru krążyły mewy?? pianie i dziko. A deszcz... Deszcz me !«****LL, Można sobie wyobrazić, że to olbrzymie natryski, p

z nieba. , „hiełam po

Wydałam radosny okrzyk - ahój! - i z^tt * schodkach na plażę. Po mokrym, ubitym P^^ szło się jak po asfalcie Minęłam, molo, *e^abm « w lewo, w stronę wioski rybackiej i ^™rS* ?3 Szłam wzdłuż wymytego przez fale b^^^ tykiem wśród osadu żwiru, muszelek i, morszczyń, łam bursztynowych skarbów poszuki-

Pyszna zabawa! Wyobraziłam sobie, że jestem P waczem złota w Klondike. Czasem. ^^ybJm snął bursztyn. Wtedy puszczałam się bieg - k ^ obawiała się, że ktoś mnie ^ed\Z ""Jzncalara łam bryłkę

bursztynu, ważyłam 3ą w dłoni

do słoika. -?.,*«??«& 7? nie zauwa-

Tak byłam zajęta zbieraniem bursztynów, że n

żyłam łodzi. , Szłam dalej

Leżały na piasku jak wielkie, smęte ryuy w stronę latarni morskiej.

10

z

Naraz tuż przed sobą ujrzałam skuloną postać. Ktoś bliżał się do mnie z przeciwnej strony. Jeszcze jeden poszukiwacz- skarbów. Traf chciał, że między nami, wśród muszelek, błysnął fantastycznie duży kawał bursztynu. Uirzeliśmy 6° jednocześnie. Ja jednak byłam szybsza. Skoczyłam do przodu i przydepnęłam bursztyn nogą. -. To mój! — zawołałam zdobywczo.

__ A figa, ja go pierwszy zobaczyłem!

Przede mną stał rosły chłopiec. Miał duże, zielone oczy, jasne włosy, a gęba tak mu się łuszczyła, że pozał się Boże. Patrzył na mnie zadziornie. W pierwszej chwili chciałam mu ustąpić, ale nie spodobało mi się jego zaczepne spojrzenie.

__ Właśnie że ja — powiedziałam wyzywająco.

__ Wpierw trzeba ustalić.

__ Bursztyn leżał na mojej drodze.

W oczach chłopca zobaczyłam niebezpieczne błyski.

— Dawaj — powiedział — bo cię trzepnę!

— Spróbuj!

Chłopiec chciał mnie pchnąć, lecz zanim mnie dosięgnął, zastosowałam jeden z piętnastu zasadniczych chwytów i jak worek piasku przerzuciłam go przez ramię. Proszę bardzo, bohater leży na piasku, a ja się śmieję. Zdaje mi się, że był bardzo ambitny, bo zerwał się i ruszył na mnie z zaciśniętymi pięściami. Wystarczył jednak ledwo widoczny ruch nogi, żeby znowu zarył łuszczącym się nosem. Gdy wstał, roześmiałam się jeszcze głośniej.

— No, spróbuj!

Nie miał ochoty. Rzucił mi tylko przez zaciśnięte zęby:

— Nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia.

— I ty też nie masz.

— Jestem najlepszym ornitologiem w klasie.

11

Ae. „Ornitolog! Cóż to takiego? Może Zamurowało ^eStępca albo... lichy go wie?" Nie mo-
niebezpieczny Pj^na. głam mu być di szefem gangu! — zawołałam. — Słysza-

— A ja jeste^askiej Kępy? łeś o Dziewiąte6 przyjemności, bo mieszkam na Mo-

__ Nie mia^ kotowie. .gm. Jestem Dziewiątka i mam pod sobą

__ To ci pow^ ty) szczeniaków, rozumiesz?

ośmiu takich, Ja oWiedział. — Nie zaimponujesz mi. Ja

__ Mięta —' K Wisłą, znalazłem trzy gniazda remizów.

w Wilanowie, n» tej pory nie słyszałam nigdy o remi-Zbaraniałanr łam przyjemności oglądać ich
gniazd, zach ani nie & g się kpiąCo i wyjaśnił: Chłopiec uśmieC takij kt6re nad wodą budują
fantastycz-" _ Remizy t0.aZda. Jeśli chcesz, to mogę pokazać ci ne, wiszące gn f0biłem.

zdjęcia. Sam I? siedziałam już mniej zادیornie. __ pokaż -^ P.g mam przy sobie, tylko w domu.
Niestety» p kasz?

Gdzie ^ej, w „Marysieńce' To świetną te gniazda.

__ Na SłoWic wpadnę do ciebie, strasznie jestem cie-

kawa, jak wyg" fantastycznie. _____

__ Mówię ci» .wnę? .

__ Jak ci »a

__ Maciek-

__ ? tobie? ?????? nazywają mnie Dziewiątka.

__ Krysia, ale.e siódemka?

__ Dlaczego0 *\ Dyło nas dziewięcioro, rozumiesz?

__ Bo w gallg

_ Rozumiełaziemi bursztyn.

Podniosłaś

12

_. Masz, jeżeli ci tak na nim zależy.

_. Ależ nie, to głupstwo. Nie wiedziałem, że jesteś szefem gangu.

— Masz — powiedziałam. — Możesz nawet powiedzieć, że dostałeś ode mnie.

— Dziękuję ci, to będzie naprawdę miła pamiątka. Przyjrzałam mu się dokładniej. Był wysoki, zgrabny

i miał żywe ogniki w oczach. Może nawet nadawałby się do mego gangu na zastępcę szefa.

— Chciałbyś być w moim gangu? — zapytałam.

— Dziękuję. Jestem przecież ornitologiem.

— A cóż to takiego?

— Zajmuję się ptakami.

— To musi być nudne. Zastanów się. Zrobimy tutaj bandę i napadniemy na hotel „Pod Trzema Żaglami”. Będzie fantastyczna zabawa.

— Ja wolę ptaki — odparł z uporem.

— Trudno. W każdym razie przyjdę zobaczyć te zdjęcia gniazd remisów.

— Remizów — poprawił mnie. — Zapamiętaj, Słowicza siedemnaście, willa „Marysieńka”.

— Ciao! — podałam mu rękę.

Odsunął się przezornie, uniósł dłoń do czoła i pożegnał mnie po żołniersku.

TO NIE MÓJ KAPELUSZ

Wracałam z pełnym słoikiem złocistych bursztynów. Czułam się jak poszukiwacz złota z Klondike, wracający do domu z pełnym workiem złotego piasku. Ale nawet najwspanialszy poszukiwacz złota jest tylko człowiekiem

13

, czuje, że ma pustkę w żołądku. Ja również i po dniu Pra postanowiłam wzmocnić nadwątlony organizm, więc i ją ilością kalorii. Grunt to kalorie! nizm odpow1 ,icy Słowiczej i Jana z Kolna

poczułam się 'Na rdgu_ jepiej. Zobaczyłam bowiem wielki szyld: jednak ^tlZ°TA JANTAR — zaprasza na smaczne lody „KAWIA^ em własnego wyrobu". Na myśl o lodach i rurki z . i0dowato, rurki z kremem natomiast wpro-

" 4IL/

zrobiło f"1 ?^ t>łogi nastrój.

wadziły inniec,ród z moknącymi na deszczu barwnymi pa-Minęłgrn ° ja#i do parterowego pawilonu. Ogarnął mnie rasolami» ^e ,ch kawy, wanilii i świeżego ciasta. Na bu-rozkoszny yCzał nikłowy ekspres, a sala była nabita do fecie wes°*° . .gLg. Na jednym metrze kwadratowym dzie-ostatnieg0 inkażda coś Piła> ia<^ła' coś mówiła i paliła pa-sięć osób» a ^ słowem, poczekalnia w piekle. Gdyby pierosy. ^e . uvin uciekła, lecz dla rurek z kremem warto nie rurKb ^

się pošť^cl ' -?? ociekając deszczem. Szukałam wolnego Stałaś c ty, w deszczowy dzień w „Jantarze" łatwiej miejsca. Nie iecy, aniżeli jedno wolne krzesło. Pomyśla-znaleźć st0 yfZy bufecie.

łam, że zjern ^01??? pelerynę. Powiesiłam ją na wieszaku. Zrzuci*arri ncie zwróciłam uwagę na dwa kapelusze. W tym rn°n jgdnich hakach jak dwa bliźniaki. Były to Wisiały n& 0i beżowej popeliny z gęsto stębnowanymi letnie kap^s26 rondami- . -?i jakby prosto ze sklepu, i oba suche. Ich

Oba H°wlU wali zapewne parasoli. właścici^6 u y ^nie, po czym można odróżnić takie dwa Zast8ttoW1 gjtisze? A zresztą, niech się o to martwią identycz*16 Łoś mnie niepokoiło, chociaż wtedy nie

ich właśc*lele'

14

przypuszczałam jeszcze, że kapelusze staną się największą sensacją letniego sezonu. Tymczasem spoczywały spokojnie na sąsiednich hakach, jak gdyby je zostawili bracia syjamscy.

Zamówiłam dwie rurki z kremem, usiadłam na parapecie okna, wzięłam „Przegląd Sportowy" i zaczęłam studiować tabelę dziesięciu najlepszych wyników lekkoatletycznych na świecie. Po chwili zupełnie zapomniałam o kapeluszach.

Naraz spostrzegłam, że ktoś podchodzi do wieszaka. „Wytworniś" — oceniłam go jednym spojrzeniem. Młody mężczyzna wyglądał, jakby go przed chwilą wycięto z londyńskiego żurnala: elegancki garnitur z szarej flaneli, śnieżnobiała koszula, granatowy jedwabny krawat, a wszystko spod igły najlepszego krawca. Przy tym mina lordow-

15

ska, a spojrzenie zdobywcy Mont Everestu. „Przystojniak!" — śniady, ogorzały, włosy ciemne, krótko przystrzyżone z zabójCZym przedziałkiem na boku. A w zębach krótka, pękata fajeczka. Jednym słowem — goguś, który zlażł wprost 2 ekranu.

Zanim zdążyłam lepiej mu się przyjrzeć, Goguś (tak go będę nazywać) sięgnął po kapelusz. Wahał się, który z dwóch zdjąć z wieszaka. Trwało to mgnienie oka. Potem zdecydowanym ruchem zdjął kapelusz wiszący bliżej drzwi wejściowych, przełożył go do lewej ręki, wziął stojący w kącie parasol i wolnym, niemal majestatycznym krokiem skierował się do drzwi.

Zapamiętałam każdy jego ruch, jakby to był film kręcony w zwolnionym tempie. Po chwili ujrzałam go w ogrodzie. Bez pośpiechu otwierał parasol. Kapelusz wciąż trzymał w ręku. Wydało mi się to nieco podejrzane. Po jakie лихо wydawać forszę na kapelusz, żeby później nosić go w ręku? A może to należy do dobrego tonu?

Goguś tymczasem sprężystym i pełnym elegancji krokiem przemierzał ogród, a gdy znikł w bramie i skręcił w ulicę Jana z Kolna, widać było tylko czarny parasol sunący nad żywopłotem niby spadochron.

Wtedy do wieszaka zbliżył się drugi mężczyzna. Najpierw zobaczyłam jego wielką łysinę, potem szerokie plecy. Ubrany był bardzo niedbale: flanelowa* koszula, na niej stara wełniana kamizelka, welwetowe, wytarte spodnie i rozczłapane trampki.

Wolno, ospale sięgnął po pozostały kapelusz. Chciał go włożyć, lecz nagle przyjrzał mu się uważnie. Obracał chwilę w pulchnych dłoniach, odwrócił dnem do góry, zajrzał do środka, a potem odsunął i powiedział głośno, dobitnie:

IR

— Przecież to nie mój kapelusz!

We mnie coś drgnęło, coś podszeptało mi, że zaczyna się niezwykła przygoda: oto kawiarnia nabita ludźmi, a tylko ja jedna zauważyłam pomyłkę. Podeszłam, dygnęłam i powiedziałam:

— Proszę pana, przed chwilą jakiś pan zabrał wiszący obok kapelusz. Jeśli pan chce, to wyskoczę. Może go jeszcze dogonię.

Łysy jegomość uśmiechnął się dobrodusznie.

— Będę ci bardzo wdzięczny, ale czy to warto... w taki deszcz.

— Głupstwo — powiedziałam i wybiegłam z kawiarni. Byłam ogromnie ciekawa, jaką minę zrobi Goguś, gdy mu powiem, że zabrał cudzy kapelusz. Niestety, nie zobaczyłam jego miny, bo Goguś rozpląnął się w mglistym powietrzu. Pobiegałam do rogu ulicy Jana z Kolna, potem sto kroków w lewo, zawróciłam sto kroków w prawo. Nic, tylko pustka i deszcz, a w deszczu ja z miną rozczarowaną i z mokrą głową, jak wariatka.

Zniechęcona zawróciłam do kawiarni. W progu czekał już na mnie łysy jegomość. Nerwowo przecierał szkła okularów i mrużył krótkowzroczne oczy.

— Ale zmokłaś, moja panno — przywitał mnie. — Mówiłem, że nie warto.

— To głupstwo... I proszę się nie przejmować, bo dobrze sobie zapamiętałam tego pana.

Jegomość założył okulary.

— Jesteś bardzo uprzejma. Sądzę jednak, że to zwykła pomyłka, a ów pan, gdy się tylko zorientuje, odniesie kapelusz do kawiarni.

— I mnie się tak zdaje — powiedziałam. —: Zresztą,

2 Kapelusz za 100 tysięcy

17

czy to ma jakieś znaczenie? Kapelusze były przecież identyczne.

— Skąd wiesz?

— Mam wyrobione oko. Jestem pewna, że miały nawet ten sam numer. Proszę zmierzyć.

Jegomość patrzył na mnie z niedowierzaniem. Wolnym ruchem przykrył łysinę.

— Jak ulał — powiedział zdziwiony. — Ty rzeczywiście masz wspaniałe oko.

— Ba — uśmiechnęłam się tajemniczo — gdyby pan wiedział, z kim ma do czynienia, toby się pan tak nie dziwił.

Jegomość zmrużył porozumiewawczo oko.

— Jestem ogromnie ciekaw.

— Szef gangu — dodałam szeptem.

Jegomościa zamurowało. Dopiero po chwili roześmiał się ni w pięć, ni w dziewięć.

— Może się pan śmiać z siebie — powiedziałam. — Zamienili panu kapelusz, a pan nic nie spostrzegł. A ja muszę za pana uważać.

Jegomość zatarł pulchne, obsypane rudawym włosem dłonie.

— To pięknie, że jesteś szefem gangu. Pomożesz mi odnaleźć kapelusz.

— Przecież ten leży jak ulał.

Jegomość zdjął kapelusz, obracał go w dłoniach i przyglądał mu się uważnie.

— Tak — rzekł w zamyśleniu — leży jak ulał, a jednak nigdy bym go nie oddał.

! — Nie rozumiem, przecież...

— Nie warto zastanawiać się nad tym — przerwał ?I. — Mam nadzieję, że ten człowiek odniesie mój kape-

18

lusz do kawiarni, a ten zostawię tymczasem u kelnerki. Bądź zdrowa, szefie gangu! Dziękuję ci serdecznie. Byłaś naprawdę bardzo miła i uprzejma. A gdybyś przypadkiem spotkała tego pana, to powiedz mu, że kapelusz jest w „Jantarze”.

MOŻE PANA DUCH BYŁ W „JANTARZE”?

Dziwak! Kapelusz leży na jego łysinie jak ulał, a on mówi, że „nigdy by się nie- zamienił”. I jeszcze śmieje się ze mnie. Ciekawe, co by powiedział, gdyby zobaczył ośmiu moich gangsterów z Saskiej Kępy? Na pewno zrzędlaby mu mina.

I w ogóle, co mnie obchodzi jego kapelusz.

Zjadłam dwie rurki z kremem. Pycha! Po dwóch rurkach zaraz świat inaczej wygląda. Nawet deszcz przestaje padać, a spoza chmur wygląda słońce.

Spojrzałam na zegarek. Była dwunasta. W „Ustroniu”, obiad podają dopiero o drugiej. Miałam dwie godziny przed sobą. Postanowiłam podziwiać naturę.

W Nieborzu najlepiej podziwia się naturę z wysokiego brzegu, który wznosi się zaraz za domkami campingowymi. Rozciąga się stamtąd wspaniały widok na morze, na fale, na bałwany i na siną dal.

Szłam wolno ulicą Jana z Kolna. Była to ulica starych willi i zacisznych domków. Wszędzie starannie utrzymane ogrody, pełno kwiatów, drzew, ozdobnych krzewów. I pełno śpiewu ptaków. Przyjemnie było iść wśród ogrodów lśniących jeszcze deszczową świeżością, pachnących, rozśpiewanych.

Minęłam miejscowe boisko. Zamiast piłkarzy ujrzałam białą, brodatą kozę i dwa łaciate koziołki. A potem zoba-

19

-Lzkę z napisem — ŻART i znowu zachciało mi łam t^łowiek, który nazwał tak uliczkę, musiał być się śmia^^?i???

bardzo &° tfe wa-ska, wysypana czystym żwirem. Wyglą-UliczK^ iVe^ wydrażony w zieleni drzew i krzewów.

dała jaK xoM cia-gna-ł si^ niski mur' z PraweJ> Poza ogr°-Z lewei ^^rucianej siatki, pod koronami wysokich jesio-dzenieh1 ^> t>y^° ^ac^ z czerwonej dachówki, a w głębi nów wi^'a gospodarskie. Między domem a zabudowa-zabudo^^ \$ si<? °grod- Kilka karłowatych jabłonek, zdzi-niami ó-^Aii aerestu- Zarośnięte klomby i grządki tonęły czałe kff ^wastów.

w dżun^1 ^?^? tak^e ma^e u^czki i takie zapuszczone
Bard^ W w nich coś smętnego, tajemniczego. Znako-
ogrody- \^?^? sie- do zabawy w Indian albo w gangste-
micie ^ tJam w unc^ ^art z uczuciem> iakby za chwilę
rów. S^t^ C0Ś bardzo dziwnego-
miało 5\$ ^ ? ścieżce prowadzącej z domu do furtki ujrza-
Nar^ ^?i? sylwetkę. Ten sam elegancki garnitur, ta
łam zfl^k^itelna koszula, ba, ten sam krawat i nawet ta
pi^ dna wytworność w ruchach, a w ustach krótka
sama pf^jeczka. Słowem, Goguś z „Jantaru” we własnej
anioł^ -^ mi §° zsyła^! Genialny facet, na zawołanie
osrbie- o2ptywac i zJawiać w nieoczekiwanym momen-
umie S^ pKaJ' zaraz zahaczę cię o ten kapelusz".
cie. flFc%nczasem, jak gdyby nigdy nic, zbliżał się do
Gog^ '?? lonłowska, w jednej ręce zwinięty parasol,
furtki- ^powiutki kapelusz z popeliny, a w zębach wy-
w dri^ Widocznie taki fason. Wydało mi się, że jestem
gasła i^b° śni?- Gdy Jednak Goguś pchnął furtkę i wy-
na filtfl^ lic^ zrozumiałam, że szczęśliwy zbieg okoliczno-
szedł <V te§° człowieka.

ści z^1

20

Zrobiłam bardzo poważną minę, a gdy się ze mną zrównał, zahaczyłam:

— Proszę pana, zdaje się, że to pan przez pomyłkę zamienił w kawiarni kapelusz.

Goguś stanął jak wryty. Najpierw spojrzał na mnie, potem na kapelusz, a potem wybąkał zdumiony:

— Ja?... W kawiarni?... Kapelusz?...

— W „Jantarze”, pół godziny temu.

— W „Jantarze”? — zrobił jeszcze pociesniejszą minę.

— Przecież pan był w „Jantarze” i pomyłkowo zabrał pan z wieszaka inny kapelusz.

— Ty się chyba mylisz, moja droga.

— Bardzo przepraszam, ale ten pan, któremu pan zabrał kapelusz, prosił mnie, żebym pana zawiadomiła.

— To śmieszne — przerwał mi opryskliwie. — Po pierwsze, nie byłem w „Jantarze” a po drugie, nikomu nie zabrałem kapelusza.. I bardzo cię proszę, nie rób niesmacznych żartów.

Miałam uczucie, jakbym dostała pałką w łeb, i zobaczyłam wszystkie gwiazdy z Gwiazdą Polarną na pierwszym planie.

— Terę, fere — zawołałam — to pan kpi sobie ze mnie. Przecież widziałam na własne oczy. Pan nie wie, z kim pan ma do czynienia.

Zabiłam mu porządnego ćwieka, bo uśmiechnął się cierpko i wyjął fajeczkę z zębów. Był to najoczywistszy znak, że się denerwuje.

— Panienko — powiedział z przekąsem — czego właściwie chcesz ode mnie?

Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Gdy zobaczyłam, że w fajce nie ma tytoniu, parsknęłam nagle śmiechem.

21

— Proszę odnieść kapelusz do „Jantara” i oddać go kelnerce, bo właścicielowi bardzo na nim zależy.

Myślałam, że zblednie i zacznie się tłumaczyć, a on tymczasem uniósł kapelusz do moich oczu.

— Śmieszne — powiedział. — Przecież to mój własny kapelusz. O, proszę — wywrócił go dnem do góry i wskazał na skórzaną wkładkę. — Widzisz monogram?

Chwilowo nic nie widziałam, bo byłam bardzo przejęta, ale po chwili na wkładce dostrzegłam wypisany czarnym tuszem monogram WK.

— Koń by się uśmieł! — prychnęłam. — To przecież może być monogram tamtego pana.

Goguś syknął zniecierpliwiony:

— W takim razie powiedz, jak się nazywa tamten pan.

— Niestety, nie wiem.

— Więc nie zawracaj mi głowy. — Ze złością trzepnął kapeluszem o kolano i włożył fajeczkę do ust. Był to znak, że nie chce ze mną dłużej dyskutować.

— Chyba pana duch był w Jantarze — powiedziałam. Goguś wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył sprężystym krokiem w stronę ulicy Jana z Kolna.

Zbaraniałam, jeżeli człowiek w ogóle może zbaranieć. W głowie czułam zamęt. W uszach dźwięczały mi jeszcze słowa: „Po pierwsze, nie byłem w „Jantarze”, a po drugie, nie zabrałem nikomu kapelusza...” Gdyby to było na ulicy Słowiczej, mogłabym jeszcze uwierzyć, ale na ulicy Żart? ' O, nie, mój panie, żartować możesz, ale nie z Dziewiątką. Dziewiątka ma głowę na karku i dobre oczy. Albo pan udaje ducha, albo po prostu wypiera się beczelnie.

Stałam chwilę jak sparaliżowana, wnet jednak ocknęłam się. Postanowiłam go śledzić. Gdy dobiegłam do rogu ulicy

22

Jana z Kolna, nie ujrzałam już szarego garnituru ani pope-linowego kapelusza.

Dziwna historia! Wyszłam dzisiaj z domu jako szef gangu z Saskiej Kępy, a wracałam jako detektyw.

PRZEPRASZAM, JAK SIĘ PAN NAZYWA?

Po południu znowu padał deszcz. Mama grała na dole w świetlicy w brydża, tata czytał gazetę, a Jacek nic nie robił, tylko ziewał. Ja natomiast myślałam o kapeluszu.

Sprawa była niezwykle skomplikowana. Wyłaniało się kilka możliwości: albo Goguś zamienił kapelusz, a dla zmylenia śladów dopisał potem monogram; albo Goguś nie zamienił kapelusza, tylko łysemu jegomościowi w okularach zależało na tym, żeby inni myśleli, że zamienił; albo... tych „a 1 b o” mogło- być jeszcze kilka. Szkoda było czasu na „albo”. Należało wpierw sprawdzić, co się stało z zamienionym kapeluszem, i rozwiązać fascynującą zagadkę.

Wyszłam z domu, jakby nigdy nic. Jest to pierwsza zasada dobrego detektywa — tak się zachowywać, żeby robić wrażenie, że nic się nie robi. Otuliłam się szczelnie peleryną, nasunęłam na oczy kaptur, żeby mnie nikt nie poznał, i poszłam na ulicę Jana z Kolna. Udawałam, że słucham, jak deszcz pada, że podziwiam piękno natury i architekturę domów, że myślę o niebieskich migdałach, a tymczasem krążyłam między ulicami — Żart, Słoneczną, Plażową i Jana z Kolna. Miałam bowiem nadzieję, że przestępca zjawi się na miejscu przestępstwa. Najbardziej kapowałam na kawiarnię „Jantar”.

Jak na złość nic się nie działo, tylko deszcz dzwonił na blaszanych dachach monotennie i sennie. Zaczęłam ziewać,

a skoro zaczęłam ziewać, zachciało mi się spać i już miałam wracać do domu, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, usłyszałam za sobą znajomy głos:

— No cóż, moja droga, nie spotkałaś tego pana? Obejrzałam się. Za mną stał łysy jegomość. Łysinę miał

wprawdzie przykrytą płócienną furażerką i osłoniętą parasolem, ale to nie zmieniało faktu, że był łysy. Spoglądał na mnie spoza grubych szkieł okularów i uśmiechał się dobroduszenie jak wujaszek.

W pierwszej chwili chciałam mu opowiedzieć o dziwnym spotkaniu z Gogusiem, ale w samą porę ugryzłam się w język. Prawdziwy detektyw nigdy nie odkrywa swych kart. Zawsze robi tajemniczą minę i udaje, że nic nie wie. Powiedziałam więc niezwykle poważnie:

— Niestety, taki deszcz... Nie wychodziłam prawie z domu.

Jegomość przymrużył żartobliwie oko.

— Nie wychodziłaś z domu, a jesteś mokra, jakbyś pływała w pelerynie.

Prawdziwy detektyw musi mieć błyskawiczną orientację. Odparłam więc:

— Pelerynę pożyczyłam jednej dziewczynce, która mieszka w tym samym domu.

— To pięknie. Widzę, że dla wszystkich jesteś jednakowo uprzejma.

— A pan sprawdzał, czy tamten facet odniósł kapelusz?

— Właśnie idę zapytać. Może wstąpisz ze mną? Zobaczymy, jaka jest sytuacja.

— Z przyjemnością — zgodziłam się skwapliwie. — Sama jestem ciekawa... bo przecież pierwsza zauważyłam tę pomyłkę.

- Masz dobre oko — zaśmiał się jegomość. Zachowywał się zupełnie tak, jakby był dobrym wujaszkiem. Osłonił mnie parasolem, otoczył ramieniem i poszliśmy do

„Jantaru”.

Po obiedzie w kawiarni było prawie pusto. Najazd na „Jantar” zaczynał się dopiero po piątej.

Dobry wujaszek, jak gdyby nigdy nic, zapytał kelnerkę o kapelusz. Młoda dziewczyna w białym fartuszu uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Bardzo mi przykro, ale nikt się nie zgłosił.

— Ha, trudno — rzekł zasepiony. — Miejmy nadzieję, że do wieczora przyjdzie. — Naraz spojrzał na zroszone szyby. — W taki deszcz... nie należy się dziwić. — I zwrócił się do mnie: — Nie odmówisz porcji kremu?

Wspaniałomyślnie nie odmówiłam. Chciałam bowiem przeprowadzić szczegółowy wywiad w sprawie kapeluszy i wiedzieć, co piszczą w trawie. Tymczasem pisał tylko ekspres do parzenia kawy. Dobry wujaszek posadził mnie naprzeciw siebie, zamówił dwie porcje czekoladowego kremu i westchnął.

Skorzystałam z chwili ciszy.

— Czy pan jest pewny, że zamieniono panu kapelusz?

— Jak dwa razy dwa jest cztery.

„Za bardzo pewny” — zanotowałam w pamięci. — Ciekawe! — powiedziałam głośno.

— Co ciekawe? — zdumiał się jegomość.

— W ogóle... Na przykład, po czym rozpozna pan swój kapelusz, skoro oba były prawie takie same?

— Widzę, że podchodzisz fachowo. Ale to zupełnie proste. Kapelusz, gdy go kupiłem, był ciut, ciut za duży, więc pod skórzaną wkładkę włożyłem pasek z gazety.

— Dobrze, a czy przypomina pan sobie, jaka to była gazeta?

— Ho, ho... zadajesz coraz wnikliwsze pytania. Trudno mi teraz powiedzieć. W każdym razie jakaś warszawska gazeta: „Express” albo „Życie Warszawy”, gdyż innych nie czytam.

— Innych znaków rozpoznawczych kapelusz nie posiadał?

— Nie.

— W takim razie, dlaczego panu zależy na tym kapeluszu? Ten, który został, pasuje jak ulał i do tego nie trzeba podkładać gazety.

— Brawo! Widzę, że jesteś nie tylko wnikliwa, ale również praktyczna. Zaczynasz mi się podobać. Muszę ci jednak powiedzieć, że nie mogę tak łatwo pozbyć się tamtego

20

kapelusza. Zdradzę ci pewną tajemnicę. Zapłaciłem za niego sto dwadzieścia sześć złotych...

— Czy to ma jakieś znaczenie? — wtrąciłam. Uśmiechnął się zagadkowo.

— Teraz żadnego. W tej chwili wart jest tyle, ile za niego zapłaciłem, lecz jutro, w niedzielę, może mieć wartość stu tysięcy, a może i więcej...

W tym momencie zapomniałam, że mam być obojętna.

— Sto tysięcy, a może i więcej! — wyszeptałam z przejęciem. — Ale dlaczego?

Dobry wujaszek przytknął palec do ust gestem nakazującym milczenie.

— Niestety, tego nie mogę ci w tej chwili wyjawić.

— Pan chyba jest czarodziejem. Dobry wujaszek rozłożył ręce.

— Nie, moja droga, jeżeli chcesz wiedzieć, jestem po prostu wiolonczelistą... I do tego nie solistą, tylko gram w orkiestrze symfonicznej na wiolonczeli. Słyszałaś kiedy o takim instrumencie?

— Oczywiście. To takie duże, duże skrzypce.

— Niezupełnie.

— Wiem. Nie trzyma się ich pod brodą, tylko na ziemi, między kolanami.

— No proszę, widzę, że dobrze orientujesz się w instrumentach muzycznych.

— Wiem nawet, że najslawniejszym wirtuozem na wiolonczeli jest Hiszpan, Pablo Casals.

Wujaszek zdawał się być wniebowzięty.

— Podwójne brawo dla panny!

— Dziwię się tylko — podjęłam podchwytliwie — że pan z takim spokojem mówi o stu tysiącach.

27

z(jął okulary, wyjął z kieszeni kawałek Wiolonczelista przecierać szkła, zamszu, zaczął ^° gdybyś całe życie grała na wiolonczeli,

— Moja miła» denerwowała. Jest to instrument, który to też byś się ?i? stem nerwowo.

wpływa kojąco ^yślałam - o stu tysiącach mówi tak, „Filozof — p opłaceniu za dwie porcje kremu. Mój jakby chodziło ° raWdę jesteś skromnym wiolonczelistą panie, czy ty V ^ chwili zrodziło się we mnie podejrzenie orkiestry?" W ^ zabrał Się) jak gdyby nigdy nic, do jenie. Wiolonczeli5 tymczasem myślałam o stu tysiącach; dzenia kremu. J^e kupiła. Prawdopodobnie nowe džinsy, co bym sobie za . colta ze szczerzego złota. Chłopcy z Sa-oryginalne texa^aliby z zazdrości. skiej Kępy ???5?? .esz? _ zapytał wiolonczelista.

— Dlaczego &e J , ,

0etytu-

— Nie mam W ^ przejęłaś się kapeluszem.

— Niepotrzebnie^ niezwykła sprawa.

— Bo to istotnie powiedziałem...

— A ja niepo^ dowiedziała.

— I tak był słowionczelista znowu zdjął okulary, ehu-

— Bravo! --; zaczął je przecierać. Skorzystałam więc chnął w szkła xoWU zahaczyć:

z okazji, zęby go stUprocentowo pewny, że tamten facet

— Czy pan Je .elił panu kapelusz?

przypadkowo z^ mt przecież nie wie> że kapelusz

— Najzupełniej taką wartość. może mieć kiedyś'. ^^

— A może on P ____ zawołał — kto by śledził starego l — MoJa ???i?1]S Tagle spojrzał na mnie uważniej, nie

wiolonczelistę? ""^jaszek, który funduje krem czekola-jak dobroduszny

28

dowy, ale jak podejrzany osobnik. — I dziwię się, że w ogóle zadajesz takie pytania.

— Rozmaicie bywa, proszę pana, i nigdy nie wiadomo, co piszczy w trawie ani gdzie leży pies pogrzebany. — To ostatnie powiedzonko zapożyczyłam od tatusia, który zawsze tak mówi, gdy nie wie, co powiedzieć. Na wiolonczeliście zrobiło ono piorunujące wrażenie; wyciągnął z kieszeni chustkę i wytarł nią lśniąca łysinę.

— Zaczynasz filozofować, moja panno. I zdaje mi się, że żartujesz sobie.

— Bo pan też kpi ze mnie.

Dobroduszna twarz wiolonczelisty nagle stężała. Gwałtownym ruchem zerwał okulary, lecz po chwili założył je z powrotem i uśmiechnął się.

— Dziwna z ciebie panna. Ja do ciebie szczerze, a ty mi takie rzeczy mówisz. Lepiej będzie, jeżeli w ogóle zapomnisz o naszej rozmowie.

„Terę, fere, morele — pomyślałam. — Zwija chorągiewkę. Zagalopował się, a teraz chce się wycofać. Za późno, mój wujaszku, a raczej podejrzany osobniku". Udałam obrażoną.

— Jeżeli pan chce, mogę zapomnieć nawet o panu. Wątpię, czy bez mojej pomocy odnajdzie pan swój kapelusz. Ja jedna widziałam faceta...

Wiolonczelista tarł dłonią czoło.

— Istotnie, ty jedna mogłabyś mi pomóc.

— Dziękuję. Jeżeli pan chce, żebym panu pomogła, to musi mi pan udzielić ^szcze kilku wskazówek.

— Słucham, słucham, moja panno.

— Po pierwsze, nie znoszę, jak ktoś mi mówi: „Moja panno”, a po drugie: Gdzie pan kupił kapelusz?

2'J

— Dobrze, będę ci mówił po imię*1111'

— Nazywają mnie Dziewiątka.

— Świetnie — roześmiał się ni W ??, ? w dziewięć. -To mi się bardzo podoba. A więc, Dziewiątko, kapelusz kupilem w Warszawie, w pawilonach na rogu Marszałkowskiej i Zielnej.

— Czy miał firmową naszywkę?

— Nie przypominam sobie.

— I czy pan oznaczył go monogramem.

— Nawet mi to do głowy nie przyszło. To dziwne, miałem wrażenie, że jestem jedynym na świecie Posiadaczem takiego kapelusza.

— Przecież podobnych kapeluszy Jest ?????? kilkaset-

— Tak, ale mój wydał mi się wyjątkowo ?^? i okazały. Nie przywiązuję wagi do ubrania, mam jedynie słabość do kapeluszy. — Przejechał dłonią po głowie i zaśmiał się krótko. - Może właśnie dlatego, że zakrywam nimi łysinę. Tak, moja Dziewiątko, wszyscy ludzie mają swoje słabości.

„A więc jego kapelusz był bez monogramu - kombinowałam. - W takim razie Goguś nie miał jego kapelusza, tylko swój. A więc prosty wniosek - Goguś jednak nie zamienił kapelusza. Chyba że już P° zamianie wypisał

swój monogram".

r, |, ? · |,,?«7??i że nie oznaczył pan

— Czy pan jest najzupełniej pevw, j r

swego kapelusza monogramem?

— Najzupełniej.

— A czy można wiedzieć, jak pan się nazywa.

Wiolonczelista chwycił papierową serwetkę, wyjął długopis. Wielkimi, drukowanymi literami napisał: WALERY KOLANKO.

30

— Oto moja wizytówka — zażartował. — Możesz ją sobie zatrzymać. Nazywam się nieco pocieszenie, ale trudno, nie wybieramy sobie nazwisk, a z biegiem czasu przywiązujemy się do nich.

„Walery Kolanko — powtórzyłam w myśli. — WK, jak babcię kocham! To jednak był jego kapelusz!” W tej chwili podejrzany osobnik przestał być podejrzany i powrócił do dawnej postaci dobrodusznego wujaszka.

— A więc ma pan monogram WK.

— Tak. Czy ci się nie podoba?

— Nie, nie... tylko zdaje mi się, że gdzieś już widziałam... — znowu ugryzłam się w język. Pomyślałam, że detektyw do końca winien udawać, że nic nie wie. Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Na szczęście wiolonczelista

powiedział za mnie:

— Czy ja jeden mam taki monogram? Jeżeli się nie mylę, najczęściej nazwisk w Polsce zaczyna się na „k”

i na „p”.

— Oczywiście — podjęłam z ulgą. — Sprawdziałam raz w książce telefonicznej. I mogę panu powiedzieć, że najmniej jest na „y”. Kilka zagranicznych, dziwacznych nazwisk. A na „ą” i „ę” w ogóle nie znalazłam.

— Tak — uśmiechnął się pojednawczo — gdyby moje nazwisko zaczynało się na „ą”, nie miałabyś wątpliwości. — Wstał, zapiał starą wełnianą kamizelkę.

— Przepraszam — zatrzymałam go. — Mam do pana jeszcze jedną prośbę > Czy mógłby pan pokazać mi ten kapelusz, który został w kawiarni?

— Ależ oczywiście. Zaraz poprosimy kelnerkę. — Odszedł w stronę bufetu. Za chwilę wrócił z popelinowym kapeluszem. — Proszę cię bardzo. Ciekaw jestem, czego jeszcze chcesz się dowiedzieć?

31

Ręce mi drżały, gdy brałam do ręki kapelusz. Obracałam go w dłoniach, jak kapelusz prestidigitatora, czarnoksiężnika. Myślałam, że wyskoczy zeń magiczny królik albo wyfrunie gołąb. Tymczasem nic

się nie działo. Od wróciłam więc kapelusz do góry dnem. Zajrzałam d środka. Dopiero teraz pociemniało mi w oczach. Na wkład ce zobaczyłam monogram WK wypisany wyraźnie czarnym tuszem.

— Przecież to pana kapelusz! — zawołałam. — Ma pan tu, czarne na białym, swój monogram.

Wiolonczelista wyrwał mi kapelusz z ręki.

— Mówiłem ci, że nie oznaczyłem kapelusza monogramem.

— W takim razie kto go oznaczył, skoro kapelusz wisiał cały czas w kawiarni?

Pan Kolanko zajrzał do kapelusza. Roześmiał się "trochę zbyt głośno i nienaturalnie.

— A to heca! Niesłychane! Ten sam monogram. Ale kapelusz nie jest mój. Nie ma wkładki z gazety.

— Odchylił palcami skórzany otok. — I nie ma... — urwał, jakby się zagalopował.

. — Czego jeszcze nie ma? — zapytałam przynaglająco.

— W ogóle — uśmiechnął się z zakłopotaniem — mówiłem ci, że to nie mój! — Odniosł kapelusz do służbowego stolika. Podał go kelnerce. — Ja tu wpadnę jeszcze wieczorem. Gdyby ktoś się zgłosił, to proszę podziękować mu w moim imieniu.

— Przepraszam — wtrąciłam — czy pani jest zupełnie pewna, że do tej pory nikt nie zwracał kapelusza?

— Nikt — zachichotała kelnerka — widocznie tamten lepiej się podobał.

Pan Kolanko obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem.

32

— Jesteś strasznie wścibska, moja panno, i bardzo cię proszę, przestań zajmować się kapeluszem, bo wszystko popłaczesz.

— Wścibska, o! — odpaliłam. — Nie chcę pana martwić, ale nikt chyba nie zgłosi się po ten kapelusz.

PTASZEK NA SIEDEM LITER

„Jeżeli ten kapelusz nie jest wiolonczelisty, a tamten jest Gogusia, w takim razie czyj jest ten kapelusz? Oba są identyczne, oba mają te same monogramy, a jednak coś tu nie klapuje. I w ogóle można dostać kręcka, a przede wszystkim niełatwo być detektywem i rozwiązywać tak zawikłane zagadki”.

Byłam wściekła, a jednocześnie ogromnie mnie to bawiło. Bo proszę pomyśleć: mama gra w brydża, tata na pewno zdrzemnął się nad gazetą. Jacek ziewa jak hipopotam, bo Jacek bez taty niczego nie

potrafi wymyślić, a ja stoję na ulicy Słowiczej i patrzę, dokąd idzie mój wiolonczelista, który na pewno nie jest wiolonczelistą. Czy to nie

zabawne?

Tymczasem pan Kolanko idzie Słowicza w stronę Polnej, jakby nigdy nic. Z daleka widać jego białą furazerkę pod czarnym parasolem i migające w deszczu jasne podeszwy jego trampek. Stoję sobie za drzewem i kikuję. Potem ruszam za podejrzanym osobnikiem, a jemu nawet się nie śni, że ktoś go śledzi. I to też jest bardzo zabawne. Zabawne i ciekawe.

Wszystko jest ciekawe. Na przykład pan Walery Kolanko — niby zwykły człowiek, niedbale ubrany, tęgawy, mający słabość do kapeluszy, grający na wiolonczeli (ni-

3 Kapelusz za 100 tysięcy 33

by), a przy tym łysy i z brzuszkiem, a jednak wzbudzający dreszcz sensacji i zagadkowy. Ba, właściciel kapelusza, który jutro może być wart sto tysięcy albo i więcej. Może milion. A więc milioner... .

Na rogu Słowiczej i Polnej pan Kolanko zatrzymał się, jakby się wahał, w którą iść stronę. Skręcił w prawo. Przyspieszył kroku, a potem podkasał spodnie aż do kolan i stąpał ostrożnie między kałużami, jakby szedł po tłuczonym szkłe. Nagle skręcił w lewo, w boczną ulicę wysadzaną starymi topolami. Zginął na chwilę, utonął w zieleni, lecz wnet jego parasol wypłynął między pniami, jak czarny grzyb z głębi szmaragdowej toni.

Dobiegłam do rogu i stwierdziłam, że jest to ulica pasieczna. Nic jednak nie wskazywało na to, że -
ajdują się tutaj pasieki. Spojrzałam w głąb topolowej alei. Czarny parasol był już daleko. Naraz
znikł, jakby się rozpułynał w mglistym powietrzu. ...

PridLL * za nim biegiem. W miejscu gdzie zmknł parasol, ujrzałam wysoki mur z czerwonej cegły,
opieczony gęsto d ikim winem i bluszczem. Mur by stary, wysze r bLy. W wielu miejscach widniały
wielkre wyrwy, przez które można było bez trudu przejść na drugą stron,. Byłam teraz pewna, że pan
Kolanko nie rozpułynał «ą lecz znikł w jednej z wyrw. Ale w której? Wybrałam najblrz-znnu w jeuucj
j ??^7??i?? ścieżyna gmąca

szą. Prowadziła do mej ledwo dostrzebama >· ? ?

w łopianach i pokrzywach. Weszłam na nią i rozglądając się, czy mnie ktoś nie widzi, g*obyłam mur
^
—

Za murem ciągnęła się istna azungi j i mglisto. Teraz na odmianę doznałam uczucia, ,ak gdyby za
każdym drzewem czyhał na mnie me jeden, lecz tu zaK ·yl. , ... lo n i p ?? wiolonczelistami, tylko

wiolonczelistów, którzy wcale nie są wioi

podejrzanymi osobnikami...

Na szczęście dżungla skończyła się, a ja znalazłam się na niewielkiej polance. Odsapnęłam z ulgą i w tej samej chwili usłyszałam za sobą ostry głos:

— Czego tu szukasz?

Pod drzewem, w cieniu opadających gałęzi, zobaczyłam dwukołowy, lekarski wózek, a na wózku mężczyznę. Było tak ciemno, że widziałam tylko jego granatowy płaszcz z tergalu i czapkę z tego samego materiału. Chciałam uciekać w popłochu, lecz strach wmurował mnie w ziemię.

— Tu jest prywatny ogród i nie wolno wchodzić. Nie słyszysz? — zabrzmiał ten sam, niski i jakby spod ziemi dochodzący, głos.

— Słyszę — wyszeptałam — lecz nie bardzo widzę, kto mówi.

Nieznajomy zakręcił korbką. Wózek wytoczył się spod okapu gałęzi. W tej chwili wszystko wydało mi się nie-

słuchanie dziwne, jakbym oglądała sensacyjny film. Bo skąd nagle w tej dżungli wózek lekarski i skąd ten dziwny mężczyzna? Siedział sztywno, nogi okryte miał kraciastym pledem. Podobny był do męczennika: twarz blada, chuda, koścista, zapadnięte policzki, krzaczaste brwi, a pod brwiami głęboko osadzone, przenikliwe oczy. Zamiast strachu poczułam nagle litość.

— Przepraszam — powiedziałam. — Myślałam, że ta ścieżka...

— Myślałaś? — przerwał mi ostro. — Przeszłaś przez mur, a nie myślałaś.

Nie dał mi dojść do słowa, więc doszłam sama i powiedziałam:

— Zdawało mi się, że szedł tędy jeden pan z parasolem.

— Wszystkim się zdaje — ofuknął mnie kaleka. — Ciekaw jestem, czego tu szukasz?

Zdenerwowała mnie jego dociekliwość.

— Przypuśćmy, że grzybów*.

— Tu nie ma grzybów.

— Przypuśćmy, że malin lub borówek.

— Tu nie ma malin ani borówek — powtórzył z naciskiem.

— Przypuśćmy, że ptaków — mówiłam z uporem.

— O, właśnie — uśmiechnął się kpiąco. — Pewno ptaków. Przyłapałem jednego takiego. Strzelał z wiatrówki do drozdów.

— Phi — parsknęłam. — Przypuśćmy, że jestem ornitologiem i chcę zrobić zdjęcie gniazda remiza. Przyjrzał mi się nieco łagodniej.

— To co innego, ale i tak nie radzę ci pętać się po tym ogrodzie. Ptaków masz dość w lesie.

36

— Przepraszam — dygnęłam. — Czy pan nie widział tego łysego pana z parasolem?

— Nie — odparł szorstko. — I radzę ci, zmykaj stąd jak najprędzej.

— Phi — prychnęłam. — Jeżeli panu na tym zależy, to mogę zemknąć. — Odwróciłam się na pięcie, ale nieznajomy zatrzymał mnie.

— Zaczekaj! — zawołał. — Mówisz, że zajmujesz się ptakami?..

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek zajmowała się ptakami. To Maciek był ornitologiem. Ja tylko udawałam. Ale trudno, musiałam brnąć dalej.

— Tak — powiedziałam robiąc niewinną minę — bardzo mnie interesuje życie ptaków, zwłaszcza remizów... I w ogóle...

Człowiek na wózku sięgnął do kieszeni płaszcza. Myślałam, że wyjmie zimorodka albo makolągwę. Tymczasem wyciągnął gruby notes, a z notesu spory wycinek z gazety z krzyżówką.

— Dobrze się składa. Może mi powiesz, jak się nazywa P'tak), który zaczyna się na „m”, kończy na „t” i ma siedem liter. Tej nazwy — wyjaśnił — brakuje mi do rozwiązania krzyżówki.

Daję słowo, że nigdy nie słyszałam o ptaku, który ma siedem liter. Zrobiłam jednak mądrą minę i mamrotałam:

— Zaczyna się na „m”, a kończy na „t”. Może mamut, proszę pana.

Zamiast mi podziękować, roześmiał się.

— Przecież to nie ptak, a prócz tego ma pięć liter. Coś nie bardzo znasz się na ptakach. Ale nie przejmuj się. Z krzyżówkami zawsze tak bywa. W dobrej krzyżówce jest haczyk, nad którym trzeba sobie łamać głowę.

?,1

— To proszę sobie łamać! — Zrozumiałam, że nadeszła stosowna chwila, do ulotnienia się. — Jeżeli coś wpadnie mi do głowy, to pana zawiadomię — dodałam bez sensu. Odwróciłam się i uciekłam

gdzie pieprz rośnie, a właściwie za mur, na ulicę Pasieczną.

To pech! Szukałam wiolonczelisty, a natrafiłam na kalekę, który rozwiązuje krzyżówki; chciałam rozwikłać zagadkę dwóch kapeluszy, a tymczasem nie potrafiłam znaleźć ptaka, który zaczyna się na „m”, kończy na „t” i ma siedem liter. Niech będzie mamut, pal go lichu!

GOGUS ODBIERA DEPESE

Wszystko rozgrywało się jak w kinie. Wiolonczelista przepadł w tajemniczy sposób. Na horyzoncie pojawił się człowiek na wózku. Brakowało tylko pięknej aktorki, która kocha się w poławiaczu perłę, i milionera... O, nie, przepraszam. Milioner może być już jutro...

Szłam teraz prosto ulicą Bursztynową w stronę morza. Z lewej miałam wysoki mur starego cmentarza, z prawej tonące w mgłę ogrody. Deszcz ustał na chwilę, lecz znad morza nacierały nowe chmury. Toczyły się nisko, nad dachami, i wyglądały jak kudłate, groźne potwory. Ulice były puste. Czasem tylko przemknął samochód lub zamajaczył parasol.

Nieborze nie przypominało wesołej, pełnej słońca i let- ników nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej. Trupiarnia!

Zatrzymałam się nad brzegiem, przy tarasie hotelu „Pod Trzema Żaglami”. Usiadłam na kamiennych schodkach, patrzyłam, jak mewy krążą nad falochronami w poszukiwaniu

38

teru. Morze huczało, pieniało się, długimi języka i W |L kowato plażę. Czarna flaga na maszcie trzepotał, jak je

dnoskrzydły uwięziony ptak. , '...,, tało kilku let-

Na tarasie hotelu „Pod Trzema żaglamia ników. Patrzyli w osłupieniu,]-^»^ J miał się wyłonić statek-widmo. Wśród nieb zdziwieniem spostrzegłam Gogusia. _

Goguś był oryginalna Nie ^4^3^ w siną dal, lecz jego badawczy wzrok błądz^ P

murach i oknach hotelu, jakby tam kogoś wypat ywa^ y^ Z deszczowym płaszczu, w rękę trzymał ?*?? v rasol i - co mnie najbardziej uderzyło - nie m p nowego kapelusza. W ogóle;nie miał żadnego^

Wydało mi się to podejrzane. TMTM^* tym. Chyfra sztuka, niby obserwował ??^^ czasem co chwila zerkał na wychodzących.1 ^

gości hotelowych. Po chwili spojrzał na zeg^ nie czekał na kogoś lub z kimś się ^^ głowę chem podniósł kołnierz płaszcza, wtulił M

i zszedł z tarasu. w.v Udał że mnie nie zauwa-

Pozwoliłam mu przejść obok. Udał, że ro żył. Skręcił w ulicę Uskok, potem ^L^u p0_ ściół i - jak

gdyby nigdy mc - wszedi

czowego. 7????i???i?? urzę-

Zapadał już zmrok. Na poczcie przed W*-J „u, panował tłok. Chwue wahałam?; - « > ? wejść, lecz wnet decydowałam ze pd? udawała, że wysyłam pozdrowiema do cioci

WŁłam si, do środka, ukryłam *-?L\$»L pitem do pisania listów i « °»^XL nisia. Ten z wrodzoną nonszalancją zbliżyf

z napisem „Telefon—Telegraf—Poste restante", przeczekał, aż dwie osoby załatwią swe sprawy, potem uśmiechnął się uwodzicielsko do urzędniczki i zapytał:

— Przepraszam, czy jest coś dla mnie?

Młoda urzędniczka na widok eleganta odwzajemniła się czarownym uśmiechem.

— O, właśnie — powiedziała przewracając oczami — miałam do pana telefonować. Przyszła z Warszawy depesza.

Myślałam, że przynajmniej dowiem się, jak się nazywa, tymczasem traktują go tutaj jak następcę tronu. „Proszę bardzo. Miałam telefonować". A on bierze depeszę, kłania się, rozdaje uśmiechy i wychodzi jak lord z salonu. Bęcwał! Ale kto to może być? Udałam więc, że napisałam kartkę do cioci Basi i wysłiznęłam się z poczty. Zobaczyłam go już na ulicy.

Zatrzymał się i nie wyjmując wygasłej fajeczki, otworzył depeszę.

Co bym za to dała, gdybym mogła w tej chwili czytać razem z nim! Niestety, musiałam stać za pniem sosny i niecierpliwić się, kiedy przeczyta. Trwało to zapewne bardzo krótko, lecz mnie zdawało się, że całe wieki.

Nareszcie wyjął fajeczkę z zębów. Zmiał depeszę i ruchem niedbałym rzucił ją na chodnik. Zatarłam ręce z radości. Niestety, nie cieszyłam się długo. Goguś bowiem schylił się i podniósł zmięty papier. „Porządniś, nie chce zaśmiecać Nieborza". Ale znowu rozczarowanie. Goguś darł depeszę na drobniutkie kawałeczki i rozsiewał je wokół. Gdy skończył, rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, i sprężystym krokiem ruszył w stronę kościoła.

40

Co miał robić prawdziwy detektyw w takiej sytuacji: iść za podejrzanym czy zbierać z ziemi strzępki papieru? Najchętniej rozdziwiłabym się, ale trudno...

Zbieranie podartej depeszy z mokrej ulicy nie należy do rzeczy łatwych, zwłaszcza gdy ludzie kręcą się bez przerwy i znowu pada deszcz, a strumienie wody unoszą strzępy we wszystkich kierunkach. Zakasałam jednak rękawy i cierpliwie zbierałam te, co zostały.

„KAPELUSZ PEŁEN DESZCZU"

Stałam bezradnie z garstką papierowych strzępków w dłoni. Na szczęście przypominałam sobie najlepszego w klasie ornitologa — Maćka. Padał deszcz, ptaki kryły się w gałęziach i pod dachami, nasz ornitolog na pewno nudził się i ziewał. „Wpadnę do niego — pomyślałam — może mi coś poradzi”.

Walnęłam się na ulicę Słowicza. Bez trudu odnalazłam willę „Marysieńkę”. Dom był stary, drewniany, lecz wesoły. Miał na froncie oszkloną werandę, na której pełno było doniczkowych kwiatów. Przed domem starannie przystrzyżony trawnik i klomb z żółtymi nagietkami. Na werandę prowadziła ścieżka wysypana czystym żwirem, a pod płotem aż kipiało od bujnych bzów i jaśminów.

Weszłam ostrożnie na schodki. Zapukałam w oszklone drzwi. Po chwili w drzwiach zjawiała się starsza pani. Od razu wydała mi się miła i sympatyczna. Była niska, okrągłutka, miała krótko ostrzyżone siwe włosy, twarz śniadą i wesołą, nieco skośne oczy. Jednym słowem, podobna do starego Eskimosa, łowcy fok i białych niedźwiedzi. — Przepraszam, czy zastałam Maćka? — zapytałam.

41

Starsza pani uśmiechnęła się pogodnie.

— Ach, to ty, Dziewiątka, szef gangu z Saskiej Kępy? Maciek opowiadał mi o tobie. Podobno dałaś mu dobry wycisk. Gratuluję! Już dawno mówiłam mu, żeby uczył się dzudo, a on tylko ptaki i ptaki.

Chciała zawołać Maćka, ale zjawił się sam.

— Przyszłaś obejrzyć zdjęcia? Mówię ci, fantastyczne!

— Nie — odparłam — mam dużo ważniejszą sprawę, ale to tajemnica — spojrzałam znacząco w stronę starszej pani.

— Przy babci możesz wszystko mówić — powiedział Maciek. — Moja babcia to najmorowsza babcia na świecie.

— Nie krępuj się, moje dziecko — wtrąciła babcia. — Pewno chcesz założyć nowy gang. Ja też bawiłam się w zbójów i policjantów. I muszę ci powiedzieć, że zawsze wołałam być zbójem.

— To nie zabawa, proszę pani — powiedziałam. — To niezwykła zagadka. Detektywistyczna!

— Świetnie trafiłaś, moja babcia ubóstwia detektywistyczne zagadki. Ciągłe czyta powieści sensacyjne!

— Wspaniale — klasnęłam w dłonie. — Może mi pani powie, co to może być za kapelusz, który dzisiaj wart jest cenę kupna, a jutro może mieć wartość stu tysięcy albo i więcej?

Spojrzeli na mnie, jakbym mówiła o latających talerzach albo o życiu na Marsie.

— Ty chyba żartujesz — zaśmiał się Maciek. Babcia tarła w roztargnieniu czoło.

— Zaraz, zaraz... Czytałam kiedyś powieść jakiegoś amerykańskiego pisarza, w której chodziło o jakiś kapelusz... Aha, już wiem. W kapeluszu, pod podszewką, ukryli gangsterzy olbrzymią perłę jakiegoś maharadży hindu-

42

skiego. I ktoś zgubił kapelusz, a potem wszyscy go szukali. — Zachichotała cieniutko. Widać było, że bawi się swoim opowiadaniem. — Pamiętam nawet, kto go odnalazł. Wyobraźcie sobie, odnalazł go jakiś chłopiec w kurniku pewnego producenta filmowego. Kura wysiadywała w nim jajka.

— Bardzo zabawna historia — wtrąciłam. — Jednak to zupełnie inna sprawa. Tamten kapelusz w tej chwili nie ma właściwie żadnej wartości, a więc nie ukryto w nim ani perły, ani brylantu, w ogóle nic. Dopiero jutro może być wart sto tysięcy.

— Dlaczego właśnie sto?

— Albo i więcej. Babcia rozłożyła ręce.

— Nie mam pojęcia, co to za kapelusz. Ale historia wydaje mi się bardzo interesująca. Moje dziecko, skąd ty na to wpadłaś?

Nie lubię opowiadać, lecz cóż miałam robić, skoro babci i Maćkowi oczy błyszczały z ciekawości. Opowiedziałam. A na zakończenie dodałam:

— Mam tu jeszcze jedną zagadkę. Musimy złożyć skrawki i odczytać tę depeszę. Może z niej się czegoś dowiemy.

Wysypałam mokre, podeptane strzępy depeszy na stoliki, a gdy na nie spojrzałam, ręce mi opadły. Maciek po chwili powiedział:

— To będzie trudna robota.

Jedynie babcia nie załamala się. Zatarła pulchne dłonie, uśmiechnęła się i zawołała:

— Do dzieła, moje dzieci, zaraz zobaczymy, co jest w depeszy! — Potem wydała krótkie rozkazy: — Maciek, przy-

43

nieś arkusz papieru, klej i okulary, a ty, Dziewiątka, krzesła. Spieszcie się, bo jestem ogromnie ciekawa.

Zabraliśmy się do roboty bardzo fachowo. Rozłożyliśmy skrawki depeszy na stoliku i składaliśmy pasujące do siebie, jak wycinanki dla dzieci albo klocki z obrazkami. Fantastyczna zabawa! Najpierw straszliwy bałagan, zupełny groch z kapustą, a potem wszystko układa się, porządkuje, a nam wszystkim oczy wyłażą, bo nie możemy doczekać się, kiedy skleimy tę łamigłówkę.

Nareszcie z chaosu zaczynają wyłaniać się poszczególne słowa i zdania. Niestety, zabrakło kilku skrawków, więc depesza wyglądała jak szwajcarski ser z dziurami.

Babcia klasnęła w dłonie.

— No proszę, trzeba tylko trochę cierpliwości. — A potem wszyscy z zapartym tchem czytaliśmy treść telegramu:

SPE — ZA.....NA — SIĘ — SIO MEGO

— BM — KAPELUSZ — PEŁEN — DESZCZU — MARABUT

Na górze figurował adres:

... SŁAW — ... ASIEWICZ — NIEBORZE — POSTE RE ...

Adresu nadawcy nie znaleźliśmy. Na górze depeszy zaznaczono, że wysłano ją o godzinie trzynastej piętnaście z Warszawy.

Przez pięć minut wrywaliśmy sobie depeszę z rąk; przez następne trzy minuty nie mogliśmy ochłonąć ze zdumienia. Wreszcie ja odezwałam się pierwsza.

— Kapelusz pełen deszczu — powtórzyłam. — Zdaje mi się, że znaleźliśmy klucz do rozwiązania zagadki.

— Jaki klucz, moja droga? — zapytała babcia.

44

— Każda zagadka detektywistyczna powinna mieć klucz do rozwiązania — odparłam poważnie. — Widzi pani, tam chodzi o kapelusz za sto tysięcy, a tu mamy kapelusz pełen deszczu.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, „Kapelusz pełen deszczu” to tytuł sztuki teatralnej jakiegoś amerykańskiego

pisarza.

— To nawet dobrze się składa — wtrącił Maciek. — Przestępcy mogli użyć tytułu sztuki jako szyfru. W każdym razie zastanawiające, że chodzi właśnie o kapelusz...

— Zaraz, zaraz — niecierpliwiła się babcia. — Nie znamy przecież początku depeszy. Brak pewnych liter. Bo cóż to może znaczyć: Spe ... za -... na ... się. Początek mógłby nam wszystko wyjaśnić.

— Ba — zaznaczyłam — do odczytania początku potrzebny jest specjalista od szyfrów. A ja, niestety, nie

znam się na tym.

— Marabut! — zawołał nagle Maciek. — Czy to nie wydaje się wam podejrzane?

— Marabut — westchnęłam — to śmieszne, żeby ktoś

tak się nazywał.

— Przecież to nazwa egzotycznego ptaka.

— Ptaka!

— Oczywiście, że ptaka. Marabut należy do rodziny leptoptilus, zamieszkuje Afrykę, jest ściervojadem, a gniazda buduje na baobabach.

Gdyby nawet budował na księżycu, też by mnie to nie zadziwiło. W tej chwili zainteresowało mnie zupełnie co

innego.

— Czekaj! — wydałam triumfalny okrzyk. — Przecież marabut zaczyna się na „m”, a kończy na „t” i ma siedem liter.

45

— Cóż w tym dziwnego?

— Pasuje do krzyżówki.

— Do jakiej krzyżówki?

Oczywiście niczego nie rozumieli, więc musia*am im wyjaśnić i opowiedzieć o nieoczekiwanym spotkaruu z kaleką na wózku. Myślałam, że będą zachwyceni odkryciem tej niesłychanej zbieżności. Oni tymczasem wzruszyli tylko ramionami i zamienili spojrzenia.

— Jesteś zabawna, moja droga — posiedziała babcia. — Za bardzo przejęłaś się sprawą kapeWszy-

— Co może mieć wspólnego depesza z jednym niewinnym słowem w krzyżówce... — wtrącił Maciek-

— Nigdy nic nie wiadomo — powiedziałam rozczarowana. — W każdym razie, jeżeli tylko spotkam teś>° Pana na wózku, to powiem mu, żeby sobie wpisał marabuta.

Babcia wzięła ze stolika depeszę. Przyjrzała sie- 3eJ uważnie.

— Iw ogóle, moi drodzy, może zupełnie niepotrzebnie tracimy czas. My tu się denerwujemy, gorączkujemy, a tymczasem facet, który przypadkowo zamieni* kapelusz, mógł go odnieść do kawiarni. A tajemnicza sprawa okaże się śmiesznym zbiegiem okoliczności.

— O, nie! — zaprotestowałam. — Ten kapelusz nadal zostanie tajemniczy. Przecież nawet pani nie Potrafi wyjaśnić, dlaczego zwykły kapelusz może stać się jutro najdroższym kapeluszem na świecie.

Babcia ujęła mnie za rękę.

— Moje dziecko, nie warto się gorączkować. Możesz przecież sprawdzić, czy odniesiono ???i??i°?? kapelusz. A zresztą czas nam wszystko wyjaśnić.

— Nie czas, tylko my musimy wyjaśnić! powiedziałam stanowczo.

46

— Tak — Maciek skinął głową. — To mogłoby być ciekawe zajęcie, zwłaszcza w taką deszczową pogodę, kiedy trudno obserwować ptaki.

— Tylko cierpliwie, moi drodzy! Tylko cierpliwie — zaznaczyła babcia. — Pamiętajcie, że jesteście na wakacjach.

Czekałam, kiedy powie, że należy wdychać jod, wzmacniać migdałki, opalać się w promieniach ultrafioletowych i krzepić organizm. Babcia jednak nie lubiła prawić kazań. Uśmiechnęła się do mnie dobroliwie. Dokończyła:

— Życzę wam powodzenia. A jeśli będę potrzebna, to mi powiecie. I radzę ci, sprawdź jeszcze raz, czy nie zwrócono już zamienionego kapelusza.

Zapadał mrok, gdy zbliżałam się do kawiarni „Jantar”. Mżył deszcz, latarnie stały w kokonach z mgły. Było cicho, spokojnie, a w mej głowie aż trzeszczało. Po prostu groch z kapustą. A wszystko przez ten kapelusz.

Weszłam do kawiarni. W przejściu wpadłam na kelnerkę.

— Przepraszam! — zawołałam. — Czy odniósł ktoś ten

kapelusz?

— Nie — odparła, a potem uśmiechnęła się do mnie. — Dlaczego jesteś taka przejęta? Przecież to normalna sprawa, że ludzie zapominają kapeluszy.

Niedziela

KWIATY DLA PANI MONIKI

W niedzielę rano było zupełnie tak, jak w sobotę: tata pogwizdywał i mówił, że w deszczowy dzień najlepiej biorą ryby; Jacek pogwizdywał i mówił to samo, a mamę łąmało, tylko nie wiedziała, w którym miejscu, dlatego wciąż się dopytywała, czy na dole w świetlicy grają już w brydża.

A na dworze padał deszcz i niż znad Skandynawii pogłębiał się coraz bardziej.

Tylko ja byłam inna, bo w głowie wciąż miałam ten zwariowany kapelusz. I nic mnie już nie obchodziło, nawet wielka sensacja „Ustronia”, że pani spod szesnastki dostała w nocy zapalenia woreczka żółciowego.

Dobrze jest mieć zabitego ćwieka w taką deszczową pogodę, bo nie trzeba się nudzić. Więc nie nudziłam się, tylko układałam w myśli pytania:

Gdzie mieszka wiolonczelista?

Czy wiolonczelista jest wiolonczelistą?

Jak się nazywa mój Goguś?

Dlaczego trzyma w zębach wygasłą fajkę?

Czy wygasła fajka może coś oznaczać?

Kto nadał depeszę do Gogusia?

Co oznacza kapelusz pełen deszczu?

Czy MARABUT pasuje do krzyżówki?

48

Dlaczego właśnie MARABUT?

Co się z czym wiąże, a co się nie wiąże?

Dlaczego?...

Tych „dlaczego”, „czy”, „co” było tyle, że znowu wszystko mi się poplątało i nie wiedziałam, od czego zacząć. Więc zaczęłam po prostu od śniadania, żeby dać organizmowi odpowiednią ilość kalorii. A potem ubrałam się i wyszłam.

Nad morzem było zupełnie tak jak wczoraj, z tą małą różnicą, że pod hotelem spotkałam Gogusia. Widocznie cały urlop spędzał „Pod Trzema Żaglami”. Nie miałam mu tego za złe, gdyż wiedziałam już, od czego zacząć.

Goguś był dzisiaj na sportowo: szalowe gabardynowe spodnie, szalowe mokasyny, szalowy biały sweter, szalowy jedwabny szalik, a na wierzchu szalowa wiatrówka z popeliny. Miał nawet sportowe spojrzenie i sportowy sposób ssania wygasłej fajeczki. Był, oczywiście, bez kapelusza, prawdopodobnie bez tego za sto tysięcy. W ciemnych włosach perliły mu się krople deszczu, a w ręku nie trzymał parasola, tylko trzy pąsowe róże owinięte w folię.

Byłam ogromnie ciekawa, dla kogo niesie te róże. Wkrótce jednak sam pozwolił mi rozwiązać tę zagadkę. Podeszedł sportowym krokiem, uśmiechnął się i — ni stąd, ni zowąd — zagadnął:

— Przepraszam bardzo, czy mogłaby panienka zrobić mi pewną drobną przysługę?

Denerwował mnie ten lalusiowaty ton, więc odpaliłam:

— Nie jestem panienka, tylko Dziewiątka, i chciałabym zapytać, dlaczego wciąż trzyma pan w zębach wygasłą fajkę. Czy nie stać pana na tytoń?

Myślałam, że mu fajka wypadnie z zębów, ale nic podobnego. Uśmiechnął się jeszcze przymilniej.

4 Kapelusz za 100 tysięcy

49

— Nie gniewaj się... ale jesteś naprawdę zabawna.

— Wcale się nie gniewam — przerwałam mu. — Dziwię się tylko, że pan wczoraj tak bezczelnie się wypierał.

Goguś roześmiał się zupełnie jak aktor filmowy.

— Ja? Wypierałem się? — Przecież widzę cię pierwszy raz i bardzo mi się podobasz.

— Terę, fere, a wczoraj na ulicy Żart? Wzruszył ramionami.

— Ty coś fantazjujesz. Po pierwsze, nie wiem, gdzie jest ulica Żart... a po drugie, naprawdę nigdy jeszcze nie spotkałem takiej rezolutnej dziewczynki jak ty.

— Bujać to my, ale nie nas. To pan fantazjuje. Zdaje się panu, że jestem taka naiwna... O, nie, nie będzie pan strugał ze mnie...

— Wcale nie zdaje mi się, że jesteś naiwna, ani nie mam zamiaru żartować. Mam do ciebie prośbę i z góry chciałbym cię przeprosić.

— Nie musi pan przeproszać. Znamy się na tym...

— Ubawiłaś mnie, moja droga. Ale nareszcie porozmawiajmy poważnie.

— Właśnie czekam na to. Proszę walić prosto z mostu. Mnie pan nie będzie czarował.

— Dobrze, prosto z mostu. Muszę posłać komuś te kwiaty i, niestety, nie mogłem znaleźć gońca. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś odniosła kwiaty do hotelu pod numer dwudziesty trzeci i oddała do rąk własnych tej pani. Nazywa się Monika Płoszańska.

— Przepraszam, a sam to pan nie może? Przemęczylby się pan? — zapytałam kpiąco.

Goguś łypnął na mnie niechętnie.

— Trudno, jeżeli nie chcesz, będę musiał poprosić kogoś innego.

— Nie, nie! — zawołałam. — Chętnie panu zaniosę. — I pomyślałam jednocześnie: „Zobaczmy, co to za pani Monika. Może jeszcze jedna podejrzana osoba”.

Twarz wytwornisia rozpromieniła się.

— Dziękuję ci. Jesteś naprawdę bardzo miła i oryginalna. Ja, niestety, nie mogę zanieść kwiatów, bo nie znam tej pani. A kwiaty — roześmiał się dyskretnie — mają być pięknym wstępem do zawarcia znajomości.

— Rozumiem. Pewno podoba się panu ta pani? Goguś zmrużył porozumiewawczo oko.

— Nawet bardzo. — Potem dodał: — No, proszę, widzę, że powoli dochodzimy do porozumienia.

— Gdyby mi pan powiedział jeszcze, dlaczego zamienił pan ten kapelusz w „Jantarze”, to wszystko byłoby '????.

5 i

.Trafiłam w sarną dziesiątkę. Goguś skrzywił się i — zdawało mi się — włos mu się zjeżył lekko na głowie. W każdym razie minę miał niewyraźną i tak na mnie patrzył, jakbym była Alicją z Krainy Czarów, a nie Dzie-: wiatką.

— Tobie pewno coś się poplątało — powiedział.

— Przypuśćmy — rzuciłam kpiąco, żeby nie myślał, że ma przed sobą malowane ciele.

Wzięłam od niego kwiaty i list, rzuciłam na pożegnanie wzgardliwy uśmieszek i odeszłam.

GOGUS DOSTAJE KOSZA

Zatrzymałam się na drugim piętrze przed pokojem dwadzieścia trzy. Układałam w myśli, co powiedzieć, lecz zwykle tak bywa, że nic wtedy nie przychodzi do głowy.

Zapukałam. Niestety, nikt się nie odezwał. Zapukałam więc mocniej. Wtedy usłyszałam cichy głos:

— Proszę!

Nie trzeba mnie było długo prosić. Weszłam bardzo ciekawa, jak wygląda pani Monika Płoszanska i co to za jedna.

Niestety, w pokoju hotelowym nie było pani Moniki, tylko straszliwy bałagan: łóżko nie pościelone, na łóżku pełno fatałaszków, słoików z kremem, szczotek, grzebyków; na krześle jakaś jedwabna suknia i deszczowy płaszcz, na podłodze kilka par pończoch i kilka pantofli nie wiadomo z której nogi, a w powietrzu unosił się mocny zapach perfum.

Myślałam, że pani Monika Płoszanska na widok trzech pąsowych róż rozplynie się z zachwyty, jednak nie rozply-

52

nęła się, bo jej chwilowo nie było. Dopiero po chwili za kretonową zasłoną otworzyły się drzwi, a do pokoju weszła młoda, piękna kobieta. Miała na sobie kąpielowy płaszcz, głowę owiniętą ręcznikiem i wyglądała jak żona maharadży Pendżabu albo jeszcze lepiej.

— Przepraszam — powiedziała — właśnie kończyłam makijaż.

Nie musiała tego mówić, bo ślepy też by zobaczył, że malowała się przed chwilą i wyglądała, jakby wyszła nie z łazienki, lecz z gabinetu kosmetycznego: rzęsy granatowe, powieki seledynowe, usta na karminowo — jednym słowem, barwna malowanka, a przy tym spojrzenie księżnej Monaco. Zupełnie jak w kinie.

Na chwilę mnie zamurowało, ale wnet przypomniałam sobie o kwiatkach.

— Jeden facet zahaczył mnie na dole — powiedziałam — i prosił, żebym pani odniosła te róże. Ciekawa jestem, ile za-nie wybulił.

Cofnęła się o pół kroku.

— Pan? — zapytała, jakby się dopiero teraz obudziła. — Jak on wyglądał?

— Podejrzenie i miał wygasłą fajkę w zębach.

— Nie znam takiego pana.

— On też pani nie zna i mówił, że to wstęp do zawarcia znajomości. Widać, że ładowany facet...

— Moje dziecko, jak ty się wyrażasz?

— Tak jak chłopcy z Saskiej Kępy — palnęłam. :— Byłam szefem ich gangu, więc nauczyłam się od nich rozmaitych powiedzonek.

Pani Monika uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Jesteś przecież dziewczynką...

— Tak, ale wolałabym być chłopcem.

53

— Dlaczego?

— Bo marzę o tym, żeby być szlachetnym szeryfem i ożenić się z córką sędziego.

— Masz bujną fantazję.

— Wcale nie, tylko lubię twarde życie prerii. I w ogóle... dziwię się, że /pani do tej pory nie przeczytała tego listu. Sama umieram z ciekawości.

— Jesteś zabawna — powiedziała pani Monika i ruchem księżny wzięła ode mnie list, rozdarła go, zaczęła czytać. Wiele dałabym za to, gdybym miała zdolności jasnowidza i przez papier potrafiła odczytać, co Goguś do niej pisał. Na szczęście nie musiałam być jasnowidzem. Piękna pani, gdy tylko skończyła czytanie, roześmiała się kpiąco.

— Banalne! Mógł się zdobyć na coś oryginalniejszego. Jeżeli masz ochotę, możesz przeczytać.

„Piękna Nieznajoma — pisał Goguś. — Widziałem Panią wczoraj w hallu hotelu. Jestem oczarowany Panią. Pragnę Panią poznać i powiedzieć to Pani osobiście. Będę czekał o siedemnastej w kawiarni «Jantar». Posyłam różę jako zadatek mego uwielbienia. Nieśmiały wielbiciel”.

— Jak ci się to podoba? — zapytała.

— Szlachetny szeryf napisałby to inaczej — odrzekłam wymijająco.

— Bezczelny! — prychnęła. — Posyła mi różę i myśli, że od razu pójdę na spotkanie. Przeliczył się. — Rzuciła list na podłogę, między pończochy i buciki, jakby w ten sposób chciała zupełnie zlekceważyć Gogusia.

— A różę? — zapytałam oczarowana jej królewskim zachowaniem.

— Nie mogę przyjąć. Bądź tak dobra i oddaj mu te kwiaty... Możesz powiedzieć....

— Że ma go pani w nosie — wtrąciłam mimo woli.

54

— O, nie — roześmiała się. — Powiedz mu, żeby o mnie zapomniał i nie napastował mnie już więcej. — Podeszła do stolika, z torebki wyjęła portmonetkę, z portmonetki banknot dwudziestozłotowy i podała mi go: — Dziękuję ci, moja miła.

Cofnęłam się gwałtownie.

— Nie jestem gońcem, proszę pani.

— Przepraszam, myślałam, że przydadzą się na słodycze. I nie wiem, jak by ci podziękować.

— To głupstwo, proszę pani. Chciałam tylko zapytać, kim pani jest, bo bardzo jestem ciekawa.

— A jak myślisz?

— Mogłabym przypuszczać... że może księżną Monaco. Ale pani przecież Polka, więc nie wiem...

— Księżna Monaco... Ubawiłaś mnie serdecznie, ale właściwie jesteś blisko prawdy, bo księżna Monaco przed zamążpójściem była...

— Aktorką! — zawołałam. — A więc pani jest aktorką. Ciekawe, że nigdy jeszcze nie widziałam pani w kinie ani w telewizji! A gdzie pani występuje?

— Wyobraź sobie, na prowincji. W Rzeszowie.

— I gra pani na pewno role samych księżniczek, królowych i angielskich lady. — Chciałam w ten sposób naprawić swój poprzedni nietakt. Pani Monika nie była jednak obrażona. Śmiała się wspaniałomyślnie i żartowała:

— Mylisz się. Ostatnio grałam młodą żebraczkę, a w zeszłym sezonie prądkę z fabryki włókienniczej.

— Z takim makijażem! Z takimi wylakierowanymi paznokciami! — zawołałam zdumiona.

— Jesteś rozbijająca. Przecież w teatrze przed każdym przedstawieniem charakteryzuję się. Rozumiesz?

55

Rozumiałam, a jednak nie mogłam sobie wyobrazić pani Moniki w roli prądky. Na pożegnanie aktorka dała mi małą maskotkę, małąkę ze szmatek, i powiedziała:

— Przyjmij to na pamiątkę. Bardzo mi się podobasz.

— Pani też mi się bardzo podoba! — odparłam. — Ciekawa jestem, jaką minę będzie miał ten facet, gdy mu odniosę kwiaty.

UWAGA, ZŁY PIES!

Goguś nie miał żadnej miny, bo Gogusia wcale nie było. Był tylko deszcz, pusta plaża z powywracanymi koszami, spienione morze i mewy siedzące posępnie na falochronach. | „Taki pewny, że nawet nie zaczekał — pomyślałam. — Szkoda było tyle forsy na trzy pąsowe róże. Ubóstwia piękną aktorkę, a tymczasem będzie musiał wachlować się tymi różami, żeby ochłonać z rozpaczny”.

Chciałam podzielić się z kimś nowymi sensacyjnymi wiadomościami, więc pomyślałam, że najlepiej będzie zajść na Słowicza do Maćka. Po drodze miałam zamiar wstąpić do „Jantara”, żeby dowiedzieć się o kapelusz. Nie musiałam jednak wstępować. Przy wejściu do kawiarnianego ogródka ujrzałam bowiem kartkę przybitą pinezkami do słupa, a na kartce — ogłoszenie tej treści:

UWAGA! UWAGA!

W SOBOTĘ DNIA 4. LIPCA, W GODZINACH PRZEDPOŁUDNIOWYCH ZAMIENIONO MI W KAWIARNI „JANTAR” LETNI KAPELUSZ Z POPELINY. PANA, KTÓRY PRZYPADKOWO ZAMIENIŁ KAPELUSZ, PROSZĘ UPRZEJMIE O ODNIESIENIE GO - DO KAWIARNI, GDZIE

Walery Kolanko

56

„Sprawa pilna i ważna, a do tego niezwykle tajemnicza — pomyślałam. — Pan Walery albo naprawdę poszukuje kapelusza, albo chce komuś zamydlić oczy. Trzeba będzie to wyjaśnić”.

Jedno pewne: skoro ogłoszenie wisi na słupie, nikt do tej pory nie zwrócił zamienionego kapelusza. Nie musiałam więc wstępować do kawiarni ani wysłuchiwać uszczypliwych uwag kelnerki. Walnęłam się wprost do Maćka.

— Chcesz obejrzyć zdjęcia gniazd remizów? — przywitał mnie sławny ornitolog.

— Nie, mój drogi, mam same sensacje. Gdzie babcia?

— Babci nie ma, poszła kąpać się do morza.

— W taki ziąb?

— Babcia jest jedyną osobą, która codziennie, bez względu na pogodę i na temperaturę, kąpie się w Bałtyku.

— To naprawdę fenomenalna babcia! A ty co robisz?

— Wywołuję zdjęcia młodych mew. Robiłem je jeszcze w czwartek, gdy była pogoda.

Też fenomenalny! Tutaj Goguś posyła róże pięknej aktorce, aktorka ma go w nosie, on niknie, a Maciek nic, tylko wywołuje.

— Wyobraź sobie! — zawołałam i szczegółowo zrelacjonowałam, co się działo od rana. A potem dodałam: — Musimy odnieść te róże na ulicę Żart. Zdaje mi się, że on tam mieszka. Przy sposobności wywąchamy, czy nie ma u niego tego kapelusza, a jeżeli się da, to gwizdniemy...

— Chcesz gwizdnąć cudzy kapelusz! — przeraził się Maciek.

— Nie na zawsze. Po prostu trzeba sprawdzić, czy ma pod skórzaną podkładką gazetę.

— A jeśli wyrzucił gazetę?

57

— To zaniesiemy wiolonczeliście. On już pozna swój kapelusz.

— Przecież mówiłaś, że nie jesteś pewna, czy mu w ogóle zamienili, czy tylko udaje.

— Tak, ale w każdym razie trzeba coś robić, bo jeśli będziemy oglądali gniazda remizów, to nie

dowiemy się niczego. Ubieraj się i walimy!

Maciek był harcerzem. Umiał ubierać się w tempie alarmowym. Wskoczył do gumowych botów, wcisnął się w sweter, nadział się w wiatrówkę, przez jedno ramię przewiesił aparat fotograficzny, przez drugie lornetkę i był już gotów. Bardzo mi się podobał, bo wyglądał jak sławny podróżnik Nansen, tylko nie miał brody.

— Po co ci ten aparat i ta lornetka? — zapytałam.

— Nigdy nie wiadomo, czy nie zjawi się jakiś rzadki ptak. W ubiegłym roku na jeziorach augustowskich natknąłem się na gniazdo żurawia i, niestety, nie mogłem zrobić zdjęcia, bo nie miałem przy sobie aparatu.

— Słuchaj, Maciek — zauważyłam. — Czy my wybieramy się na ptaki, czy po kapelusz?

Maciek uśmiechnął się tajemniczo.

— Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy.

Na ulicy Żart, pod koronami starych topoli i jaworów, panowały egipskie ciemności. Z trudem odszukałam furtkę, przez którą wczoraj wychodził Goguś. Niestety, była zamknięta, a na dodatek na słupku wisiała tabliczka z wymalowanym napisem: UWAGA, ZŁY PIES!

— To tutaj — powiedziałam.

— Ładnie trafiłaś! Nie mam ochoty, żeby pies podarł mi portki.

Zajrzałam w głąb ogrodu. Nie było żywego ducha, jeśli w ogóle duch może być żywy. Nie było nawet złego psa.

58

Zarośnięta trawą ścieżka prowadziła łukiem w stronę wysokich krzewów, spoza których wyłaniał się kryty czerwoną dachówką dom. Było cicho. Dom zdawał się być wymarły. W mroku coś szeleściło, turkotało. Może to deszcz bębnił o listowie i woda bulgotała w rynnach. Skóra mi cierpła i czułam, że się pocę...

— Na co czekamy? — zapytał Maciek.

— Na Gogusia — odparłam zniecierpliwiona.

— Przecież widzisz, że zamknięte na klucz.

— Ale skoro jest zamek, to znaczy, że furtka się otwiera.

— Tak, ale tu zupełnie pusto. Jakby nikt nie mieszkał w tym domu.

— Jestem pewna, że tam właśnie Goguś schował kapelusz.

— Jeżeli schował, to nic na to-nie poradzisz, bo nie wejdiesz do środka.

— Zobaczmy... — powiedziałam z uporem, choć przyznam się, że najchętniej zwiłabym, gdzie pieprz rośnie. Przy ornitologu nie wypadało. Pomyślałby, że dziewczyny to coś gorszego. Zwinęłam dłonie, uniosłam do ust i zawołałam:

— Hop! hop! Proszę pana! Hop! hop! Przyniosłam róże. Hop! hop!

Odpowiedziało mi tylko echo, które w takich wypadkach zwykle odpowiadać.

Maciek cmoknął zniecierpliwiony:

— Nie wydzieraj się, Dziewiątka, bo gołębie wystraszysz.

Oczywiście dla niego ważniejsze gołębie od kapelusza. Dobry sobie, nie ruszy palcem i jeszcze ma pretensje. Na przekór zawołałam jeszcze głośniejsze. Wtedy z ogrodu dał się słyszeć niski, chrapliwy głos:

52

— Kto tam tak hałasuje? Nikogo nie ma w domu.

— Jak to nie ma — zawołałam — kiedy ktoś się odzywa.

— Powtarzam, nie ma nikogo w domu. Poszli na sumę do kościoła.

— My w ważnej sprawie! — krzyknęłam raczej ze strachu aniżeli z chęci prowadzenia rozmowy.

— Zaraz — odezwał się ten sam niski, jakby spod ziemi dochodzący głos. I nagle zza krzaków wyszła na ścieżkę stara kobieta. Była zgarbiona, chuda, koścista. Chroniąc się przed deszczem, narzuciła na głowę czarny fartuch i sunęła ku nam jak duch.

— Czego chcecie?

— Przepraszam bardzo — powiedziałam jak nauprzejmiej —r my do tego pana, który tu mieszka.

Łypnęła na mnie złym okiem.

— Tu nie mieszka żaden pan, tylko ogrodnik, a ogrodnik poszedł z żoną do kościoła.

— Przyniosłam... odniosłam... — plotłam — temu panu róże, bo pani Monika...

— Co ty wygadujesz? — huknęła na mnie. — Mówię, że tu nie ma żadnego pana.

— Przecież widziałam wczoraj, jak wychodził.

— Jeden to wychodzi? Mówię ci, że tu ogrodnik. Ludzie przychodzą i wychodzą.

— Przepraszam — wy bąkałam. — Mnie się zdawało...

— Niech ci się dalej zdaje — mruknęła. Odwróciła się i pokuśtykała w stronę domu. .

Maciek uśmiechnął się cierpko.

— Ty zawsze masz swoje widzimisię. Generalna kłapa. Goguś tu nie mieszka, a wczoraj zamawiał tylko kwiaty.

Myślał, że mnie przekona, ale mu się nie udało.

GO

— Jeżeli masz dobre oczy, to przyjrzyj się dobrze — podsunęłam mu kwiaty pod nos. — Widzisz? Kwiaty są z kwiaciarni „Cyklamen” z ulicy Bursztynowej. Masz tu na opakowaniu firmę. I w ogóle nie podoba mi się ta babula!

— To jednak niczego nie zmienia — powiedział Maciek filozoficznie.

Nie wiedziałam, co czego nie zmienia, lecz nie zastanawiałam się nad tym.

Przypuszczałam jedynie, że w krzyżówce, którą mieliśmy rozwiązać, znalazł się nowy haczyk.

Staliśmy chwilę, lecz jak długo można stać pod tabliczką: „Uwaga, zły pies!” Ruszyliśmy więc w stronę Plażowej.

WILK MORSKI

Szliśmy nie wiedząc po co, a tymczasem okazało się, że zrobiliśmy nowe odkrycie, bo gdy skręciliśmy w ulicę Plażową, ujrzeliśmy drugą furtkę prowadzącą do tego samego domu, a przy niej Gogusia. Stał odwrócony do nas plecami i zamykał furtkę. Wygasła fajeczka tkwiła w jego zębach jak znak zapytania. Inaczej prawdopodobnie nie poznałabym go. Wyglądał bowiem jak wilk morski wybierający się na połów śledzi. Gumowe buty, długi rybacki płaszcz, a na głowie czapka sztormowa. Dziwny z niego człowiek!

Nic nie robi, tylko przebiera się dziesięć razy dziennie. Raz udaje Don Juana, raz sportowca, to znowu rybaka. Czy mu się to nie znudzi?

Cóż miałam robić? Zbliżyłam się z trzema pąsowymi różami. Udał, że mnie w ogóle nie spostrzega, jakbym była mgłą albo niżem barometrycznym.

61

Podeszłam z szatańskim uśmieszkiem.

— Nie spodziewał się pan, co? Zrobił dorszowate oczy.

— Przepraszam, czego się nie spodziewałem.

— Był pan stuprocentowo pewny?

— Czego pewny?

— Że pani Monika nie odpali pana.

— Ach — uśmiechnął się niemrawo i dopiero teraz raczył zauważyć dowód swej klęski: trzy pąsowe róże. ^

— Pani Monika powiedziała — ciągnęłam z piekielną

· u ???? nn^gdił w swoim

przyjemnością — zęby pan te roze pusau/?i ogródku i nie zawracał jej głowy, bo takich wielbicieli, jak

pan, ma na pęczki.

Myślałam, że fajka wypadnie rnu z zębów, uśmiechnął się tylko jak marynowany śledź i zaznaczył:

— Zdarza się, moja droga. Nie przyjęła tych, może przyjmie inne.

— I nie udał się zadatek uwielbienia. — Ruchem pełnym pogardy podałam mu róże. Wzruszył ramami "

— Zatrzymaj je dla siebie w nagrodę, że byias taka uprzejma. . ,

— Dziękuję. Nie przyjmuję kwiatów od nieznajomych.

Goguś z podziwem pokręcił głową.

— Tupecik to ty masz, ho, ho! I ostry język - powiedział i uśmiechnął się zjadliwie.

„. - . . !?^?.??? __ odwzajemm-

— A pan udaie tajemniczego WWIM , .

. . . . ,.. -Lachem __Niby buja pan

łam się jeszcze zjadliwszym usimetllt:111- J

w obłokach, a każe mówić, że pan tu nie mieszka.

Goguś przestał być Gogusiem, Przestał b^ć naTe; ^{TM1}_kiem -morskim. Wyjął fajkę, zmarszczył brwi, zaciął zęoy i tak na mnie spojrzał, jak gdyby chciał mnie zasztzyieto-

wac.

G2

— Czego ty chcesz ode mnie?

Ba, gdybym mu powiedziała prawdę, to — jestem pewna — zrobiłby ze mnie pastę śledziową. Tym razem tak mnie замуrowało, że nie mogłam wydusić słowa.

Wydusił za mnie Maciek.

— Chcemy się dowiedzieć — powiedział zadziornie — gdzie jest kapelusz, który wczoraj zamienił pan w „Jantarze”?

Twarz mu się wydłużyła, oczy zaokrągliły i byłam pewna, że zacznie się usprawiedliwiać, tłumaczyć. On tymczasem uśmiechnął się kpiąco i wzruszył ramionami.

— Dajcie mi święty spokój. Tej małej coś się przyśniło i już drugi raz zaczepia mnie w sprawie, o której nie mam zielonego pojęcia. — Odwrócił się, a potem rzucił przez ramię: — I radzę wam, idźcie się bawić, a nie zaczepiajcie spokojnych ludzi. — Zbiegł po betonowych schodkach na plażę, a ja zostałam z trzema pąsowymi różami w ręku i z zupełnym galimatiasem w głowie.

SMOK, NIE WĘGORZ, MÓJ PANIE!

— Może tobie naprawdę przyśnił się ten kapelusz? — zapytał Maciek.

Gdyby nie był sławnym ornitologiem, kopnęłabym go w tej chwili w kostkę.

— Nie wierzysz mi? A wiolonczelista? A depesza? A krzyżówka? A róże dla pani Moniki? A ta cała heca, że niby tu nie mieszka? W takim razie tobie też przyśniło się, że był w tej chwili i własnym kluczem zamykał furtkę?.

Maciek zamyślił się. Po chwili powiedział:

— To naprawdę dziwna sprawa.

83

— Dziwna i podejrzana.

— I do tego bardzo interesująca. Co mamy robić?

— Jak to: co? Musimy go śledzić.

— Szkoda, że nie zrobiłem zdjęcia.

— A po co?

— Bo obecnie w służbie śledczej bardzo często używają fotografii do wykrywania przestępcy i rozwiązywania zagadek detektywistycznych.

— Mam nadzieję, że jeszcze nieraz będziesz miał okazję sfotografować tego wytwornisia. A teraz nie możemy stracić go z oczu!

Goguś tymczasem szedł na plażę. Wiatr rozwiewał mu poły czarnego płaszcza, a gdy patrzyliśmy na niego z góry, wyglądał jak wielki ptak, który usiadł na brzegu morza. Chwilę wpatrywał się w zamglony horyzont, potem ruszył samym brzegiem w stronę domków campingowych. Może lekarz zalecił mu wdychać jod i utleniać organizm? Licho

go wie!

Cała sztuka śledzenia polega na tym, żeby widzieć śledzonego, a nie być przez niego widzianym. Umówiliśmy się, że ja pójdę wysokim brzegiem, a Maciek zejdzie na plażę i będzie udawał zbieracza bursztynów. Szłam więc i widziałam doskonale Gogusia, a on mnie wcale nie widział. Myślał zapewne, że już dawno jestem w domu wczasowym „Ustronie” i bawię się z dziećmi w ciuciubabkę albo w fanty. Chytra sztuka!

Przy barze mlecznym kończyła się ulica Plażowa. Dalej brzeg spiętrzał się gwałtownie w wysokie wydmy, a dalej rósł piękny, wysokopienny las sosnowy. Za wydmami na polanie widać było obóz harcerski.

Szłam wolno ścieżką wzdłuż stromego brzegu. Poda mną leżała pusta plaża i spienione morze, a na plaży, jak czar-

G4

ny żuczek, pełził Goguś w rybackim rynsztunku sztormowym. Za nim, może o dwieście metrów — Maciek udawał, że zbiera bursztyny.

A wszystko było tak zabawne, że tylko pękać ze śmiechu.

Niestety, musiałam być cicho, gdyż Goguś zaraz zwróciłby na mnie uwagę.

Zdawało mi się, że Goguś jest bardzo smutny i bardzo zakochany, dlatego błądzi po pustej plaży, wzdycha do zamglonej dali i nie może sobie darować, że tyle forsy wybulił za te pąsowe róże. Lecz oto w Gogusia nagle wstąpił nowy duch. Przestał być romantycznym rybakiem. Niby alpinista wspiął się na wysoką skarpe brzegu i zginął w lesie. Myślałam, że znów się rozpląnął. Pobiełam szybko w tamtym kierunku. Na szczęście ujrzałam go na ścieżce. Sadził wielkimi krokami i nic sobie z niczego nie robił.

Dałam nura w zarośla i szłam za nim jak szlachetny Indianin za nędzną bladą twarzą, coraz bardziej ciekawa, dokąd on tak sadi.

Wkrótce ścieżka kończyła się, a przed nami wyrósł stary drewniany dom. Stał w szczerym lesie, jak pustelnia albo kryjówka dzielnego traper. Miał solidne fundamenty z kamienia, ściany z potężnych

bierwion, a dach kryty gontami. Ogromnie mi się spodobał. Chętnie zamieszkałabym w takim samotnym domu. Polowałabym na dzikiego zwierza, łowiła ryby, a wieczorem przy kominku opowiadała niesamowite przygody...

Gogusiowi też się widocznie spodobał, bo długo przyglądał się i podziwiał jego niecodzienne piękno. Chytrus, niby to, zachwycił się, a tymczasem coś knuł i spiskował, bo cichaczem jak złodziej okrążył dom, a potem, jakby nigdy nic, wszedł na murowany ganeczek i zapukał do drzwi. Nie

5 Kapelusz za 100 tysięcy

65

odpowiedziało nawet echo. Nikogo nie było w domu. Ale Goguś nie przejął się tym zupełnie. Przeciwnie, zainteresował się jeszcze bardziej: kilka razy poruszył klamkę, zajrzał pod wycieraczkę, obmacał dokładnie futryny okien. Najwidoczniej chciał się dostać do środka.

„Czego on tam szuka?” — zapytałam w myśli. Niestety, nie zdążyłam znaleźć odpowiedzi, bo na ścieżce prowadzącej od Nieborza zjawiała się nowa postać. Najpierw zobaczyłam rudą brodę, a potem — resztę. Był to barczysty mężczyzna w podeszłym wieku. Miał na sobie zielony, brezentowy płaszcz z dużym kapturem i gumowe, wysokie buty. W jednej ręce niósł kilka wędek, a w drugiej wiklinowy koszyk rybacki. Był wielki, masywny jak ten stary dom. Mimo podeszłego wieku szedł krokiem sprężystym, jakby chciał zmiażdżyć ziemię stopami.

Goguś ujrzał go w porę. Momentalnie przeistoczył się w człowieka pełnego taktu i elegancji. Zszedł z ganeczku po kamiennych schodkach z taką swobodą, jakby wychodził z gościnnego przyjęcia. Na widok zbliżającego się brodacza skłonił się wytwornie.

— Dzień dobry, przepraszam bardzo, czy pan mieszka w tym uroczym domku myśliwskim?

Brodacz zatrzymał się gwałtownie.

— A kogo pan szuka? — zapytał.

— Chciałem jedynie dowiedzieć się, czy nie ma tu pokoju do wynajęcia. Uwielbiam takie leśne ustronia.

— To prywatny dom i nie wynajmuje się pokoi — odparł oschle brodacze. Chciał wyminąć Gogusia, lecz ten zastąpił mu drogę.

— Uwielbiam takie leśne zakątki — powtórzył mrużąc z zachwyty oczy. — Jestem miłośnikiem natury.

— Mało mnie to interesuje.

66

Myślałam, że Goguś nareszcie ustąpi, lecz on, nie zważając na opryskliwy ton brodacza, uśmiechnął

się najwytworniej w świecie.

— Widzę, że pan był na rybach. Ubóstwiam sport wędkarski. Niestety, przyjechałem tu na kilka dni i nie wziąłem ze sobą sprzętu.

Leżałam za pniem wielkiej sosny i skręcałam się ze śmiechu, bo nigdy jeszcze nie spotkałam takiego czarodzieja i chytrusa. Artysta, daję słowo! Mieszkał już w jednym domu, w którym właściwie nie mieszkał, a teraz znowu udaje, że chce mieszkać w pustelni. Miłośnik natury i pięknych widoków! Gdyby mnie teraz zobaczył, miałby najpiękniejszy widok.

— Wyciągnął pan pewno coś okazałego — zagadnął zerkając na koszyk. Trafił w samą dziesiątkę, w najczulszy punkt wszystkich wędkarzy.

67

Brodacz zamilkł na chwilę, lecz nie byłby amatorem wędkarstwa, gdyby nie pochwalił się swoją zdobyczą. Zaśmiał się triumfalnie, sięgnął do koszyka.

— Zgadł pan! Od trzech lat nie wyciągnąłem takiego smoka. — Smokiem okazał się węgorz, którego brodacze pokazał chętnie. — Półtora metra, mój panie. Taka sztuka. I kto by to przypuszczał — w takim jeziorze! W klubie mi nie uwierzą, ale pan jest świadkiem. Półtora metra. Smok, nie węgorz, mój panie!

— 'Gratuluję panu! — zawołał Goguś. Myślałam, że rozplynie się z zachwytu. Jednak tylko zapytał: — Usmaży go pan czy zamarynuje?

Tym razem spudłował. Brodacze zachnął się gniewnie:

— Mój panie, nie będzie mi pan zaglądał do garnka. I dziwię się, że pan się tu kręci. Już mówiłem, że to prywatny dom i nie ma pokoi do wynajęcia.

Goguś nie byłby Gogusem, gdyby nie znalazł odpowiedzi. Ukłonił się "oziębło, wsadził fajeczkę do ust i z kpiącym uśmiechem rzucił:

— Myślałem, że mnie pan zaprosi na marynowanego węgorza. Najlepsza zakąska pod wódkę! Przepraszam pana najuprzejmiej i życzę szczęśliwych połowów!

Brodacz mruknął coś, wzruszył ramionami i splunął, jakby żałował, że niepotrzebnie pokazywał półtorametrowego węgorza. Nie obejrzawszy się wszedł na ganeczek.

Byłam ciekawa, co robi Goguś. On tymczasem odszedł normalnym krokiem i ssał normalnie fajeczkę. Udawał zapewne, że ma wszystko w nosie i bimba sobie z marynowanego węgorza. Miał przecież inne zamiary. Dla jednej przekąski pod wódkę nie zagląda się pod wycieraczkę i nie obmacuje futryn okiennych, a przede wszystkim nie ma się tak tajemniczej miny.

68

KTO ZDMUCHNĄŁ DRUGI KAPELUSZ?

Byłam zawsze bardzo ciekawa, nawet wścibska. Ale jak tu nie być ciekawą, skoro mnie wszystko interesowało i chciałabym o wszystkim wiedzieć. Na przykład teraz, gdy leżałam za sosną, korciło mnie, żeby zajrzeć do okna myśliwskiego domu, a jednocześnie ciągnęło za Gogusiem. Jaka szkoda, że nie mogłam być jednocześnie W dwóch miejscach!

Tymczasem Maćka w ogóle nigdzie nie było. Pewno zobaczył jakiegoś ciekawego ptaka i o wszystkim zapomniał. Do kitu z takim detektywem!

Zdecydowałam, że pójdę za Gogusiem. Wytwomiś nie udawał już romantycznego rybaka zasłuchanego w szum fal Bałtyku. Walił prosto do Nieborza. Myślałam, że pogubi nogi. A w Nieborzu minął bar mleczny, skierował się na ulicę Plażową, zatrzymał się tam, gdzie przypuszczałam, otworzył furtkę, zamknął ją za sobą i znikł za krzakami otaczającymi dom ogrodnika.

A ja znowu zostałam z trzema różami w ręku i z ćwiekiem w głowie. Róże były tak zmięte i połamane, że nadawały się jedynie na paszę dla trzody chlewnej. A ćwiek? Ho, ho, z ćwiekiem to nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza w takiej sytuacji, gdy z domu wychodzą dwie furtki — jedna na ulicę Żart, a druga na Plażową — i trudno domyślić się, którą zechce Goguś wybrać. I czy w ogóle Goguś nie wybierze trzeciej, prowadzącej prawdopodobnie na ulicę Krótką?

Furtki były trzy, ja jedna. Gdybym chciała czatować na Gogusia, musiałabym się r o z t r o i ć, a tego, niestety, nie potrafiłam. Zostałam więc przy tej, do której Goguś miał dzisiaj klucz.

69

„:| . . . |flrt Udawałam, że podzi-

Ukryłam się za rogiem ulicy ^dl . . .

„ . „ · i?? można spotkać na pol-

wiam naturę — florę i faunę, ja*<*

„ , r · „, niekuymi klonami, wsłu-

skim wybrzeżu. Zachwycałam Si? V ^ ...

„ . -ii szukałam w gęstwinie

chiwałam się w melodię deszczu, _ °

„ , , -. „ , Może zjawi się jakiś ma-naiciekawszych okazów ptaków. iVJ- . . . , , ,

· , , . . , i,och przemknie jelen lub

rabut lub remiz, może w krzaka^ v . M.*..

. . . ^Pbv usprawiedliwić moje żubr, tak na niby, oczywiście, z^kj
' , , , wróbli nie ujrzałam zad-
udawanie. Niestety, prócz dwocn w
nych przedstawicieli fauny. , , . . , .
. , , vtn wydał mi się podejrze-
Zobaczyłam natomiast kogoś, kto ?. _ ? * > j
, , % wielkiej łysinie, wyłania-
nie znajomym. Poznałam go po w
jącej się spod parasola jak księżyc sp e pl^J . ?
Wiolonczelista, oczywiście! Ukaza* b; j J
n . ^, 11 fał- Szedł zamyślony, duch wywołany z mgły i szum"
W ręku trzymał starą ceratową tęczę & _
^J , , . ^oworu lub klonu, ale pan
Chciałam się ukryć za pniem JdV *,
, . , , , ulice Żart i zobaczywszy Walery Kolanko skręcił nagle w UULt? J J
mnie, przywitał jak dobrą znajomą-
— Jak się masz, Dziewiątko? . . . , ,
4 ' mam się zupełnie dobrze.
_ Dziękuję - odrzekłam - *LL ^ P?
Może nawet lepiej, niż pan przypis
— Ja?... — potarł dłonią czo*o. ^ J' droga, nie najlepiej. . , ŚM 0 ka.
— Pewno pan w nocy nie spd1' J
peluszu? Muszę ci powiedzieć,
— Zgadłaś, moja droga... zgao*as-że ta zamiana kapeluszy to dziwna sp

— I ja tak sędę. t0 zwykła pomyłka.

_ Początkowo myślałem, że ° * ? ^4^,,

_ I dlatego wywiesił pan ^ Jcoś tu nie klapuje.

— Tak, ale teraz zrozumiałem, że

— Dlaczego?

70

— Wyobraź sobie, moja miła, że ten drugi kapelusz też się ulotnił z kawiarni.

Gdyby mi powiedział, że w Nieborzu wylądowali Marsjanie, nie zdumiałabym się bardziej.

— Masz babo placek — westchnęłam. — Kiedy?

— Właśnie przed chwilą.

— Tak po prostu... ulotnił się?

— Nie mam pojęcia, moja Dziewiątko. Przychodzę, pytam, czy przypadkiem ktoś nie zgłosił się, a kelnerka załamuje ręce. „Bardzo pana przepraszam — mówi. — Ale ten drugi też zginął. Wisiał przed chwilą na wieszaku, ledwom się rozejrzała, a tu jak kamień w wodę...” Przysięga, że nie widziała, żeby ktoś go zabierał.

— Przecież się nie rozpułnął. Nie wierzę w cuda.

— Ja też nie wierzę, a jednak coś w tym musi być.

„Bujaj zdrów — pomyślałam. — Pewno sam sprzątnąłeś ten kapelusz, drogi panie wiolonczelisto, żeby komuś zamydlić oczy. A może?...” Nie miałam ochoty rozmyślać, bo i tak już dobrze kręciło mi się w głowie. Wiolonczelista tymczasem zdjął okulary i byłam pewna, że powie coś bardzo ważnego.

— Tak, Dziewiątko — westchnął — pomyśl tylko, co ja powiem, jeżeli ktoś zgłosi się po kapelusz?

Istotnie, nie miałam pojęcia, co można powiedzieć w takim wypadku. Zapytałam więc od niechcienia:

— Przepraszam bardzo, a dokąd pan teraz idzie?

— Do ogrodnika — odparł bez namysłu.

— Po kwiaty? — uśmiechnęłam się kpiąco.

— Nie, po kalafiory. To przecież jedyne miejsce w całym Nieborzu, gdzie można dostać świeże jarzyny wprost z grządek.

Naiwny, myślał, że mu uwierzę. Jeszcze jeden amator — tym razem świeżych jarzyn. Ciekawe, komu pośle bukiet z kalafiorów i ogórków?

— Komu pan chce zrobić prezent? — zapytałam. Spojrzał na mnie badawczo.

— Ty coś za bardzo jesteś ciekawa i stale wypytujesz mnie, jak na spowiedzi. Powiedz, moja droga, co ty przede mną ukrywasz?

— Ja? — uśmiechnęłam się ścichapek. — To właśnie ja chciałabym wiedzieć, co piszczy w trawie i w ogóle...

— Dziwna z ciebie dziewczyna — rzucił znienacka — właściwie miła, a jednocześnie tajemnicza i podejrzliwa.

— Jak pan uważa — powiedziałam. — A skoro idzie pan do ogrodnika, to proszę ode mnie pozdrowić tego faceta z fajeczką, który niby tam nie mieszka.

— Wiolonczelista spojrzał na mnie wyrozumiale.

— Co ty wygadujesz? Może masz gorączkę. Radzę ci, wróć do domu i poproś, żeby ci mamusia zmierzyła temperaturę. Taka psia pogoda, mogłaś się przeziębic.

— To się okaże — powiedziałam z przekąsem.

— Co się okaże?

— Kto z nas ma gorączkę.

Wzruszył ramionami, założył szkła i kręcąc głową odszedł bez pożegnania. Widocznie zrozumiał, że wiem coś w sprawie, która nie dała mu spać tej nocy. A ja śmiałam się w kułak, bo czułam, że zabiłam mu porządnego ćwieka.

Byłam zresztą pewna, że wiolonczelista idzie na spotkanie z Gogusiem. Obaj to bardzo podejrzane typy. Pod pozorem zamiany kapelusza planują jakąś ogromną aferę, na której mogą zarobić sto tysięcy albo nawet więcej. Oto — zdawało mi się wtedy — klucz do rozwiązania zagadki kapelusza.

SENSACJA ZA SENSACJĄ

Czekałam, kiedy zjawi się pan Walery Kolanko, tymczasem zjawił się Maciek. Stał przede mną, jak gdyby wyrósł spod ziemi. Był bardzo zziąjany, bardzo zły i twarz miał straszliwie podrapaną.

— Ja cię szukam — zawołał — a ty sobie siedzisz spokojnie pod płotem!

— Phi, co z ciebie za detektyw — rzuciłam z odcieniem wzgardy. — Miałeś przecież śledzić Gogusia.

— Straciłem ślad.

— Fajtłapa!

— Nie fajtłapa, tylko nie mogłem odnaleźć śladów jego butów.

— A gdzieś ich szukał?

— W największych gęstwinach.

— Widać to po twojej buziuchnie.

— Przestań się nabijać, bo mogę zrezygnować ze współpracy. Zresztą nic straconego. Wyobraź sobie, znalazłem wspaniałe gniazdo wielkiego rybołowa i widziałem dwie piękne sójki.

— Bravo! — zaśmiałam się kpiąco. — Pan detektyw podziwia sójki, a tutaj dzieją się rzeczy, o których ci się nie śniło.

— Co takiego? — wytrzeszczył na mnie oczy.

— A ja nic, tylko muszę opowiadać.

— Błagam cię, Dziewiątka, jestem okropnie ciekawy! Cóż miałam robić? Opowiedziałam. Myślałam, że osłupieje, a on tymczasem zapytał:

— Ciekaw jestem, jaki gatunek kalafiorów uprawia ten ogrodnik?

73

— Marabuty! — zawołałam oburzona. — A ty lepiej zajmij się sójkami... — Chciałam go jeszcze porządnie objechać, lecz na ścieżce wiodącej do furtki ujrzałam coś, co mi odjęło mowę. Nie chciałam wierzyć własnym oczom. Oto dwaj właściciele dwóch identycznych kapeluszy idą sobie, jak gdyby nigdy nic, pod dwoma parasolami, i do tego — bez kapeluszy. Sensacja największego kalibru! Kpiny w żywe oczy! Uśmiechają się do siebie, rozmawiają jak starzy znajomi. Byłam pewna, że nie gawędzą ani o kalafiorach, ani o ogórkach, ani o niżu barometrycznym, który pogłębia się nad Skandynawią, chociaż miny mieli tak niewinne, jakby właśnie o tym rozprawiali.

— Mamy ich! — szepnęłam do Maćka.

·:Maciek rozdziawił usta i nic nie powiedział, bo nie stać go było nawet na jedno słowo. Musiałam myśleć za niego.

— Mamy ich! — powtórzyłam. — Teraz nam się nie wymigają. Ty pójdziesz za tym łysym, a ja za Gogusiem.

Chwilowo jednak musieliśmy iść razem, gdyż podejrzane typy nie miały ochoty rozstać się. Na szczęście nie zauważyli nas. Wyszli na ulicę Żart, skierowali się na Jana z Kolna i najbezzwłoczniej w świecie zbliżali się spacerowym krokiem do kawiarni „Jantar”. Myślałam, że pójda na kawę, tymczasem na rogu Słonecznej rozeszli się w dwie strony; wiołonczelista poczłapał ku Polnej, Goguś w stronę Plażowej.

Teraz dopiero zaczęła się dla nas prawdziwa robota. Maciek walnął się za wiołonczelistą, a ja za Gogusiem. Byłam pewna, że jeszcze dzisiaj rozwiążemy najbardziej tajemniczą zagadkę Nieborza — zagadkę kapelusza za sto tysięcy.

Goguś był już zwykłym Gogusiem, tym samym, jakiego zobaczyłam po raz pierwszy w „Jantarze”. Flanelowy garnitur, nieskazitelnie biała koszula, czarne buciki w szpic

74

i mina Don Juana. Tylko krawat inny. Ale to nic dziwnego. Taki wytwornis i fircyk ma pewno ze sto krawatów, a może i więcej. Stać go na to! A w zębach nieodłączna fajeczka.

I nie byłby Gogusiem, gdyby nie skręcił w Plażową, nie przyjrzał się falom i nie wszedł do hotelu „Pod Trzema Żaglami”. I ja nie byłabym Dziewiątką, gdybym nie pomyślała, że znowu coś knuje. Pewno zastawia nowe sieci na piękną aktorkę.

Chwilę się wahałam — wejść czy nie wejść. Raz kozie śmierć!

Weszłam, choć skóra lekko cierpła mi na grzbiecie i nogi ugiwały się pode mną. Pchnęłam obrotowe drzwi. Znalazłam się w wielkim hallu. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był dwukołowy wózek lekarski, a na wózku kaleka o twarzy męczennika. Chciałam podejść do niego i powiedzieć, że znalazłam ptaka, który zaczyna się na „m”, a kończy na „t” i ma siedem liter, lecz nie zdążyłam. Podszedł do mnie tęgawy facet w granatowej marynarce ze złotymi guzikami i zapytał, czego szukam.

— Przyszłam do pani Płoszańskiej, tej aktorki, jeśli pan chce wiedzieć.

Portier oświadczył, że pani Płoszańska wyszła właśnie przed chwilą, więc mogę śmiało opuścić hotel.

— To ja poczekam — powiedziałam zadziornie. Tęgawy facet radził, żebym raczej poczekała na tarasie,

bo zabłocę buciorami cały hall i zaleję go wodą spływającą z peleryny. Bezzwłocznie, tak na mnie patrzył, jak gdyby moje błoto i moja woda były gorszego gatunku. Zapamiętałam to sobie. Niech nie myśli, że ma do czynienia z byle kim. Gdyby wiedział, że byłam kiedyś szefem gangu, na pewno kłaniałby się w pas i uśmiechał przymilnie.

75

Nagle w rogu przy kontuarze, gdzie wisały klucze, zobaczyłam Gogusia. Jemu też spływała woda z zamkniętego] parasola, ale oczywiście nikt nie śmiał zwrócić mu uwagi.' Ja tymczasem ujrzałam, że

portier z za kontuaru podaje 1 mu klucz.

Nowa sensacja. Więc Goguś nie mieszka w domu ogród-i ?i??, tylko przebiera się tam jak w garderobie. Tymcza-j sem buli najmniej sto złotych dziennie za pokój w hotelu. Widocznie chce wszystkim pokazać, że stać go na to. W ho-] telu czaruje na pokaz, a w domu ogrodnika znalazł melinę, i Znamy się na takich.

Potrząsając w dłoni kluczem Goguś przemierzył hall, wspiał się na schody i znikł na klatce schodowej.

— Na co czekasz, panienko? — zapytał mnie portier. Zrozumiałam, że chce mnie jak najszybciej wyprosić. Byłam zupełnie oszołomiona, jak gdyby sufit zawalił mi się na głowę. Portier ujął mnie za ramię, chciał mnie siłą wy-1 pchnąć za drzwi, lecz w tej chwili ujrzałam wózek lekarski, który toczył się w moją stronę.

— Dzień dobry! — przywitał mnie kaleka. — Miałaś mi pomóc w rozwiązaniu krzyżówki.

— O, właśnie — zwróciłam się do człowieka na wózku. — Mam już tego ptaka.

Nieznajomy wyciągnął ku mnie kościste ręce.

— Z nieba mi spadasz! No proszę, co to za ptak, przez którego nie mogłem wczoraj zasnąć.

Miałam już na końcu języka, lecz w tej samej chwili, jakby mnie ktoś zaczarował, zapomniałam. Wiedziałam, że zaczyna się na „m”, a kończy na „t” i ma siedem liter, ba, wiedziałam, że należy do rodziny 1 e p t o p t i 1 u s, zamieszkuje Afrykę, jest ścierwojadem i gnieździ się na baobabach, lecz nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazy-

76

wa. Widocznie los tak chciał, bo gdybym sobie wtedy przypomniała, sprawa kapelusza za sto tysięcy wyjaśniłaby się dużo wcześniej.

— Zapomniałam — westchnęłam żałośnie.

— Zastanów się — powiedział łagodnie — może sobie przypomnisz.

— Daję słowo, że wiedziałam, tylko na śmierć zapomniałam.

— Nie denerwuj się, mamy czas.

On: „nie denerwuj się”, a ja cała drżałam z przejęcia. Wiedziałam dokładnie depeszę, każde jej słowo, każdą dziurę, tylko ten podpis wyparował mi z głowy.

— Nie — powiedziałam zrozpaczona — bardzo pana przepraszam, ale naprawdę nie mogę sobie przypomnieć.

Portier już nie musiał wypraszać mnie z hotelu; sama wybiegłam, bo nie śmiałam spojrzeć w oczy kalece. Biedak ma sparaliżowane dolne kończyny, twarz męczennika, nie może spać w nocy, a ja zapomniałam. Wybiegłam więc z hotelu zawstydzona i zła na siebie.

TAJEMNICZA BASZTA

Deszcz pięknie padał, nie myślał nawet przestać, niż się pogłębiał, a ja gnębiłam się głupim ptakiem, który siedzi sobie na baobabie i ma mnie w nosie. Wnet jednak przestałam się gnębić, bo i tak nic mi z tego nie przychodziło. Dość miałam kłopotów z pewnym tajemniczym kapeluszem. Niech gęś kopnie ścierwojada z rodziny l e p t o - p t i l u s ó w!

Byłam ogromnie ciekawa, co wysledził Maciek. Mogłam przysiąc, że kroi się nowa sensacja. Tymczasem Maćka

77

nie zastałam w „Marysieńce” ani gdzie indziej. Spotkałam go dopiero na ulicy Pasiecznej.

— Gdzie byłeś tak długo? — zawołałam z daleka.

— Siedziałem na drzewie — odparł z bardzo tajemni-?: czą. miną. Jako dowód pokazał rozdarte na kolanie dżin- j sy. — Mam nadzieję, że teraz będziesz ze mnie zadowolona.

—! A skąd się wzięłeś na drzewie?

— Wdrapałem się.

— Rozumiem, ale po co?

— Śledziłem wiolonczelistę. .

Nareszcie jakaś ludzka wiadomość. Może z tego Maciusia coś jeszcze wyrośnie.

— Opowiadaj od początku! — rozkazałam.

Maciek dłuższy czas przełykał ślinę. Wreszcie zaczął:

— Mówię ci, Dziewiątka, to koronkowa robota. Wiolonczelista skręca w Polną, ja walę za nim... On skręca w Pasieczną, ja walę za nim...

— A potem przeszedł przez mur — wtrąciłam.

— Skąd wiesz?

— Wal dalej, bo nie mamy czasu.

— Więc walę przez mur, a potem przez krzaki. Mówię ci jak w dżungli. Myślałem, że go stracę z

oczu, ale go nie straciłem. A po drodze widziałem fantastyczny okaz czarnego dzięcioła...

— Dzięcioł mnie nie obchodzi, obchodzi mnie wiolonczelista. Czy bardzo był tajemniczy?

— Jeszcze jak!

— To wal dalej.

— Dalej to już nie waliłem, bo doszliśmy do tych ruin.

— Jakich ruin? Mów, bo pęknę z ciekawości!

— Zabytkowych. Widziałem nawet tabliczkę z napisem: „Obiekt zabytkowy, podlega ochronie”.

78

— Nie obchodzą mnie zabytki, tylko wiolonczelista.

— Ale on tam mieszka.

— W ruinach? Maciek, ty masz chyba gorączkę!

— Nie w ruinach, tylko w baszcie.

— W jakiej baszcie?

— Jest tam baszta, a w baszcie mieszka wiolonczelista.

— Czy on nie może mieszkać w domu, tylko w zabytkowej baszcie? To bardzo podejrzane.

— Czekaj, nie przeszkadzaj — ofuknął mnie Maciek... — Jeżeli mówię, że w baszcie, to w baszcie. Widziałem na własne oczy, jak wyjmował spod wycieraczki klucz, otwierał ciężkie żelazne drzwi i wchodził do środka.

— To sensacja!

— Jeszcze jaka! A potem zobaczyłem jego łysinę

w otwartym oknie.

79

— Czy to nie był przypadkiem duch?

— Nie. Duchy nigdy nie są łyse. A zresztą widziałem jego okulary.

— Przecierał?

— Tak.

— To na pewno był on.

— Na sto dwa. Więc słuchaj, co dalej zrobiłem.

— Wdrapałeś się na drzewo, i podarłeś dzinsy.

— Tak. Chciałem zobaczyć, co on tam robi...

— To fantastyczne! — zawołałam. Byłam pewna, że zaraz usłyszę coś, co mrozi krew w żyłach i jeży włosy na głowie. Zapytałam więc szeptem: — Więc co... Co on tam robił?

— Wyobraź sobie... obierał kalafiory. Myślałam, że Maciek ze mnie żartuje.

— Przecież taki tajemniczy facet nie może ot tak, zwyczajnie obierać kalafiorów. On chyba udawał albo chciał komuś zamydlić oczy.

Maciek rąbnął się pięścią w pierś.

— Daję ci słowo harcerskie, że wyjął z teczki kalafiory, włożył je do miseczki i obierał najnormalniej w świecie.

— A to chytra sztuka! Pewno zobaczył cię na drzewie.

— Nie.

— W takim razie musiał udawać, że cię nie widzi.

— Czy on zawsze musi udawać?

— Oczywiście, inaczej nie byłby podejrzanym osobnikiem. Zawiodłam się na tobie, Maciek. Myślałam, że przyniesiesz sensacyjne wiadomości, a ty opowiadasz mi o obieraniu kalafiorów.

— Czy ja jestem winien, że on obierał?

— I to wszystko? — zapytałam rozczarowana. Maciek tarł chwilę czoło.

80

— Zaraz... zaraz... Widziałem jeszcze w ruinach puszczyka albo sowę płomykówkę. Nie jestem tego pewien.

— Nieważne! — ucięłam. — Ja cię posyłam na zwiad, a ty się interesujesz puszczykami. — Czy to wypada?

— Daj spokój! — zachnął się. — Pierwszy raz w życiu widziałem puszczyka.

— I to już wszystko? — zapytałam z przekąsem.

— Zaraz... Na śmierć zapomniałem. Była tam jeszcze jakaś pani...

— I ty dopiero teraz to mówisz! — zawołałam. — Przecież to najważniejsze. Jaka pani?

— Bardzo ładna i bardzo elegancka. Mówię ci, zupełnie jak aktorka.

Tu mnie dopiero замуrowało. Jeżeli aktorka, to może Monika Płoszańska. Jeżeli pani Monika, to nowa, wielka sensacja i nowa zagadka. Wszystko klapuje. Portier wspomniał, że pani Płoszańska wyszła z hotelu. A więc...

— Wysoka? — zapytałam.

— Zdaje się, że wysoka.

— Zgrabna?

— Zdaje się, że zgrabna.

— I miała zrobiony makijaż?

— Co to takiego?

— Była wymalowana?

— Jak aktorka na scenie.

— To ona.

— Kto?

— Człowieku, czy ty się nie domyślasz?! No, kto? Pani Monika Płoszańska, która w tak artystyczny sposób odpaliła naszego Gogusia. Kapujesz?

Maćkowi z przejęcia zaschło w gardle, więc zamiast dalej opowiadać, długo łykał ślinę. Wreszcie wykrztusił:

? Kapelusz za 100 tysięcy

81

— Siedzę na drzewie, kikuję do pokoju wiolonczelisty, on płucze kalafiory, a tu coś szur, szur pod basztą. Patrząc, jakaś pani zbliża się do baszty. Rozejrzała się, wyjęła klucz z torebki, otworzyła bramę i znikła jak duch.

— Poszła do wiolonczelisty?

— Właśnie że nie. Wiolonczelista opłukał kalafiory, pokrajał je i postawił na elektrycznym piecyku.

— A ona?

— Licho ją wie.

— Nie widziałeś jej?

— Nie! Znikła i ani śladu, ani dychu.

— To ciekawe. Czy nie ma tam drugiego mieszkania?

— Chyba nie. Wszystkie okna zabite deskami.

— Może jest jakieś tajemnicze przejście do podziemi?

— Może.

— W takim razie już wszystko możliwe. I to, że ty nie jesteś ornitologiem, tylko maharadzą Pendżabu. Mówię ci, Maciek, że mi się od tego wszystkiego kręci w głowie i nic już nie rozumiem.

— 'Ja też nic nie kapuję — powiedział w zamyśleniu Maciek. — Ale trzeba iść na obiad, bo zbliża się druga.

— Jesteś genialny, Maciusiu! Na śmierć zapomniałam, że jestem głodna. Po południu wpadnę do ciebie. Ciao!...

TO DOPIERO HECA!

Na obiad była zupa pomidorowa, smażony dorsz z ziemniakami i placek z kruszonką.

I nareszcie cała rodzinka w komplecie.

— Znowu dorsz — powiedział tata.

— I znowu smażony — powtórzył jak echo Jacek.

82

Mama nic na razie nie powiedziała, bo rozgrywała jeszcze w myślach ostatnią partię brydża.

— Co ty robisz w ogóle? — zapytał mnie tata.

— Właśnie — powtórzył Jacek. — Podobno nigdzie cię nie widać.

— Ciekawe — odpaliłam. — Jeździsz z ojcem na ryby i chcesz mnie widzieć.

— Znowu! — westchnęła mama. — Przynajmniej przy obiedzie moglibyście się nie kłócić.

— Kiedy ona zawsze zacteyna! — zawołał Jacek. Tata cmoknął zniecierpliwiony.

— Daj spokój, bo będzie piekło. I w ogóle... nie podoba mi się.

— Przepraszam, co się tatusiowi nie podoba? — zapytałam.

— Że ciebie nigdy nie ma w domu.

— Właśnie — powiedziała mama. — Gdzieś ją zawsze poniesie. Szatan, nie dziewczyna.

— Ja? — zapytałam skromnie. — Przecież mówiliście jeszcze w Warszawie, że muszę koniecznie wdychać jod, to wdycham.

— Cały dzień nic nie robisz, tylko wdychasz? — zahaczył tata.

— I utleniam organizm. Podobno nad morzem jest więcej tlenu i ozonu.

— A ty masz coraz ostrzejszy języczek.

— Właśnie — powiedział Jacek — nic, tylko się odgryza.

— Znowu się kłóćcie! — mama załamała ręce. — Przecież ludzie słuchają. Wiedziałam, że tak będzie. — Naraz roześmiała się ni stąd, ni zowąd. — A ja dzisiaj zrobiłam szlemika w pikach.

8?>

— Ale pewno znowu przegrałaś — powiedział tato.

— Nie, mój kochany, zrobiłam ci miłą niespodziankę. Wygrałam.

— Ciekawe, ile?

— Trzy złote pięćdziesiąt.

— Wygrywasz trzy, a przegrywasz dwadzieścia.

— A ty mówisz, że przyniesiesz taaakiego szczupaka, a wracasz z dwiema płótkami.

Tata westchnął.

— Szkoda mówić, ty nigdy mnie nie zrozumiesz. Dzisiaj pechowy dzień, nie brało.

— A ja miałam bardzo miłe przedpołudnie — ciągnęła mamusia. — Grałam z jedną miłą doktorową z Rzeszowa. Mieszka „Pod Trzema Żaglami” i zaprosiła mnie do siebie na popołudniowego brydża.

W tym miejscu o mało co nie udławiłam się ością.

— Do hotelu? — zawołałam.

— A co w tym dziwnego?

— To ja, mamusiu, pójdę z tobą pokibicować. Jeszcze nie byłam w takim eleganckim hotelu.

— Przecież to nic nadzwyczajnego.

Gdyby mamusia wiedziała, że „Pod Trzema Żaglami” mieszka Goguś, który ma sto włoskich krawatów, i pani Monika Płoszańska, która znikła w baszcie i ani słychu, ani dychu po niej, to na pewno nie mówiłaby takich niedorzeczności.

— Weź ją, co ci szkodzi — zauważył tata. — Przynajmniej będziesz ją miała na oku.

Mamusia spojrzała na mnie.

— Tylko błagam cię, Krysiu, zachowuj się przyzwoicie i ubierz się po ludzku.

84

Ubrałam się po ludzku, a raczej jak normalna dziewczynka. Z obrzydzeniem włożyłam w spódniczkę, nadziałam się w popelinową bluzkę, wdepnęłam w babskie pantofle i myślałam, że mnie zemdli, gdy spojrzałam w lustro. Wyglądałam bowiem jak chłopiec, który przebrał się za dziewczynkę.

Co robić, trzeba było poświęcić się dla sprawy kapelusza. Poszłam więc z mamusią grzecznutką, dziewczęcą, jak na imieniny do cioci.

W hotelu, w sali klubowej, mamusia zasiadła do stolika z trzema innymi paniami, a gdy tylko wzięła w rękę karty i zaciągnęła się papierosem, przestałam dla niej istnieć. Nic dziwnego, nie byłam nawet maleńką dwójką treflową w talii kart.

Jakiś czas udawałam, że jestem i kibicuję, ale myślami byłam już w pokoju pani Moniki i pod drzwiami Gogusia.

Byłabym przysła za chwilę, gdyby nie pani Monika Płoszańska, która zjawiała się na tle drzwi sali klubowej jak duch starego zamczyska. Trzeba przyznać, że duch był bardzo elegancki. Makijaż jak marzenie, najmodniejsza fryzura, elegancja w ruchach i godność w spojrzeniu. A suknia — jedwabna, coctailowa oczywiście — zupełnie jak z najnowszego numeru „Przekroju”. Szałowa!

Wszyscy na nią wybałuszyli oczy, najbardziej panowie, a ona udawała, że nikogo nie widzi. Zachowywała się zupełnie jak na filmie. Nie szła, tylko muskała stopami podłogę (tak przynajmniej piszą w książkach), a wzrok utkwiła w niewidzialnym punkcie. (Tak czytałam w powieści, którą dmuchnęłam mamie spod poduszki.) Potem — jak gdyby nigdy nic — podeszła do półki z czasopismami, przejrzała kilka numerów i z wrodzonym sobie wdziękiem zniknęła w hallu.

85

Wszyscy westchnęli z podziwu.

— Co to za jedna? — zapytała szeptem mamusia.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała półszeptem pani doktorowa.

Oburzyłam się. Doktorowa była ponoć z Rzeszowa, a nie poznawała aktorki tamtejszego teatru, wielkiej artystki, która mając spojrzenie księżnej Monaco, potrafiła zagrać rolę prządki z zakładów włókienniczych. Skandal! Nie mogłam na to pozwolić. Wtrąciłam więc z leciutkim przekąsem:

— Przepraszam, to podobno sławna aktorka z Rzeszowa. Pani doktorowa spojrzała na mnie, jakbym jej nadepnęła

na bolesny odcisk.

— Moja droga, dostaję zaproszenia na wszystkie premiery i jeszcze nigdy tej pani nie widziałam na scenie, a ty mi takie rzeczy opowiadasz. No, proszę, jakie to dzisiejsze dzieci.

A mama wlepiła we mnie badawcze spojrzenie.

— A skąd ty wiesz, Krysiu, że ona z Rzeszowa?

— Sama mi powiedziała.

! — Bezczelna! — oburzyła się pani doktorowa. — Pewno podszywa się pod kogoś innego i udaje wielką artystkę.

„Pewno podszywa się...” — powtórzyłam w myśli. Zawirowało mi w głowie. Nie chciałam uwierzyć, a jednak musiało w tym tkwić trochę prawdy, bo po cóż zakradała się do baszty i znikwała w tajemniczy sposób w ruinach? Masz babo placek! Oto okazuje się, że sławna aktorka nie jest aktorką, bo nie pochodzi nawet z Rzeszowa. W takim razie wszystko możliwe: wiolonczelista nie jest wiolonczelistą, Goguś nie jest tym, kim powinien być, a ja nie jestem Krysią Cuchowską.

To dopiero heca!

86

WYPRAWA NA TRZECIE PIĘTRO

Nie mogłam dłużej wysiedzieć przy mamie. Zresztą któż wysiedziałyby na moim miejscu? Tutaj okazuje się, że aktorka nie jest aktorką, a ja mam słuchać, jak cztery panie licytują bez przerwy: „Kiery... dwa kiery... dwa bez atu... trzy kiery... kontra... i trele morele”. Wściec się można!

Powiedziałam mamie, że mam ochotę przewietrzyć się trochę.

— Tylko błagam cię, Krysiu, bądź rozsądna!

Nie miałam pojęcia, co mamusia miała na myśli, ale przyrzekłam, że będę rozsądna, i ulotniłam się z sali klubowej.

Przeszłam Mo hallu. Nic ciekawego. Zaspany portier, marmurowe kolumny, w fotelu starsza pani z małym ratlerkiem na kolanach, na ścianach afisze: „Podróżuj LOT-em”, „Oszczędzaj w PKO”, „Graj w Toto-Lotka”, „Nieborze — perła ZACHODNIEGO POMORZA”, „Podziwiaj piękno polskiego krajobrazu”. Wszystko w trybie rozkazującym. Zbuntowałam się. Nie będę podróżować LOT-em, nie będę grała w Totka ani podziwiała krajobrazu! A Nieborze nie jest wcale perłą, tylko miejscowością letniskową, w której dzieją się dziwne rzeczy. Gdzie się ruszysz, nowa niespodzianka.

Oto właśnie otwierają się drzwi, a w drzwiach zjawia się Goguś, który za chwilę może okazać się chińskim mandarynem albo czarownikiem z wysp Fidzi. Chwilowo jest jednak Gogusiem i taszczy olbrzymi kosz pąsowych róż. Uparta sztuka! Wie, że aktorki przepadają za kwiatami. Gdy trzy róże nie zrobiły na pani Monice żadnego wrażenia, kupuje cały kosz, żeby ją oszołomić.

87

„Jeżeli myśli, że ja zaniosę ten kosz na górę, to się grubo myli”.

On tymczasem w ogóle mnie nie zauważył, tylko skinął na portiera w granatowej marynarce ze złotymi guzikami i jak milioner powiedział:

— Proszę odnieść ten kosz pani Płoszańskiej pod dwudziestkę trójkę. — I wsunął mu w łapę dwadzieścia złotych z taką miną, jakby to były grosze.

Ja tymczasem kombinowałam, jak być jednocześnie rozsądną i znaleźć się na drugim piętrze, by zobaczyć zabawną scenę, gdy pani Monika będzie wyrzucała za drzwi portiera razem z koszem pąsowych róż.

Nic trudnego, trzeba po prostu udawać, że jest się córką pani doktorowej z Rzeszowa i od dwóch tygodni płaci się słone rachunki za pokój z łazienką. Nie przyszło mi to trudno, zwłaszcza że byłam w stroju, który nie wzbudzał podejrzeń.

Wnet znalazłam się na drugim piętrze. Cicho, na palcach podeszłam pod drzwi numeru dwadzieścia trzy. Czekałam, kiedy granatowa marynarka wyfrunie razem ze złotymi guzikami i pąsowymi różami, a pani Monika zawoła: „Proszę powiedzieć temu panu, żeby mnie nie napastował. Gardzę jego uwielbieniem. Mam godność i honor!”

Ba, ale tak się nie stało. Portier wyszedł z zadowoloną miną (pewno znowu dostał dwadzieścia złotych), a kosz i list zostawił w środku razem z aferzystką, która podszywała się pod kogoś innego. Ładna historia, ode mnie to nie chciała, a od portiera przyjęła! Nie ma godności ani honoru. Jednak trzy róże łatwiej wyrzucić aniżeli cały kosz.

Byłam bardzo rozczarowana, ale tylko na drugim piętrze, bo gdy znalazłam się na trzecim, rozczarowanie mi-

88

nęło. Wciąż udawałam córkę pani doktorowej z Rzeszowa i zdawało mi się, że od dwóch tygodni

mieszkam „Pod Trzema Żaglami”. Nie wiedziałam tylko, pod którym numerem mieszka Goguś. Wyglądał mi na trzydziesty trzeci.

KAPELUSZ W SZAFIE

Pod trzydziestym trzecim zamiast Gogusia zobaczyłam pokojową. Czyściła odkurzaczem chodnik. Podeszłam więc do niej i zapytałam grzecznie:

— Przepraszam, pod którym mieszka taki elegancki pan z fajką?

— Skaranie boskie — powiedziała pokojowa, nie przerywając pracy.

— Przepraszam, nie pytam o skaranie boskie, tylko o takiego wytwornego pana z fajką.

— Ręce opadają — mruknęła. — Cały dzień tylko haruj i haruj. Ten goryl z trzydziestki czwórki znowu zostawił mokry płaszcz i będę musiała froterować.

— Przepraszam — powtórzyłam nieśmiało.

— Mów głośniej, bo nie słyszę. Uszy mi od tej maszyny pękają. — Wyłączyła na chwilę odkurzacza. Zrobiło się cicho. Słysząc było bulgocącą w rurach wodę. Po raz trzeci powtórzyłam pytanie.

— A, ten inżynier z Warszawy... Tak trzeba było od ??... — Spojrzała na mnie uważniej. — A ty czego chcesz od niego?

Ba, gdybym wiedziała, mogłabym coś wymyślić, ale nic mi nie wpadło do głowy. Powtórzyłam więc historię z kwiatami. Wszystkie kobiety lubią takie historyjki, a ta wprost przepadała za nimi.

89

— Skaranie boskie — roześmiała się — która to odsyła róże, a potem znowu przyjmuje? W tym coś musi być. Ona go za nos wodzi, a on po uszy zakochany. Widział to kto takie rzeczy!

— Ja, na własne oczy — szepnęłam podstępnie. — I dlatego chciałabym wiedzieć, pod którym on mieszka.

— Pod trzydziestym dziewiątym. Porządny gość i czysty. Nawet nie trzeba po nim sprzątać. A inni... skaranie boskie... Najgorszy ten goryl. Zostawił raz kran otwarty i cały pokój zalało. A teraz znowu kazali sprzątać na glanc, bo siódmego przyjeżdża jakaś zagraniczna wycieczka. Podobno ze Szwecji.

— Siódmego? — zapytałam. Coś mi zaświtało w głowie. Przypomniałam sobie depeszę. SPE... ZA... NA — SIE — SIÓDMEGO. BM KAPELUSZ — PEŁEN — DESZCZU... „Siódmego bm, to pewno siódmego bieżącego miesiąca. Ale co ma wspólnego kapelusz pełen deszczu z wycieczką ze Szwecji?” — pomyślałam i zaraz zapytałam: — Przepraszam, czy pani widziała u tego eleganta z fajką letni kapelusz z popeliny?

Była tak zachwycona miłymi ploteczkami o pani Monice i o różach, że wnet sobie przypomniła.

— Letni kapelusz, mówisz? Taki beżowy? A jest... — zachichotała. — Skaranie boskie, tu leje jak z cebra, a on kapelusz trzyma w szafie. Widział to kto?

Poplotkowałyśmy sobie trochę o kwiatach i o włoskich krawatach z czystego jedwabiu, a potem zapytałam ni stąd,

ni zowąd:

— Czy mogłaby mi pani pokazać ten kapelusz? Strasznie jestem ciekawa, jak on wygląda.

Wzruszyła ramionami.

— Kapelusz jak kapelusz.

90

— Nie — powiedziałam — ten kapelusz może być nadzwyczajnym kapeluszem, jeżeli jest tym, o który mi chodzi...

Zrobiła wielkie oczy.

— Pleciesz trzy po trzy, ale jak ci na tym bardzo zależy, to mogę ci pokazać, niech tylko ten pan wyjdzie z pokoju. — Naraz uniosła ręce do góry. — Skaranie boskie! Ja tu gadu, gadu, a robota czeka. — Włączyła odkurzacza i narobiła takiego hałasu, że nawet nie usłyszałam, kiedy Goguś wyszedł spod trzydziestki dziewiątki. Dopiero gdy zobaczyłam nad sobą wygasłą fajkę, zrozumiałam, że mnie zaskoczył. Nie mogłam już udać, że go nie widzę, więc dygnęłam na przywitanie.

— Dzień dobry! Ale pan się szarpnął. Widziałam ten kosz pąsowych róż. Pani Płoszańska będzie oczarowana.

Przystanął, wyjął z ust fajkę, spojrzał przenikliwie i pokręcił nade mną głową.

— Czego tu szukasz?

— Przyszłam zobaczyć, jak się sprząta na przyjazd zagranicznej wycieczki ze Szwecji. Podobno ma przyjechać siódmego bieżącego miesiąca. — Powiedziałam wyraźnie „siódmego bieżącego miesiąca”, żeby go zaskoczyć. Nie dał się jednak zaskoczyć, tylko zapytał ostro:

— Dlaczego wciąż kręcisz się za mną? Zrobiłam minę najskromniejszej z klasy.

— Ja? Za panem? Ani mi się śni.

' — I dlaczego jesteś taka wścibska?

— Ja?... Wścibska... Ani mi przez myśl nie przeszło.

— Radziłbym ci jednak zająć się czymś innym.

— Dziękuję za radę.

— I proszę cię bardzo, zostaw mnie w spokoju. — Szkoda. Pan mi się tak bardzo podoba.

91

Trafiłam w dziesiątkę. Goguś wytwornym ruchem przygładził włosy, chrząknął dwukrotnie, zrobił minę Don Jua- i na i uśmiechnął się pojednawczo.

— Mała kokietka! — pogroził mi żartobliwie palcem. — Bądź zdrowa! I pamiętaj, co ci mówiłem.

— Ciao! — zawołałam za nim, a potem zasłoniłam usta dłonią, żeby nie parsknąć śmiechem.

Boki można zrywać z takiego fircyka. Powiesz mu, że ci się podoba, a on już gładzi włosy, chrząka i jest w siódmym niebie, jeżeli w ogóle siódme niebo istnieje...

Pokojowa wyłączyła odkurzacz, zapytała szeptem:

— Ty go znasz?

— Ba — powiedziałam. — Nie widziała pani, jak robił do mnie oko?

— Przystojny facet.

— Jak na mój gust, trochę za bardzo gogusiowaty i niepotrzebnie się zgrywa.

Pokojowa roześmiała się, ale już wiedziałam, że pokaże mi kapelusz, bo sama była ciekawa, jak on wygląda. Skinęła na mnie głową, otworzyła drzwi swoim kluczem i — jakby nigdy nic — zaczęła odkurzać dywan w pokoju Go-gusia, chociaż wydało mi się, że nie ma tam ani jednego pyłku.

— W szafie — szepnęła tajemniczo.

Zrobiło mi się trochę głupio, bo to przecież nieładnie zaglądać do cudzej szafy, ale trudno. Otworzyłam ostrożnie. Myślałam, że coś wyskoczy, coś spadnie, zaczną się dziać jakieś dziwne rzeczy. Ale nie. Szafa jak szafa, a w szafie starannie poukładane koszule, bielizna, rękawiczki. Wszystko w najlepszym gatunku i pachnące jak w perfumerii. A na górnej półce kapelusz...

92

Serce mi mocniej zabiło, ręka mi drgnęła. Byłam pewna, że pod wkładką znajdę kawałek gazety i jeszcze coś, co wyjaśni tajemnicę stu tysięcy... Tymczasem zobaczyłam tylko monogram WK. Nic więcej.

Opadły mi ręce.

— No co? — zapytała pokojowa.

— Nic — odrzekłam. Miałam rację. Ten kapelusz to wielkie nic. Był prawdopodobnie tym samym kapeluszem, który pokazywał mi Goguś, gdy po raz pierwszy spotkałam go na ulicy Żart.

Po prostu kłapa. Tyle starań, tyle koronkowych akcji, "tyle niewinnych kłamstewek, a tu zero z kropką.

— To nie ten — powiedziałam z żalem. Pokojowa wzruszyła ramionami.

— Innego tu nie było.

— W takim razie dziękuję pani! Do widzenia...

RATUJ, DZIEWIĄTKO!

Zaczęłam wątpić o tym, czy kapelusz za sto tysięcy w ogóle istnieje. Lecz gdy zeszłam do hallu, przestałam. Zobaczyłam bowiem Gogusia z panią Moniką Płoszańską.

Siedzieli w głębokich klubowych fotelach, rozmawiali i uśmiechali się do siebie, jakby się znali od pierwszej klasy szkoły podstawowej, ba, od przedszkola. On w flanelowym garniturze i w nowym krawacie, ona w jedwabnej sukni coctailowej i z uśmiechem Sophii Loren na wymuskanej twarzy. Zupełnie jak w kinie.

Gardziłam nią. Mówiła, że jest banalny i ma go w nosie, a teraz szczyrzyła zęby i rzucała mu aksamitne spojrzenia. A gdzie honor? Gdzie godność? Pewno należy do

93

tej samej szajki aferzystów. Wszystko wydało mi się szyte 1 grubymi nićmi i jeszcze bardziej podejrzane.

A on pewno buja, że ma najnowszy model mercedesa i willę w Konstancinie pod Warszawą. Chce ją oszołomić. Proponuje jej wyjazd do Paryża i na Łazurowe Wybrzeże. A potem małżeństwo w Wenecji, ślub w gondoli i podróż 'poślubną do Egiptu, gdzie w cieniu piramid Cheopsa będą] liczli spadające gwiazdy. Wszystko jak w powieści, którą -mama pożyczyła od wuja Władka, a ja przeczytałam jako I lekturę nadobowiązkową. Znamy się na takich powieściowych bajeczkach! Teraz ją czaruje, a potem powie, że jest J skromnym urzędnikiem pocztowym. Każe jej iść do pracy i zarabiać na siebie. A ona, głupia, wierzy mu jak szlachetnemu szeryfowi.

Nie mogłam się zorientować, czy należą do szajki aferzystów i dla zamydlenia oczu odgrywają romantyczną scenę przed hotelowymi gośćmi, czy tylko on ją czaruje, a ona jest niewinną ofiarą jego nikczemnego planu. W każdym razie dobrali się jak dwa ziarenka w korcu... nie wiem już czego... może maku. On zamienia beczelnie kapelusz, a potem się wypiera, ona zakrada się do baszty i znika w tajemniczy sposób w zabytkowych ruinach. Ładna para!

Tymczasem Goguś skończył zapewne bajeczkę o Łazurowym Wybrzeżu i ślubie w gondoli na tle Pałacu Dożów, bo nagle wstali, udali się w głąb hotelu, a w głębi hotelu skręcili do coctail-baru.

Co za pech! Do tej pory śledziłam ich udając, że kibicuję paniom przy brydżu. Teraz nie mogłam nawet udawać. Osobom w moim wieku wstęp do baru był surowo wzbroniony. Czy zamiast do coctail-baru nie mogli iść na ulicę Krótką do baru mlecznego? Przy sposobności zjadłabym dwie rurki z kremem.

94

A tak — klapa. Musiałam wrócić do sali klubowej i przysłuchiwać się awanturze, jaką zrobiła pani doktorowa z Rzeszowa mojej mamie za to, że zamiast w kiery wyszła w piki.

Dość już miałam kibicowania. Powiedziałam mamusi, że nie mam zamiaru wdychać dymu i wyziewów, więc idę nałykać się jodu, a po drodze wstąpię do Maćka pooglądać zdjęcia fotograficzne ptasich gniazd.

W „Marysieńce” Maciek grał z babcią w ping-ponga. Był bardzo zmartwiony, bo babcia nałapała go do dziesięciu i tak serwowwała, że nie mógł złapać ani jednej piłki. Klasa — ta jego babcia! Rano gimnastykuje się z hantlami, potem pływa, a potem leje niemiłosiernie Maćka w ping-ponga. I jeszcze ma czas na czytanie powieści detektywistycznych.

95

U Maćka zrobiłam wielką naradę w sprawie kapelusza! za sto tysięcy. Do tego, cośmy dotychczas wiedzieli, do-1 rzuciłam jeszcze ostatnie moje spostrzeżenia i wtedy dopiero nie wiedzieliśmy nic a nic.

Każdy z nas miał zupełnie inne zdanie.

Maciek twierdził, że kapelusza trzeba szukać w baszcie.

Babcia twierdziła, że taki kapelusz w ogóle nie istnieje.

Ja mówiłam, że istnieje i prawdopodobnie jest w domu ogrodnika.

— Musimy uporządkować tok zdarzeń i faktów — po-1 wiedziała babcia. — Najpierw były dwa kapelusze. Jeden z monogramem WK, a drugi z gazetą pod wkładką. Wi-1 siały na wieszaku w kawiarni. Potem Goguś zabrał z wieszaka kapelusz z gazetą pod wkładką...

— Tak — zawołałam — ten kapelusz za sto tysięcy albo i za więcej.

— Zgadza się — potwierdziła babcia. — Potem spotykasz Gogusia, który wziął ten kapelusz za sto tysięcy, a on pokazuje ci kapelusz z monogramem.. I tu się coś nie zgadza. A potem wiolonczelista przysięga, że miał kapelusz bez monogramu. Więc gdzie się podział ten kapelusz bez monogramu, z gazetą pod wkładką?

— O, właśnie! — wtrącił Maciek. — W tym pytaniu tkwi sęk.

— A w sęku dziura — uśmiechnęłam się nieco uszczypliwie.

— Nie kłóćcie się, moi złoci — uspokajała nas babcia. — Może kto inny, a nie Goguś, zabrał z wieszaka kapelusz za sto tysięcy.

— Przecież widziałam go na własne oczy. Miał fajkę, był tak samo ubrany i w ogóle to był Goguś.

96

— W takim razie musi być jakiś trzeci kapelusz — zawyrokowała babcia.

Nastąpiła chwila ciszy. Zdawało mi się, że babcia powiedziała coś bardzo ważnego. Pierwszy odezwał się Maciek:

— W takim razie Goguś musiał mieć dwa identyczne kapelusze. Jeden zostawił na wieszaku w „Jantarze”, a drugi miał w domu. Albo wiołonczelista z jakichś nie znanych nam powodów nie chciał się przyznać do własnego kapelusza, a potem dla zmylenia śladów zwędził ten własny i udaje naiwnego.

— Albo buchnął go Goguś i teraz ma trzy kapelusze — wtrąciła babcia.

— Goguś nie mógł buchnąć — zaprotestowałam — bo był w tym czasie pod domem brodacza.

Babcia złapała się za głowę.

— Dajcie mi spokój, już wszystko mi się pomieszało. Przeczytałam ponad sto powieści detektywistycznych, ale w żadnej nie było takiej zagadki — opadła na trzcinowy fotel. Westchnęła: — Zabiliście mi porządnego ćwieka. Bo jednak musi w tym coś być, skoro wokół tego kapelusza dzieją się takie niestworzone rzeczy. — Naraz plasnęła dłonią w kolano. — Cierpliwości, moje dzieci, zobaczycie, że rozwiążemy tę zagadkę.

Wstąpił w nas nowy duch. Bo skoro babcia twierdziła, że rozwiążemy, to nie było sensu martwić się na zapas.

Na razie jednak postanowiliśmy z Maćkiem pójść do „Jantaru” na rurki z kremem. Nie ma bowiem nic lepszego niż rozmaite zmartwienia i troski, jak coś słodkiego i smacznego.

W „Jantarze”, jak w „Jantarze”, ogromny ścisk. Dziesięciu wczasowiczów na jeden kwadratowy metr. Wszyscy mówią o pogodzie, a raczej o deszczu, i wszyscy czekają na

Kapelusz za 100 tysięcy 97

słońce, jakby gdzie indziej nie można było czekać. W do-1 datku rurek nagle zabrakło i musieliśmy zadowolić się cytrynową galaretką. Jedliśmy więc galaretkę i było nami bardzo galaretowato; to znaczy mówiliśmy o pogodzie,] a myśleli o tajemniczym kapeluszu, który jeszcze wczoraj wisiał tutaj na wieszaku, a dzisiaj nie dawał nam spo-”j koju.

Było nudno i duszno. Mieliśmy za chwilę wyjść, lecz nagle wpadł jak bomba...

— Kto? — zapytacie. Oczywiście, nasz wiolonczelista,! pan Walery Kolanko. Niedawno jeszcze gotował w ron-1 delku kalafiory i był ponoć podobny do zatroskanego kul charza, a tu taka przemiana. Oczy rozpłomienione, wzroki dziki, nieprzytomny, twarz pąsowa, ociekająca deszczem,^ nie mówiąc o łysinie, która sama przez się wyglądała groź-] nie i wyzywająco.

Maszyna do parzenia kawy syczała złowroźnie, a w powietrzu zawisła awantura. Pan Kolanko dotarł do syczą-: cego ekspresu i rzucił się wprost na kelnerkę.

— Proszę pani! — zawołał tubalnym głosem. — Czy wreszcie znalazł się mój kapelusz?

Kelnerka nic nie odpowiedziała, bo niosła tacę pełną filiżanek kawy, więc bała się, żeby nie było kraksy.

— To skandal! — zawołał wiolonczelista. — Już dwa dni chodzę i proszę... Co to za lokal, żeby nie można było; spokojnie powiesić kapelusza.

— Za rzeczy pozostawione w lokalu — powiedziała kelnerka — dyrekcja nie odpowiada.

— To kto odpowiada? — huknął wiolonczelista.

— Nie trzeba było wieszać kapelusza na wieszaku.

— A gdzie miałem powiesić?

— Iw ogóle, dlaczego pan się awanturuje?

98

Tego już było za wiele. Pan Kolanko rozpaczliwym ruchem uniósł ręce do góry, westchnął jak zraniony żubr i zawołał na całą salę:

— Ten kapelusz wart jest w tej chwili sto tysięcy, a może i więcej, a pani mi mówi, że się awanturuję. I święty straciłby cierpliwość. Gdzie mój kapelusz? Gdzie mój kapelusz? — powtórzył załamującym się głosem.

Na sali zrobiło się cicho. Wszyscy patrzyli na pana Ko-lankę. A ja stałam, jakby grom we mnie uderzył. Mąciło mi się w głowie. Zrozumiałam, że kapelusz, który wczoraj wart był ceny kupna, teraz już na pewno stał się najdroższym kapeluszem na świecie. I czułam, że nie ma w tym bujdy ani zawracania głowy. Wiolonczelista wyglądał bowiem jak sto nieszczęść, a może i gorzej. Był zupełnie załamany i bliski płaczu.

Nie mogłam na to pozwolić, żeby starszy pan rozplakał się publicznie w kawiarni. Podeszłam do niego i powiedziałam szeptem:

— Proszę się uspokoić. Przyrzekam panu, że kapelusz się odnajdzie.

Spojrzał na mnie jak na listonosza, który przynosi przekaz na grubszą forszę, wyciągnął ręce i zawołał

drżącym głosem:

— Ratuj, Dziewiątko, bo jestem zgubiony!

Poniedziałek

ZARAZ SIĘ PRZEKONAMY...

AAiałam ratować wiolonczelistę w niedzielę wieczorem, lecz w niedzielę nic z tego nie wyszło. Nie mogliśmy odnaleźć Gogusia. Nie było go w hotelu ani w „Jantarze”, ani na moło, ani na plaży. Kamień w wodę! Pewno poszedł na daleki spacer z panią Moniką Płoszańską.

Postanowiłam więc ratować w poniedziałek...

Umówiłam się z panem Walerym Kolanka o dziesiątej pod „Ustroniem”. Był punktualnie. Przedstawiał jednak obraz nędzy i rozpaczy, jakby przez tę noc przybyło mu dziesięć lat. Zżółkł i spochmurniał, nie ogolił się. Był kompletnie załamany. Nawet jego łysina nie lśniła już takim blaskiem jak wczoraj czy w sobotę. I jak tu takiemu nie pomóc?

— Proszę się nie martwić — powiedziałam na przywitanie — zobaczy pan, wszystko będzie w porządku.

Pan Kolanko przecierał szkła i drapał się za lewym uchem.

— Czy jesteś pewna, że to właśnie ten pan zamienił mój kapelusz?

— Na sto dwa.

— A kto to właściwie jest?

— Przecież pan go dobrze zna.

— Ja?... — zdumiał się pan Kolanko,

100

— Widziałam, jak wychodziliście od ogrodnika.

— A... ten pan z'fajką.

— Właśnie — rzuciłam nieco kpiąco.

— Ja go nie znam. Po prostu wyszliśmy razem, a on zagadnął mnie, jak się gotuje kalafior.

— Przypuśćmy — powiedziałam, żeby mu dać do zrozumienia, że nie jestem taka naiwna, jak sądzi.

— Nie wierzysz mi?

— Trudno uwierzyć, żeby taki elegancik z fajką pytał, jak się gotuje kalafior.

— Ja też byłem zdumiony, jednak fakt zostaje faktem.

— Czy tylko o to pana pytał?

— Mówił coś jeszcze o pogodzie... i o sporcie wędkarskim... W ogóle był bardzo uprzejmy.

— Oczywiście — wtrąciłam z przekąsem — skoro zamienił panu kapelusz.

— Właśnie, chciałem cię zapytać, czy jesteś stuprocentowo pewna, że to on... bo nie chciałbym się narazić na nieprzyjemności.

„Już się wykręca — pomyślałam. — Może to jeszcze jedna scena odegrana dla zamydlenia oczu”.
Gdy jednak spojrzałam na nie ogoloną twarz wiolonczelisty i na zapadnięte oczy, powiedziałam:

— Proszę się uspokoić, nie będzie żadnej wyspy.

— Błagam cię, Dziewiątko — jęknął. — Już wczoraj w „Jantarze” naraziłem się na śmieszność. Ale wtedy nie panowałem nad sobą. W nocy jednak wszystko przemyślałem. Nawet za taką sumę nie można zapominać o godności.

Wzruszył mnie swym szlachetnym przemówieniem. Byłam już niemal pewna, że cierpi szczerze i załamuje się prawdziwie. Odsunęłam więc wszelkie podejrzenia, uwierzyłam nawet w tę bajeczkę o kalafiorach.

101

— Nie można zapominać o godności i honorze — po-1 wtórzyłam. — Dlatego chciałabym wiedzieć, jak to się stało, że ten kapelusz w ciągu jednego dnia stał się naj-? droższym kapeluszem na świecie.

Założył okulary, przyjrzał mi się badawczo.

— Powiem ci... — zaczął ściszym głosem — lecz mu-1 sisz mi przyrzec, że nikomu o tym nie wspomnisz.

— Daję słowo! — zawołałam.

— Nie powiesz nawet własnej matce?

— Nawet własnej matce — powtórzyłam. — Nawet Maćkowi... — dodałam nieopatrznie.

Wiolonczelista drgnął nagle. Spojrzał podejrzliwie.

— Maćkowi? A kto to taki?

— Kolega.

Pan Kolanko rozłożył ręce.

— Zapędziłem się. Nie, moja droga, niestety, nie mogę ci powiedzieć. Powiem ci dopiero w środę.

— Phi — prychnęłam. — Jeżeli pan mi nie wierzy, to nie ma o czym gadać. I dziwię się, że pan prosi mnie o pomoc.

Pan Kolanko znowu był bliski płaczu.

— Zrozum, nie mogę. W środę, bez względu na to, czy znajdę kapelusz, czy nie, powiem ci całą prawdę.

— Ciekawe, dlaczego właśnie w środę?

— Bo w środę jest siódmego... — zająknął się jak uczeń przed tablicą i zamiast dokończyć, nerwowym ruchem szarpnął okulary, a potem zaczął je przecierać. A resztę sobie dośpiewałam, bo przypominałam sobie depeszę i to, co wczoraj mówiła mi pokojowa z hotelu.

— Siódmego bieżącego miesiąca — dokończyłam za niego, a po chwili dodałam z szatańskim uśmiechem: — ka-

102

pelusz pełen deszczu, a ze Szwecji przyjeżdża wycieczka i dlatego pokojowej opadają ręce.

Myślałam, że zblednie, włos mu się zjeży na głowie, a on tymczasem patrzył na mnie, jakbym była krasnoludkiem albo Marsjanką.

— Co ty wygadujesz, moje dziecko? Co ty pleciesz?

— Nie plotę — rzekłam z przekąsem — tylko wiem więcej, niż się panu zdaje.

Wzruszył ramionami.

— Jesteś tajemnicza, zachowujesz się dziwnie i zdaje się, że masz chorobliwą wyobraźnię. Nie wiem, co o tym sądzić.

Przymrużyłam łobuzersko oko.

— Zaraz się przekonamy. Chodźmy do tego pana.

NIE RÓB Z TATA WARIATA

Walnęliśmy się prosto do hotelu „Pod Trzema Żaglami”. Gogusia nie było w hallu ani w sali klubowej, ani w coctail-barze, powinien więc być u siebie na górze. Niewiele myśląc, sypnęliśmy

się windą na trzecie piętro, a na trzecim poszliśmy pod trzydziestkę dziewiątkę.

Już z góry cieszyłam się na widok jego wytwornej gębuli, kiedy otworzy drzwi i zblednie na nasz widok.

Tymczasem Goguś golił się i miał gębule całą w białej pianie, więc trudno mu było zblednąć. Burknął tylko:

— Ty znowu tutaj, przecież prosiłem cię...

Prosił mnie, ale nie prosił łysego wiolonczelisty. Dlatego pan Kolanko nie musiał obawiać się, że go wyrzuci za drzwi. Weszliśmy do pokoju. Wiolonczelista zaczął prosto z mostu:

103

— Proszę pana, ta młoda osoba twierdzi, że pan wczoraj przed obiadem zamienił w „Jantarze” kapelusz. Proszę więc...

Nie dowiedziałam się, o co prosił, bo Goguś przerwał:

— Nie widzi pan, że się golę? Może porozmawiamy za chwilę na dole.

— Chciałbym jednak wyjaśnić... — zaczął wiolonczelista, nie zważając, że piana zasycha na szlachetnym obliczu Gogusia.

— Wybacz pan, ale nie jestem przyzwyczajony rozmawiać przy goleniu.

Pan Kolanko nie chciał mu wybaczyć.

— To niezwykle ważna sprawa! — zawołał.

— Nie widzi pan, że piana mi zasycha?

— Widzę, ale to nie zmienia samej rzeczy! — wrzasnął pan Kolanko.

— Więc o co panu chodzi? — O kapelusz.

Goguś w jednej ręce trzymał aparat do golenia, w drugiej pędzel, a piana zasychała mu na twarzy. Chwilę stał bezradnie. Jednak nie byłby Gogusiem, gdyby zapomniał języka. Teatralnym ruchem wskazał na mnie.

— A pan wierzy tej zwariowanej dziewczynie. Przecież ona ma chorą wyobraźnię.

„Jakby się umówili” — pomyślałam. Ale nie straciwszy zimnej krwi rzuciłam z przekąsem:

Pan Kolanko, zamiast zaprotestować i wygarnąć mu jak się patrzy, zwrócił na mnie podejrzliwe spojrzenie.

— Powiedz — powiedział niepewnie — czy to na pewno był ten pan?

— Ten sam, żeby mi tak język odpadł. Goguś zachłysnął się ze śmiechu.

— To zabawne. Niech pan posłucha. Ona jest przewrażliwiona, wszystkich dookoła śledzi, podejrzewa. Za mną włóczyła się wczoraj jak cień... Stała nawet pod moimi drzwiami i zadawała mi niedorzeczne pytania...

Pan Kolanko spojrzał jeszcze podejrzliwiej.

— To ciekawe, mnie też zadawała pytania pozbawione sensu i mówiła od rzeczy. Coś w tym musi być... I zdaje mi się, że siedziała na drzewie i zaglądała do mego pokoju...

— To nie ja — wrzasnęłam — to Maciek!

— Widzi pan — podchwycił Goguś — jeszcze się wypiera.

Tego było już za wiele. Straciłam zimną krew i panowanie nad sobą.

— To pan się wypiera. I obaj jesteście jednakowo podejrzani osobnicy.

Goguś uśmiechnął się zwycięsko.

— O, proszę, mówiłem panu, że nienormalna. Zaczęłam tupać i krzyczeć:

— Jestem najnormalniejsza! To wy chcecie ze mnie zrobić przewrażliwioną. To wy kręcicie, kłamiecie!...

Wiolonczelista ujął mnie łagodnie za ramię.

— Uspokój się, moje dziecko... Wyrwałam się i uniosłam pięści do góry.

— Pan jest podły! Chciałam panu pomóc, a pan wierzy temu wstrętnemu oszustowi, może pan taki sam, jak on.

105

— No widzi pan, widzi pan — powtarzał Goguś z obłudnym uśmieszkiem. — Dostała szoku. Trzeba by jej dać jakichś środków uspokajających.

— Dziękuję! Gardzę wami! — zawołałam i wybiegłam z pokoju.

RUDA FOKA W KAPELUSZU

— W nosie mam jego kapelusz! W nosie mam fajkę Gogusia! W nosie mam sto tysięcy! W nosie mam makijaż pani Moniki! Niech sobie nie myślą! Niech się ze mnie nie śmieją. W nosie mam deszcz! I „Jantar”! I niż nad Skandynawią! I wszystkie ryby, które złowił brodac, razem z tym

półtorametrowym węgorzem. I wszystkie ryby, których nie złowili tatuś z Jackiem. I zabytkowe ruiny. I kalafiory! I dom ogrodnika! I zdjęcia Maćka! Wszystko mam w nosie!

Biegłam wzdłuż brzegu morskiego nie zważając, że fale zalewają mnie po kolana, a w wellingtonkach chlupoce woda. Biegłam i krzyczałam do siebie. Naraz zatrzymałam się. Pomyślałam, że gdybym to wszystko miała w nosie, to — ho, ho! jaki ten nochal musiałby być duży.

Podobno szum morza działa kojąco na nerwy. Roześmiałam się i gwizdnęłam na wszystko. Zaraz zrobiło mi się lżej, że mam wodę w butach. Zdjęłam więc wellingtonki, wylałam wodę. I było mi zupełnie lekko.

„Zakpili sobie ze mnie — pomyślałam. — Ale poczekajcie, może jeszcze ja zakpię z was!”

Poszłam w stronę domków campingowych. Po drodze zbierałam bursztyny. I zrobiło mi się prawie wesoło.

Pod wysokim brzegiem, w miejscu gdzie na plażę wio-

106

dło zejście z „pustelni”, zobaczyłam rudego brodacza kąpiącego się w morzu. Okazało się, że nie tylko babcia Maćka mogła znieść lodową temperaturę wody. Mieliśmy nowego bohatera.

Brodacz z daleka wyglądał jak ruda foka, która zabłądziła na polskie wybrzeże. Boki zrywać! Stał po pas w wodzie, a gdy fala spiętrzała się przed nim, podskakiwał i dawał się nieść aż na piasek. Potem otrząsał się i znowu wchodził w morze. Musiał mieć zdrowie! I był piekielnie zahartowany. Prawdziwy pustelnik. Pewno się umartwiał.

Ja tymczasem zbierałam bursztyny, a raczej udawałam, że zbieram, i czekałam, kiedy brodacz zamieni się w sopel lodu. Nie doczekałam się jednak. Wyszedł z wody i odtańczył na plaży wojenny taniec łowców głów. Skakał najpierw na lewej, potem na prawej nodze, potem biegał, jakby go goniły osy, a gdy się rozgrzał, zarzucił na ramiona pasiasty płaszcz kąpielowy i tak się mocno wycierał, jakby chciał zetrzeć z siebie skórę.

107

A potem... nie chciałam wierzyć własnym oczom. Podniósł z piasku kapelusz i zakrył nim bujną czuprynę! Ruda foka w kapeluszu! Coś niebywale śmiesznego, a przy tym zastanawiającego. Bo, proszę sobie wyobrazić, kapelusz był popelinowy!

Myślałam, że z wrażenia zamienię się w słup soli. Przyjrzałam się uważniej kapeluszowi. Niby taki sam, jak tamte, ale jednak trochę inny. Nie tak nowy, nie tak elegancki. Trochę zmięty, trochę przybrudzony, trochę zdefasonowa-ny. Najbardziej podejrzane wydało mi się to, że w ogóle tkwi na głowie brodacza. Kto do plażowego płaszcza nosi takie nakrycie głowy? Widocznie musi to być jakiś nadzwyczajny kapelusz, skoro brodacz nie odważył się zostawić go w domu.

Zaraz przypomniałam sobie dziwne zachowanie Gogusia pod domem brodacza. Próbował włamać

się lub badał, jak można dostać się do środka. Czyżby czynił to z myślą o kapeluszu? Wszystko możliwe, zwłaszcza w tak zwariowanej sprawie i w tak tajemniczych okolicznościach.

Brodacz wykonał jeszcze kilka gimnastycznych ćwiczeń i ruszył w stronę swej pustelni. Razem z nim ruszył kapelusz, a za nimi ruszyłam, oczywiście, ja, bo byłam bardzo ciekawa, co będzie dalej.

KTO KOGO ŚLEDZI

Dalej była nowa niespodzianka!

Przede wszystkim brodacze wspiął się na stromy brzeg, a potem walnął się prosto do pustelni. Szłam za nim udając, że rozglądam się za gniazdem, które Maciek znalazł wczoraj gdzieś w okolicznych zaroślach. Nie miałam po-

108

jęcia, jakie to gniazdo, ale to nie miało znaczenia. Dobry detektyw, jak Sherlock Holmes albo Herkules Poirot, zawsze coś udaje i gdy myśli o czymś, to tak, żeby inni sądzili, że myśli o czymś innym. Ja też starałam się tak robić, ale mi się nie udało, bo gdy wspięłam się na brzeg i przebrnęłam przez najgęstsze krzaki, ktoś nagle złapał mnie za rękę.

Najpierw myślałam, że to Goguś, ale przecież Goguś nigdy nie jeździł na wózku. A więc kaleka.

Nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób sparaliżowany człowiek mógł znaleźć się na skarpie i do tego w gęstych krzakach. Albo jego wózek był helikopterem, albo ktoś go tutaj przytасzczył.

On, oczywiście, nie zastanawiał się nad takimi drobnostkami, bo gdy złapał mnie za ramię, powiedział:

— Ty znowu kręcisz się tutaj?

— Przepraszam — odparłam wystraszona — ale wczoraj kręciłam się gdzie indziej.

— Czego tu szukasz?

— Gniazda remizów — palnęłam bez zastanowienia.

— Widziałem, jak szłaś za tym panem.

— Za jakim panem? %

— Za tym z rudą brodą.

— To zupełnie przypadkowo.

Ścisnął mnie tak mocno za ramię, że zobaczyłam wszystkie gwiazdy, chociaż nieboskłon był zasłany chmurami. Nigdy bym nie przypuściła, że taki chudzielec, takie trzy ćwierci do śmierci, może mieć

tyłe siły! Spojrzał mi prostu w oczy i zapytał głosem nie znoszącym sprzeciwu:

— Kto cię tu przysłał?

— Mnie?

:— Kto ci kazał śledzić tego człowieka?

109

— Phi, to pan go chyba śledzi, a nie ja. I w ogóle z jakiej racji wypytuje mnie pan jak w sądzie?

Przyciągnął mnie bliżej i tak spojrzał, jakby chciał rozszarpać mnie na drobne kawałki.

— Słuchaj, mała, obserwuję cię od soboty. Zamiast bawić się z dziećmi, kręcisz się niepotrzebnie, a teraz coś przede mną ukrywasz. Powiedz mi, dlaczego śledzisz tego pana z rudą brodą i kto ci kazał go obserwować?

— Nie! — zawołałam. — Jeżeli pan mi będzie groził, nie powiem ani słowa. I proszę mnie puścić, bo zawołam...

Kaleka syknął zniecierpliwiony i nagle stał się słodki, jakby zjadł pół kilograma landrynek.

— Nie bój się. Jesteśmy przecież dobrymi znajomymi. Widziałem cię dzisiaj w hotelu. Byłaś z tym łysym, tęgim panem. Chciałem cię nawet zaczepić, ale jak widzisz, jestem na wózku i trudno mi się poruszać...

— To ciekawe, skąd pan się tutaj wziął?

— Kosztowało mnie to sporo wysiłku — powiedział jakby do siebie. — Miałem jednak szczęście, bo przyłapałem cię na gorącym uczynku.

— Nie wiadomo jeszcze, kto kogo przyłapał.; '- .

— Więc nie powiesz, kto cię tu przysłał?

— Nikt mnie nie posyłał — roześmiałam się, chociaż nie miałam ochoty ani powodu do śmiechu.

Kaleka przymrużył oczy.

— To ja ci powiem. Ten łysak, z którym byłaś dzisiaj w hotelu, a wczoraj wieczorem w kawiarni.

— Jeżeli pan tak sądzi, to może być łysak. Ścisnął mnie mocniej i zapytał ostro:

— Co to za jeden?

— Podobno wiolonczelista.

— Dlaczego podobno?,

110

— ^Bo na przykład pewna pani powiedziała mi, że jest aktorką z Rzeszowa, a tymczasem...

— O kim myślisz? — przerwał mi gwałtownie.

— Przypuśćmy, że o księżnej Monaco — zakpiłam. — I proszę mnie puścić, bo już nudzi mnie to wypytywanie.

Powiedziałam to tak stanowczo, że kalece nie pozostało nic innego, tylko dać mi spokój.

— Dobrze — powiedział już łagodniej. — Widzę, że jesteś dzielna i miła dziewczyna, dlatego cię proszę, nie pchaj swego wścibskiego noska tam, gdzie nie trzeba. A teraz idź do domu i zapomnij o tym, żeś mnie tu widziała. — Pchnął mnie lekko i wskazał ręką ścieżkę. Udałam, że się go nie boję. Odeszłam wolno, a gdy byłam już w przyzwoitej odległości, odwróciłam się i zawołałam:

— Wiem, jak się nazywa ptak na siedem liter, ale panu nie powiem, e!

Zabiłam mu klina, bo zupełnie zbaraniał i nawet nie drgnął. A mnie wszystko pokręciło się w głowie. Teraz już naprawdę nie wiedziałam, kto kogo śledzi: czy ja brodacza, czy brodaczkę, czy kaleka mnie, czy wreszcie wszyscy śledzimy się nawzajem, a nikt nie wie, kto kogo. Beczka śmiechu! A w beczce kapelusz za sto tysięcy!

MACIEK PRZYCHODZI Z NOWYMI SENSACJAMI

Kręciło mi się w głowie, jak na karuzeli. Dopiero gdy na ścieżce wiodącej do pustelni zobaczyłam Maćka, przypomniałam sobie, że mam mu nawymyślać.

— Ładne rzeczy — zaczęłam — mnie już głowa puchnie, a ty nawet nie potrafisz porządnie wleźć na drzewo.

111

— Nie rozumiem — bąknął.

— Ty nie rozumiesz, a tu wsypa. Wczoraj wiolonczelista widział cię na drzewie.

— Byłem pewny, że mnie nie widział.

— Byłeś pewny, a on cię widział, a co gorsze, myślał, że to ja.

— I co z tego?

— To z tego, że powinienes tak siedzieć na drzewie, żeby cię nikt nie widział. Mógłbyś na przykład udawać dziecięcia — zażartowałam, bo Maciek miał tak stropioną buziuchnę, że żal mi go było.

Potarł dłonią nos, jakby chciał sprawdzić, czy zamiast nosa nie ma przypadkiem dzioba.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział.

— A co się stało?

— Dzisiaj zobaczyła mnie na drzewie ta elegancka pani.

— Monika? — zawołałam przerażona.

— Właśnie — powiedział zmartwiony. — Rano postanowiłem działać na własną rękę. Poszedłem więc pod te zabytkowe ruiny...

— No, to cześć! — machnęłam ręką. — Pewno wszystko sknociłeś.

— Daj mi dokończyć. Poszedłem, bo chciałem się przekonać, co robi wiolonczelista.

— I co?

— Gotował śniadanie. No i wykipiało mu mleko.

— Ogromnie ważna wiadomość — wtrąciłam kpiąco. — Czy grał na wiolonczeli?

— Nie.

— W takim razie nie jest wiolonczelistą.

— To jeszcze nie dowód. Przypuśćmy, że ma urlop i nie chce mu się grać.

112

— Niech będzie, mów dalej.

— A potem zmył naczynia i wyszedł. A potem zjawiała się ta pani...

— Nareszcie coś ważnego. Tajemnicza?

— Ogromnie tajemnicza. Zdawało mi się, że najpierw przygląda się oknu na pierwszym piętrze, gdzie mieszka pan Kolanko.

— Mów dalej.

— Jak mogę mówić, kiedy stale mi przerywasz. Więc rozejrzała się dokoła, a potem wyjęła klucz z torebki, otworzyła bramę i znikła w środku.

— A kiedy zobaczyła cię na drzewie?

— Później... I błagam cię, nie przerywaj. To było tak: Znowu otworzyła bramę, a z bramy

wytaszczyła faceta na wózku.

W tym miejscu musiałam mu przerwać, bo nie mogłam wytrzymać.

— A to bomba! To znaczy, że on tam się melinuje razem z wiolonczelistą.

— Nie, to niemożliwe, bo wiolonczelista gotował śniadanie na jedną osobę.

— Skąd wiesz?

— Widziałem, jak mył jeden kubek.

— To znaczy, że on się melinuje w innym pokoju, lecz w tej samej baszcie. Pewno go śledzi.

— Skąd wiesz?

— Ba, opowiem ci później. Maciuś nabrał tchu.

— Wytaszczyła tego kalekę na dwór, a mnie właśnie mała muszka wpadła do nosa i tak mi w nosie zakręciło, że nie wytrzymałem i kichnąłem.

— To skandal!

8 Kapelusz za 100 tysięcy

113

— Skandal? — obruszył się Maciek. — Ciekaw jestem czy ty byś wytrzymała. A wtedy ten kaleka spojrzał na drzewo i powiedział: „Tam ktoś kichnął”. A ta pani od i razu mnie zobaczyła i powiedziała: „Co tam robisz, chłopcze?” A ja byłem tak przerażony, że powiedziałem: „Kicham”.

— To nieważne — przerwałam mu. — Ważne, czy wiedzieli, dlaczego siedziałeś na drzewie?

— Zdaje mi się, że się nie domyślili, bo ten facet po- I wiedział: „Pewno znowu szuka gniazd i wybiera młode...”

I jak nie huknie: „Złazisz mi, bęcwale jeden!” W mig by-] łem na dole...

— I co?

— Nic.

— Jak to: nic?

— Po prostu zwałem.

— Czy to nie wydaje ci się podejrzanе?

— Nawet bardzo.

— Bo pomyśl, ona udaje aktorkę, a tymczasem opiekuje się kaleką, a kaleka siedzi na wózku w krzakach i śledzi brodacza. — W tym miejscu opowiedziałam Maćkowi o moich ostatnich przygodach: o kapeluszu brodacza i groźbach kaleki. Maciek, jak przypuszczałam, nic z tego nie rozumiał. Ja też niewiele rozumiałam. Więc było nam trochę różniej.

— Tak — westchnął sławny ornitolog. — Jednak do tego pogmatwanego kłęбка musi prowadzić jakaś nić.

Filozof! Proszę! Ja też wiedziałam, że jakaś nić musi prowadzić do rozwiązania zagadki najdroższego na świecie kapelusza.

— Mnie się zdaje, że musimy sprawdzić, czy ten kapelusz brodacza nie jest właśnie tym kapeluszem.

114

Maciek skrzywił się.

— Skąd brodacz może mieć kapelusz wiolonczelisty, skoro Goguś go zamienił.

— Z kapeluszami różnie bywa — odparłam ni w pięć, ni w dziewięć.

— W takim razie działajmy! — zawołał bojowo Maciek. Nagle na ścieżce prowadzącej z pustelni pojawiła się ruda broda, wystająca spod szerokiego kaptura brezentowej peleryny. Byliśmy tak zaskoczeni, że chwilowo nie wiedzieliśmy, co robić. Brodacz kroczył dziarsko i podśpiewywał pod nosem: piram-pa-ram-taram-ta-taram, prawdopodobnie w narzeczu murzyńskim z Górnej Wolty albo z Mozambiku. Głos miał basowy jak czarnoksiężnik, a minę człowieka pierwotnego, który wraca z polowania na mamuty. Widocznie kąpiel w morzu dobrze mu zrobiła.

Początkowo chciałam podejść i poprosić, żeby mi pokazał kapelusz. Zauważyłam jednak, że pod kapturem nie ma kapelusza. Podeszedł natomiast brodacz.

— No, moi kochani — zaśmiał się dobrodusznie i wu-jaszkowato — jak myślicie, jutro chyba będzie pogoda?

Tak mnie zaskoczył tym meteorologicznym pytaniem, że w ogóle o niczym nie myślałam. A Maciek miał strasznie idiotyczną minę.

— Pogoda! — huknął brodacz. — Wypłyniemy łodzią na morze i będzie czarująco, co?

— Tak, proszę pana — szepnęłam.

— Jak tak, to macie — wcisnął mi do kieszeni całą garść cukierków. — Czekoladowe — dodał — i z rumem. A potem dłonią zmierzwił mi włosy i powiedział:

— Będzie pogoda! Czuję to przez skórę.

Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, bo ni stąd, ni zowąd zapytałam:

115

— Przepraszam, dlaczego pan zostawił kapelusz?

— Bo mam łupież i pstro w głowie! — zaśmiał się ja wesóły hipopotam. Nie zważając już na nas, zaśpiewał swo je pirampa-param i ruszył w kierunku Nieborza.

— Z czego-on się tak cieszy? — zapytałam patrząc za odchodzącym.

— Może ze stu tysięcy — wyszeptał Maciek.

— Może — powtórzyłam. — W każdym razie wygląda bardzo podejrzanie. — Schwyciłam Maćka za rękę: — Wal za nim i nie spuszczaaj go z oka.

— Dobra — szepnął Maciek. Ruszył za brodaczem kro-> kiem tropiącego Indianina.

Zostałam na miejscu. Chciałam sprawdzić, co piszczy w trawie, która rośnie dookoła pustelni.

CO WIDAĆ Z DĘBU

Było zupełnie cicho. Tak cicho, że słyszałam wielkie krople opadające na ziemię i wodę bulgocącą w rynn timer samotnego domu.

Na widok domu ogarnął mnie lęk. Wiedziałam, że kryje się w nim tajemnicza zagadka. Nie na darmo Goguś węszył wczoraj i szukał wejścia do środka, a kaleka też niej sterczał w krzakach dla przyjemności.

Miałam wrażenie, że wokół domu w lesie snują się cie- j nie; ktoś przemyka się za starymi pniami, Ktoś wpatruje się w zasłonięte okna. Nie jestem bojaźliwa, jednak czułam coraz większy lęk i drżałam na samą myśl, co może stać się za chwilę.

Tymczasem nic się nie działo, tylko krople opadały ze zroszonych gałęzi i woda wciąż szemrała w rynn timer.

116

Dłuższą chwilę stałam przy ścieżce ukryta w gęstych zasiekach jeżyn. Przypuszczałam, że kaleka pojedzie na wózku za brodaczem. Nie ujrzałam jednak ani kaleki, ani wózka. Przepadł gdzieś w lesie. Okrążyłam więc dom, by znaleźć lepszy punkt obserwacyjny.

Wiadomo od pradawnych czasów, że najlepszym punktem obserwacyjnym jest stare, rozłożyste drzewo. Ileż to razy czytałam o szlachetnych wojownikach indiańskich, Siuksach, Apaczach, Delawarach, którzy jak leśne duchy wspinali się na drzewa. Na dole, pod drzewami, rozgrywały się sceny mrozące krew w żyłach, a oni nic, tylko siedzieli spokojnie i notowali w pamięci, co się dzieje, kto o czym mówi. A na dole zawsze mówili wtedy o rzeczach najważniejszych, o których nikt

nie powinien wiedzieć. Oni tymczasem śmiali się w kułak, a potem, gdy noc zapadła, ześlizgiwali się z drzewa i walili, dokąd trzeba.

Nie zrażona niepowodzeniami Maćka znalazłam odpowiednie drzewo — stary, niskopienny dąb — i indiańskim zwyczajem ukryłam się w listowiu, udając jeden z najgrubszych konarów.

Nie bałam się, dopóki nic się nie działo. Lecz gdy na ścieżce zobaczyłam wózek, myślałam, że spadnę z drzewa. Jest znowu, stary chytrus!

Zaczął się w krzakach, a, teraz kręci korbką i bimba sobie z wszelkich środków ostrożności, bo mu się zdaje, że nikt go nie widzi.

Przeliczył się, biedak. Zapomniał, że są jeszcze dziewczyny, które umieją chodzić po drzewach. Zachowywał się tak, jakby to on wybulił ciężką forszę za ten myśliwski domek. Najpierw okrążył cały dom, zajrzał do wszystkich kątów, potem zatrzymał się przed kamiennymi schodami prowadzącymi na ganeczek.

117

Myślałam: zawróci i odjedzie niepokieszony, lecz myliłam się. To, co się stało za chwilę, przechodziło wszelkie wyobrażenie! Kaleka rozejrzał się raz jeszcze i nagle energicznym ruchem zrzucił z nóg kraciasty pled, a potem wyskoczył z wózka, wbiegł na ganeczek i robił to, czego przed chwilą nie mógł: zaglądał do okien, obmacywał futryny, szperał pod wycieraczką, ruszał klamką i w ogóle czuł się jak u siebie w domu.

Oto nowa sensacja: kaleka, nie jest kaleką, ba, nie jest nawet niedołęgą. Porusza się dziarsko, jak gdyby za młodu był cyrkowcem. A więc kim jest?

Ba, gdybym wiedziała! Jedno było pewne: wokół domu sympatycznego brodacza dzieją się tajemnicze rzeczy, a wewnątrz tkwi wielka zagadka.

Nie zdążyłam zastanowić się, bo właśnie kaleka krokiem baletnicy zbiegł ze schodków, usiadł na wózku i za chwilę miał już nogi okryte kraciastym pledem; nikt by nie przypuścił, że umie poruszać się za pomocą dolnych kończyn.

Wnet zrozumiałam jego pośpiech. Na ścieżce zjawily się bowiem dwie nowe postacie. Goguś z panią Moniką! Szli trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy.

Piękna sytuacja: tu kaleka, który nie jest kaleką, tam aktorka, która nie jest aktorką, i Goguś, który nie wiadomo kogo udaje. A ja na drzewie. Byłam ogromnie ciekawa, jak będzie wyglądało spotkanie?

W ogóle nie wyglądało. Przeszli, a raczej przejechali obok siebie, jakby się nigdy nie znali. Pani Monika zachwyciała się architekturą domu, kaleka zachwycił się srebrzystą mgiełką wiszącą nad sosnami, a Goguś ssał wygasłą fajkę i niczym się nie zachwycił. Dopiero gdy kaleka zniknął za zaroślami, zapytał od niechcienia:

— Cóż to był za człowiek?

Pani Monika westchnęła jak na scenie.

— Jakiś nieszczęśliwy, sparaliżowany albo ofiara wojny. O, bezczelna! Rano taszczyła go i okrywała mu nogi pledem, a teraz nie wie — kto to?

— Ubóstwiam takie stare, drewniane domy — powiedział Goguś głosem pełnym zachwytu. — Chętnie bym tu zamieszkał.

— Tak — westchnęła pani Monika — tutaj naprawdę można odpocząć jak w starym dworku. Ciekawa jestem, kto tu mieszka?

— Nie mam pojęcia — odparł Goguś. — W każdym razie jest to zapewne człowiek, który lubi samotność.

— Tak — westchnęła Monika — i ma marzycielską naturę...

Dalszej rozmowy nie słyszałam, bo romantyczna para zawróciła nagle i oddaliła się od domu. On zachwycił się, ona wzdychała, oboje nie mieli pojęcia, kto tu mieszka, a tymczasem kombinowali zapewne, jak by się dostać do środka i gwizdnąć — jeśli się nie mylę — kapelusz albo coś innego, o czym nie miałam pojęcia. Jednym słowem, romantyczna scenka na niby, dla zamydlenia sobie oczu. I po co to było kupować kosz pąsowych róż?

Odeszli, a ja zostałam jeszcze chwilę na drzewie. Byłam tak otumaniona, że zapomniałam, gdzie jestem. Nagle na ścieżce zobaczyłam wracającego brodacza. Szedł w znakomitym humorze i podśpiewywał sobie jakieś pim-pa--dra-la-pim-ta-brum.

Myśląc, że jestem na ziemi, zawołałam z drzewa:

— Dzień dobry panu, chciałam podziękować za cukierki! Brodacz zatrzymał się, jakby go wmurowało. Spojrzał

w górę.

— Co, u licha! — zawołał. — Kto to do mnie mówi?

— To ja, Dziewiątka.

— Jaka Dziewiątka? Gdzie jesteś?

— Na drzewie.

Dopiero teraz zobaczył mnie wśród konarów i dostał napadu spazmatycznego śmiechu.

— Aleś mnie wystraszyła! Aleś mnie nabrała! Myślałem, że to anioł przemawia do mnie z chmur. Co ty tam robisz?

— Obserwuję! — odchrząknęłam. Mogłam powiedzieć, że udaję kukułkę lub dzięcioła, ale wobec brodacza postanowiłam być szczerą, bo wydał mi się sympatyczny i w ogóle bardzo mi się podobał.

— Złaż — zawołał — bo mi spadniesz!

Nie spadłam jednak, tylko ześlizgnęłam się szybko i znowu byłam na ziemi, a przede mną stał roześmiany brodacz. W kapturze, w pelerynie, w wielkich gumowych buciorach wyglądał jak święty Mikołaj, który ufarbował sobie brodę na modny, rdzawy kolor.

— Co ty wygadujesz? Kogo obserwujesz? Co ty tu robisz?

— Nic, tylko chciałam podziękować za czekoladowe cukierki. Palce lizać!

Brodacz schwycił mnie za ramiona, przyciągnął do siebie, zajrzał mi prosto w oczy. Byłam pewna, że za chwilę zacznie mnie sztorcować, a on tymczasem uśmiechnął się i huknął:

— Strasznie mi się podobasz. Jesteś podobna do mojej wnuczki Małgosi. Te same oczy, to sarno łobuzerskie spojrzenie i na pewno ta sama awanturnicza natura. Zapraszam cię na poziomki ze śmietaną.

120

MAM KAPELUSZ!

Poziomki były rzeczywiście — palce lizać: świeże, pachnące, śmietana — pycha, a porcja — jak dla wielkoluda. Z trudem ją spałaszowałam i martwiłam się, że nie będę mogła zjeść obiadu.

I wszystko było w tym domu po prostu urocze. Najpierw wchodziło się do sieni. Nad drzwiami wisiały wielkie jelenie rogi, a na ścianach dwie stare strzelby. Jednym słowem — jak w chacie starego traper. A dalej drzwi zawieszane kilimem i wielki pokój. W pokoju były wypchane ptaki: jastrząb z rozwiniętymi skrzydłami, sowa z miną filozofa i piękna kaczka cyranka.

Najbardziej jednak zainteresowała mnie skóra leżąca na podłodze przed wielkim skórzanym fotelem. Musiała należeć kiedyś do bardzo dzikiego zwierza, bo miała wielki łeb, a łeb miał dzikie oczy, rozwartą paszczę z wielkimi, białymi kłami. Zdawało mi się, że zwierzę chce mnie połknąć i spożyć na surowo.

— To ryś — wyjaśnił brodacz.

Rozglądałam się i szukałam kapelusza. Nigdzie go jednak nie spostrzegłam. Natomiast na biurku, które stało blisko okna, zobaczyłam mnóstwo papieru: rozmaite kartki, karteczki, karteluszek, arkusze, a na nich najdziwniejsze znaki, wykresy i wywijasy. Był to dowód, że brodacz nie tylko umiał łowić ryby, lecz również pisać i rysować.

„Ale, u licha, gdzie kapelusz? — pomyślałam. — Pewno go gdzieś dobrze ukrył”.

Tymczasem jedliśmy pyszne poziomki i było nam po prostu poziomkowo.

— Smakują? — zapytał brodacz.

:— Bardzo — odparłam zupełnie szczerze. — A pan nie

121

wie, że panu grozi niebezpieczeństwo — wyrwało mi się zupełnie nieoczekiwanie, bo zamiast tego chciałam powiedzieć coś o rysiu.

Myślałam, że zblednie albo spadnie z fotela, a on tymczasem roześmiał się.

— Co ci do głowy strzeliło?

— Nic, tylko widziałam na własne oczy. Kręcą się tutaj jacyś podejrzeni osobnicy.

— A ty siedzisz na drzewie i obserwujesz?

— Tak, bo to najlepszy punkt obserwacyjny.

— Ciekaw jestem, po czym poznajesz podejrzanym osobników?

— Po tym, że chcą się dostać do pana domu albo przynajmniej szukają sposobu, jak by się dostać.

Dopiero teraz zabiłam mu ćwieka. Już się nie śmiał ani nie żartował, tylko przejechał dłonią po kudłatej głowie i zerwał się z fotela.

— Kto to był?

— Na przykład jeden nieszczęśliwy kaleka, który jeździ na inwalidzkim wózku i właściwie nie jest kaleką, bo dzisiaj, gdy pana nie było, zszedł z wózka i szukał czegoś na ganku...

— Kaleka? — zastanowił się. — Spotkałem go, gdy wracałem do domu. Mówisz, że on nie jest kaleką?

— Widziałam na własne oczy. Zszedł z wózka i próbował otworzyć drzwi.

Brodacz uderzył się dłonią w czoło.

— A ja jestem taki lekkomyślny... — urwał, jakby poczuł, że powiedział za wiele. — E, to wykluczone. Pewno chciał obejrzeć dom...

— Tak jak tamten wczoraj — rzuciłam.

— O kim myślisz?.

— O tym, który pytał pana, czy nie ma pokoi do wynajęcia.

— Ten w rybackim stroju?

— Ładny rybak! Zanim pan tu przyszedł, kręcił się i też go ręce swędziły.

— Co ty wygadujesz?

— Po prostu próbował dostać się do środka!

Brodacz wielkimi, zamaszystymi krokami zaczął krążyć po pokoju, powtarzając: — Ciekawe, ciekawe... — Naraz zatrzymał się przede mną i powiedział zupełnie poważnie: — Dobrze, że mnie ostrzegłaś. Będę musiał zawiadomić milicję.

— Tak będzie najlepiej — stwierdziłam. — Niech milicja nauczy ich, jak trzeba się zachowywać.

Brodacz przestał się martwić i znów był wesoły, rozbawiony.

— Jesteś rozsądna, a ja myślałem, że masz pstro w głowie. Powiedz mi, dlaczego podpatrywałaś tamtych dwóch, a przede wszystkim, co cię do tego skłoniło?

„Za dużo chcesz wiedzieć, mój miły brodaczu. I tak już dość naplotłam. Dobry detektyw mówi tylko tyle, ile trzeba, ani słowa więcej” — pomyślałam i uśmiechnęłam się niewinnie.

— Hm... przypuśćmy, że mam zawsze otwarte oczy i umiem być spostrzegawcza.

— I dlatego włazisz na drzewo?

— Przypuśćmy, że lubię chodzić po drzewach.

— To pięknie, ale dlaczego wybrałaś sobie drzewo przy moim demu?

— Jeżeli powiem, że spodobał mi się pewien kapelusz, to pan mi nie uwierzy — rzuciłam podstępnie, niby haczyk z przynętą.

Połknął, bo zrobił zdumione oczy i osłupiał.

— Kapelusz? A to dobre. Może mój stary kapelusz?

— Nie zawsze kapelusz jest stary — dorzuciłam. — Czasem stary kapelusz może być nowy, zwłaszcza w sobotę.

Brodacz zamrugał podejrzenie oczyma.

— Co ty pleciesz? Co ty wygadujesz?

— I bardzo, bardzo wartościowy — powiedziałam, żeby go zupełnie zaskoczyć.

Zamiast załamać się i wszystko wyśpiewać, złapał się za głowę.

— Ratunku! — zawołał śmiejąc się. — Myślałem, że jesteś rozsądna, a ty naprawdę masz zupełnie pstro w głowie. — Naraz spojrzał troskliwie: — Dziecko, a może ty masz gorączkę?

Ciekawe, kiedy zaczynałam mówić o kapeluszu, zaraz wszyscy posądzali mnie o podwyższoną temperaturę. Czyżby się zmówili?

— Nie, proszę pana — rzuciłam wyzywająco — mam trzydzieści sześć i sześć kresek. Może pan sprawdzić. A kapelusz... byłabym panu bardzo wdzięczna, gdyby mi pan go pokazał.

— Ależ proszę cię — powiedział ubawiony. Podeszedł do okna i z uchwytu okiennego jednym ruchem zdjął popeli-nowy kapelusz. Zdawało mi się, że go wyczarował, bo do tej pory nie widziałam kapelusza, mimo że wisiał prawie przed moim nosem.

W mrocznym pokoju zrobiło się nagle tajemniczo i dziwnie.

— Podoba ci się?

— Nawet bardzo — odparłam z przekąsem.

— To możesz wziąć go sobie.

124

Myślałam, że będzie się wymigiwał, wykręcał, a on tymczasem jak szlachetny szeryf o złotym sercu: „Proszę cię bardzo, podoba ci się, to bierz”.

Zanim wzięłam, postanowiłam obejrzeć go sobie. Dziwny kapelusz, niby stary, a właściwie nowy, tylko bardzo przybrudzony i wymięty, a przy tym ciężki od wilgoci. Zajrzałam do środka, pod skórzaną otoczkę. Gazety, niestety, nie było. Nie było też monogramu. To pokrzepiło mnie nieco. Gazetę można przecież wyjąć i wyrzucić, a monogramu wypisanego tuszem nie da się wytrzeć. I jeszcze coś! Miał firmową naszywkę: MIESZKOWSKI — WARSZAWA. A więc pochodził z Warszawy, tak jak kapelusz pana Kolanki! „Ten czy nie ten?” — powtarzałam w myśli i, chociaż bardzo chciałam, nie mogłam znaleźć odpowiedzi,

125

Brodacz stał nade mną, przyglądał rni się uważnie.

— Czego szukasz? — zapytał.

— A... tak sobie oglądam.

— Powiedziałem, że możesz go sobie zabrać.

— Dziękuję — wyszeptałam. — Chciałam tylko pożyczyć. Zaraz panu odniosę.

— Mnie jest niepotrzebny.

— A w czym pan będzie chodził na plażę? Bo widziałam pana w kapeluszu.

— Ot, dla fantazji... — roześmiał się.

„Pewno chce się go pozbyć” — pomyślałam. W tej samej chwili postanowiłam pożyczyć kapelusz od brodacza i pokazać wiolonczeliście. Ciekawe, czy się przyzna do niego?

— Dobrze — powiedziałam — pożyczę go sobie, a jutro odniosę.

Wzruszył tylko ramionami.

— Ciekaw jestem, dlaczego nie chcesz wziąć, tylko pożyczyć.

— Ot, dla fantazji. Może komuś się przyda.

— Nie sędzę, żeby mógł przydać się komuś taki zniszczony kapelusz.

— Z takimi kapeluszami nigdy nic nie wiadomo...

Chciałam jeszcze coś dorzucić, żeby mu do reszty zamącić w głowie, ale nie zdążyłam, bo w tej chwili silniejszy powiew wiatru odemknął nagle okiennicę. Nad biurkiem zawirowały kartki papieru, kilka z nich upadło na podłogę. Rzuciliśmy się na ratunek. Brodacz przymknął okno, a ja uklęknęłam i zbierałam kartki. Złożyłam je w mały plik, podałam brodaczkowi.

Układał je starannie, potem położył na biurku pod przyciskiem z płaskiego kamienia.

126

— Pod fotelem została jeszcze jedna — powiedział pokazując na podłogę.

Podpełzłam na klęczkach i spod fotela wyjęłam małą karteczkę. Przyjrzałam się jej uważnie. Początkowo myślałam, że to rysunek przedstawiający ozdobny łańcuch, ale wnet w ogniwach tego łańcucha ujrzałam litery — HO—CH₂—CH₂—OH...

— Jaki to dziwny rysunek — powiedziałam oddając brodaczkowi kartkę.

Brodacz spojrzał najpierw na mnie, potem na kartkę, a potem uśmiechnął się tajemniczo.

— Spójrz — powiedział z przejęciem — na tej małej kartce mieści się wynik obliczeń tego całego stosu papieru — pokazał na biurko. — Wynik mojej długoletniej pracy.

— Na takiej małej karteczce? — wyszeptałam.

— Tak, moja miła. Nieraz, żeby znaleźć grudkę złota, trzeba przerzucić górę piasku.

— A co oznaczają te literki? — zapytałam nieśmiało. Uśmiechnął się dobrodusznie.

— To czarodziejskie znaki.

— A mnie się zdaje, że jakieś znaki chemiczne. Wiem, że H₂O to woda; a C to węgiel.

— Doskonale — roześmiał się brodac. — Piątka z chemii!

— To pan... pan jest chemikiem?

— Nie, moja droga — żartował wesoło — jestem alchemikiem. Z węgla, wodoru i tlenu potrafię stworzyć coś, co jest droższe od złota.

— To ogromnie ciekawe — wyszeptałam pełna zachwytu i zdumienia. — Chciałabym wiedzieć, jak to się robi.

127

— Ba, chętnie bym ci wytłumaczył, bo ogromnie mi się 1 podobasz, ale do zrozumienia tych czarów potrzebna jes» gruntowna znajomość chemii.

W tej chwili pomyślałam, że gdy dorosnę, nie będę już szlachetnym szeryfem, lecz alchemikiem, który z węgla, wodoru i tlenu tworzy coś, co jest droższe od złota. I ża- i 1owałam, że nie mam gruntownych wiadomości...

— Nie martw się — przerwał ciszę — kiedyś, jeżeli ze- 1 chcesz, wytłumaczę ci to wszystko, bo chciałbym poznać! was z moją Małgosią. Tworzyłybyście parę największych 1 hultai na świecie.

— Czy ona też była szefem gangu i miała pod sobą 1 ośmiu chłopców? — zapytałam.

Wybuchnął śmiechem.

— Teraz już rozumiem, dlaczego chcesz mieć taki ka- 1 pelusz. Bawicie się pewno w gangsterów, a ty jesteś szefem i dla dodania sobie powagi chcesz nosić kapelusz. Już>| rozumiem — powtórzył i z uciechy zaczął szarpać rudą j brodę.

Nie chciałam wyprowadzać go z błędu. Niech się cieszy i myśli, co mu się podoba. Dygnęłam bardzo dziewczęco.

— Dziękuję za pyszne poziomki. Bardzo mi się u pana 1 podoba. A kapelusz pożyczam do jutra...

Przygarnął mnie do siebie, uściśnął, jakbym była jego wnuczką Małgosią.

— Baw się dobrze — rzucił na pożegnanie. — I wstąp do mnie na poziomki.

Nic mądrego nie przyszło mi do głowy, więc wybiegłam bez słowa. W ręku trzymałam kapelusz, a w głowie miałam... Właściwie nic nie miałam, tylko pustkę i kilka symboli chemicznych.

128

NIE POWIEM PANU

Gdy się ma w głowie pustkę, to trudno o cokolwiek myśleć. Gnałam do Nieborza, bo chciałam podzielić się z Maćkiem najnowszymi sensacjami. Nic dziwnego, że nie spostrzegłam Gogusia. A tymczasem Goguś stał z fajką w zębach, z pogardliwym uśmieszkiem na wygolonym obliczu, i tylko czekał, kiedy wybiegnę od brodacza.

Tak mnie niespodziewanie zaskoczył, że przez chwilę nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Stał przede mną, zagroził mi drogę i zapytał:

— Byłaś tam w środku?

— Nigdzie nie byłam — odparłam.

— No, no, nie bawmy się w ciuciubabkę — zaśmiał się i zerknął na kapelusz.

Myślałam, że wyrwie mi go z ręki i ucieknie, lecz on tylko zerkał. Schowałam więc kapelusz za siebie.

— Nie mam ochoty bawić się z panem w ciuciubabkę — odpaliłam zadziornie. — Niech pan sobie nie myśli, że się pana boję. I w ogóle... czego pan tu szuka? Powinien pan być z panią Moniką, a nie kręcić się po lesie.

Tak mu dosoliłam, że wyjął fajkę z zębów i uśmiechnął się niemrawo.

— Słuchaj — powiedział — porozmawiajmy rozsądnie. Byłaś u tego pana w domu i na pewno widziałaś dużo ciekawych rzeczy.

— Pewno że widziałam, tylko nie mam ochoty z panem rozmawiać.

— Więc co widziałaś?

— Na przykład jelenie rogi na ścianie.

— Bardzo ciekawe... I co jeszcze?

— Rysia na podłodze. Kazał się panu kłaniać.

9 Kapelusz za 100 tysięcy

— Dziękuję, a może coś ciekawszego?

— Wypchaną cyrankę, jeżeli to pana interesuje.

— Dowcipna jesteś. I niezbyt grzeczna.

— Bo pan mnie zaczepia i niepotrzebnie wypytuje.

— Myślałem, że dojdziemy do porozumienia, a tymczasem się dąsas na mnie.

— A pan dzisiaj rano zrobił ze mnie ładnego balonika, ho, ho...

— Wiem, że interesuje cię bardzo pewien kapelusz... — przerwał mi.

— Właśnie, właśnie — zaśmiałam mu się w twarz. — Ten sam, który pan zamienił w kawiarni „Jantar”.

— Daj mi dojść do słowa — powiedział bardzo tajemniczo. — Wiem również, że posądzasz mnie... Ale niesłusznie. Przecież udowodniłem ci, że zabrałem z wieszaka własny kapelusz. Widziałaś mój monogram WK. — W tym miejscu ruchem niezwykle wytwornym i pełnym gracji wyciągnął portfel, a z portfela wizytówkę. — Proszę, na; zywam się Wiesław Kardasiewicz. Przeczytaj, jeśli mi nie wierzysz.

Przeczytałam. Było czarne na białym: WIESŁAW KARDASIEWICZ — inżynier.

— Zgadza się? — zapytał.

— Zgadza się, ale nie bardzo, bo ten kapelusz, który został, miał taki sam monogram.

· — A jak się nazywa ten łysy pan?

— Wiktor Kolanko — powiedziałam — lecz on twierdzi, że jego kapelusz był bez monogramu i miał pod wkładką złożoną gazetę.

— Widziałaś?

— Nie.

— Nikt nie widział tej wkładki ani gazety. Czy ci nie przyszło do głowy, że on chciał się pozbyć własnego kapelusza?

„Czy ci nie przyszło do głowy!” Gdyby wiedział, ile się nad tym nagłowiłam i co mi przychodziło do głowy, nie zadawałby tak naiwnych pytań.

i— W takim razie — zapytałam — po co ta cała heca z... — Chciałam palnąć „ze stu tysiącami”, lecz w porę ugryzłam się w język.

— Z czym? — przynaglił mnie Goguś.

— W ogóle... — odrzekłam wykrętnie. — Na przykład dlaczego przyszedł ze mną do pana, w kawiarni narobił tyle krzyku?

Goguś zrobił jeszcze bardziej tajemniczą minę.

— Widocznie zależało mu na tym.

— Może pan mi wyjaśnić. Może pan wie? — prychnęłam mu prosto w oczy.

— Domyślam się tylko i dlatego... — zniżył głos do szeptu. — Dlatego chciałem ci coś zaproponować. Jeżeli tylko dowiem się coś o kapeluszu, powiem ci zaraz... A ty w zamian...

— Nie ma głupich! — zawołałam. — Znowu chce mnie pan nabrać.

— Więc nie chcesz znać zagadki tego kapelusza?

— Chcę, ale dziękuję za pomoc. Rozwiążę ją sama.

1— Powiedz tylko jedno, czy widziałas u tego rudego brodacza niebieską teczkę z napisem...

— Nie widziałam i nie będę widzieć — zawołałam oburzona. — A pan niech uważa na milicję! — dorzuciłam.

Goguś błyskawicznym ruchem złapał mnie za ramię i wydarł mi kapelusz.

— Skąd masz ten kapelusz?

131

— Proszę mi go oddać.

— Nie denerwuj się, mała — powiedział spokojnie Chwilę obracał kapelusz w dłoni. Naraz uśmiechnął się kpiąco i oddał mi go. — Nic ci z niego nie przyjdzie. Mo. żesz go wyrzucić na śmietnik.

— Zrobię to, co będę chciała — powiedziałam.

— Powodzenia, moja mała! — rzucił z przekąsem. —

Szkoda, że nie doszliśmy do porozumienia. — To powie-dziawszy, puścił mnie, a ja nie czekałam na dalszą wymianę grzeczności. Zacisnęłam mocno palce na kapeluszu i po-biegłam.. nie wiem nawet dokąd.

Zatrzymałam się na zbiegu Plażowej i Jana z Kolna, obok baru mlecznego. Nie miałam jednak ochoty na kefir ani na zsiadłe mleko, bo czułam jeszcze wspaniały smak poziomek ze śmietaną. Zresztą, czy wypada porządnemu detektywowi wstępować do baru mlecznego? Nie. W żadnej książce nie czytałam, by detektyw albo gangster popijał przez słomkę kefir. Zwykle tacy osobnicy siedzieli w normalnym barze, pili whisky, gapili się na szalową barmankę i wyczytywali z jej oczu rozmaite tajemnice, a potem ktoś wyciągał spluwę i trach, trach, aż szkło się sypało. I zaraz słysząc było syrenę policyjnego samochodu, a pod barem leżały dwa trupy — jeden trup szlachetny, a drugi niewiadomego pochodzenia.

Tak było w powieściach i w filmach. Nic więc dziwnego, że ogromnie zdziwiłam się, kiedy przez zamgloną szybę ujrzałam w barze mlecznym Maćka. Siedział na barowym stołku, przed nim stała butelka z nie dopitym kefirem,

132

a obok — własnym oczom nie chciałam wierzyć — dwa wielkie kalafiory. Czyżby zamówił je na zakąskę?

Oburzyłam się. Ja pocę się, narażam, wyłażę z siebie, a on popija kefir, zagryza surowymi kalafiorami i do tego W barze mlecznym. Kapuściana głowa, a nie detektyw!

Wpadłam jak bomba i zawołałam:

— Ładna historia!

— Właśnie! — powiedział poważnie. — Narażasz mnie na wydatki. Musiałem wybulić pięć złotych za te jadalne rośliny. A do tego nie znoszę kalafiorów.

— To po coś kupował?

— Musiałem coś kupić. Nie mogłem iść do ogrodnika i powiedzieć, że chcę usłyszeć, jak trawa rośnie...

— Byłeś u ogrodnika i nic nie mówisz? — zawołałam zaskoczona tą wiadomością.

— Jak mogę mówić, skoro nie dajesz mi dojść do słowa.

— Proszę bardzo, dojdź.

Gdy doszedł do słowa, zaczął niesłuchanie poważnie:

— Wyobraź sobie, ten brodacze był u ogrodnika...

— To bomba!

— Nie przerywaj. Był i nic nie kupił.

— To jeszcze ciekawsze. Więc co robił?

— Był bardzo tajemniczy.

— To się samo przez się rozumie. Ale czy robił coś podejrzanego?

— Zdaje mi się, że, o coś wypytywał.

— Zdaje ci się czy wypytywał?

— Nie mam pojęcia, bo wszedł do domu i pięć minut nie wychodził.

— Nie mogłeś podsłuchać? Maciek cmoknął zniecierpliwiony.

133

— Za dużo ode mnie wymagasz. Nie dość, że kupiłem kalafiory z własnych oszczędności, miałem jeszcze podsłuchiwać. Podsłuchaj ty, kiedy mur ma przeciętnie pół metra] grubości, a aparatu podsłuchowego jeszcze, niestety, nie| mamy.

— Spartaczyłeś całą robotę.

— Oczywiście, spartaczyłem — zaśmiał się gorzko. — Ty na moim miejscu zamieniłabyś się w ducha, przeniknęła przez ściany i przyniosłabyś stenogram całej rozmo-! wy. Genialna! A ja umiem tylko partaczyć... A wywiad to kto przeprowadził? — zapytał z tajemniczą miną.

— Jaki wywiad?

— Właśnie... jaki? Z synem ogrodnika.

— Ogrodnik ma syna?

Maciek wyjął notes i odczytał głosem uroczystym:

— Nazywa się Gustaw Sapara, ma lat trzynaście i dwa razy już zimował. Raz w trzeciej klasie...

— To nieważne — przerwałam mu.

— Na wszelki wypadek zapisałem.

— I co jeszcze powiedział?

— Że po tym deszczu stanieją ogórki.

Oto cały Maciek! Ja drzę z podniecenia, a on wyjeżdża z ogórkami. ----Ogórki mnie nie interesują!

— zawołałam.

— A Goguś? -

— Mów szybciej, bo cię palnę.

— Wyobraź sobie, Goguś nie mieszka u ogrodnika.

— I nie ma tam meliny?

— I nie ma meliny.

— Ty zawsze przynosisz takie kiepskie wiadomości. Nie ma! Dlaczego? Przecież powinien mieć.

134

— Jeżeli nie ma — obruszył się Maciek — to co ja ci na to poradzę.

— A co ma?

— Garażuje u nich w szopie samochód.

— Masz go! — jęknęłam. — On garażuje, a ty mi dopiero teraz o tym mówisz. Jaki samochód?

— Mercedes-220 i do tego „S”.

— Super! Od razu wiedziałam. Taki facet może mieć tylko mercedesa~220.

— Skąd wiesz?

— Przecież sam mi powiedziałeś. I co jeszcze?

— Nic. Brodacz wyszedł, ogrodnik wyszedł, a ja chciałem mieć jakieś alibi, więc kupiłem dwa kalafior, bo jednego nie wypadało. Jutro babcia zrobi na obiad kalafior w sosie, a mnie mdli na samą myśl, że będę musiał zjeść.

— Smacznego — rzuciłam z przekąsem. — A brodacz?

— Brodacz poszedł do domu.

— Nic się o nim nie dowiedziałeś?

— Nie wypadało tak od razu pytać...

— Maciek! — zawołałam. — Ty lepiej jednak zajmuj się ptakami.

Sławny ornitolog nadąsał się.

— Zrobiłem taki fantastyczny wywiad, kupiłem kalafior, a ty masz pretensje.

— Mam, bo nawet nie widzisz, co zdobyłam. — To powiedziawszy pomachałam mu kapeluszem przed samym nosem.

— O, kapelusz! — zdziwił się. — Wybacz, ale do tej pory nie spostrzegłem.

— Gdybym miała słonia na sznurku, też byś nie zauważył. I w ogóle z ciebie straszna fujara. A teraz posłuchaj...

135

Opowiedziałam mu o wszystkim, co zdarzyło się od naszego rozstania. Myślałam, że zblednie z podziwu i pięknie z zazdrości, a on tymczasem zapytał:

— Czy ta wypchana cyranka była samcem, czy samicą? — I mów tu z takim! Wokół nas dzieją się rzeczy przechodzące granice prawdopodobieństwa, a jego najbardziej interesuje wypchany ptak.

— A to, że Goguś dopytywał się o jakąś niebieską teczkę to cię w ogóle nie obchodzi? — zawołałam kipiąc z oburzenia. — A to, że brodacze jest alchemikiem, to masz w nosie? A to, że potrafi z węgla, wodoru i tlenu stworzyć coś, co jest droższe od złota...

— Właśnie — przerwał mi — to mnie bardzo zastanawia. Słuchaj — powiedział, jakby się przed chwilą obudził — zdaje mi się, że sprawa kapelusza może się ściśle łączyć ze sprawą tej małej karteczki, na której brodać miał zapewne chemiczne wzory tego bezcennego...

— Nareszcie śpiący królewicz obudził się! — zawołałam uradowana. — Nareszcie powiedział coś mądrego. Boj mnie też coś się widzi, że te dwie sprawy łączą się. Położyłam kapelusz na stoliku. — Pomyśl, tu masz kapelusz, który nie ma żadnej wartości. Jeżeli ukryjesz w nim kartkę z tajemniczymi wzorami chemicznymi, to nagle staje się bezcenny...

Maciek tarł w zamyśleniu koniec łuszczącego się nosa.

— Dobrze, ale skąd wiesz, że to właśnie ten kapelusz?

Coś tu nie gra. Gdyby był tym kapeluszem, którego poszukuje wiolonczelista, to brodać nie oddałby ci go za żadne

skarby.

— Tak, ale brodać może nie wiedzieć, że to właśnie ten

kapelusz.

136

Maciek pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Coś mi tu nie klapuje.

— Ba, odkryłeś Amerykę. Od początku wszystko jest ogromnie zagmatwane i tajemnicze. Ale musimy to wyjaśnić — powiedziałam stanowczo.

— Co chcesz zrobić?

— Najpierw trzeba ten kapelusz pokazać wiolonczeliście!

CO JEST W TYM PUDLE?

Do wiolonczelisty najlepiej było iść po obiedzie. Jest to bowiem pora, kiedy ludzie na ogół są w dobrym nastroju i życzliwiej patrzą na świat i bliźnich. Po dobrym obiedzie — może być grzybowa zupa, zrazy zawijane i placek z jagodami — przychodzą pogodne myśli. Wiolonczeliście też zapewne napływają pogodniejsze niż zwykle i gotów jest zapomnieć o stu tysiącach, które w tak nieoczekiwany sposób stracił wraz z kapeluszem, jeżeli w ogóle cokolwiek stracił.

Poszliśmy więc po obiedzie.

W drodze zaczęliśmy się denerwować.

— Słuchaj — zapytałam Maćka — czy możemy iść do wiolonczelisty, skoro nie wiemy, gdzie on mieszka?

— Przecież wiesz.

— Tak, ale on myśli, że ja nie wiem. Może lepiej by było, gdybyś ty sam poszedł?

— Ja! — zachnął się. — Przecież on mnie widział na

drzewie.

— Właśnie, dobrze się składa! Skoro cię widział na drzewie, to wie, że ty wiesz, gdzie on mieszka.

— A jeżeli mnie zapyta, co robiłem na drzewie?

137

— To powiesz, że chciałeś się nauczyć od niego, jak się gotuje kalafiory.

Pomysł ten nie spodobał się Maćkowi. Ja chciałam, żeby on poszedł, a on, żebym ja, i aż do muru kłóciliśmy się, kto ma iść.

Za murem było już blisko i należało się zdecydować. Maćka, oczywiście, nie było na to stać. A na mnie zabytkowe mury zrobiły tak wielkie wrażenie, że zapomniałam, dokąd i po co idę.

Podziwiałam piękno i urok zrujnowanego pałacu. Leżał w gruzach i dlatego był jeszcze bardziej tajemniczy, aniżeli być powinien. I wiało odeń historią i średniowieczną legendą. Wypisz, wymaluj, jak na obrazie pod tytułem „Historia wzywa”, który oglądałam w Muzeum Narodowym, a może i

ładniej. Gdybym była malarzem, zaraz rzuciłabym na płótno cały jego urok.

Pałace i zamki mają na ogół dwa skrzydła. W tym — lewe skrzydło leżało w gruzach, a z prawego została tylko ściana z wylotami okiennymi, w których, zamiast kwiatów, rosły pokrzywy i inne chwasty. A nad skrzydłami sterczała smukła baszta z wąskimi oknami. W sam raz dla duchów i widm. W każdej takiej baszcie powinno straszyć. I pomyśleć, że nasz wiolonczelista gotował tutaj kalafiory!

O kalece nie wspomnę. Sam wyglądał jak upiór, więc wypadało mu tutaj zamieszkać. Ale pani Monika? Ta musiała najeść się strachu.

Czekałam z biciem serca, z którego okna wyjdzie widmo. Tymczasem zamiast widma wyszedł pan Kolanko, i to nie z okna, tylko zwyczajnie przez bramę. Spór, kto ma iść do niego i pokazać kapelusz, został rozstrzygnięty. Wystarczyło jedynie podejść i zapytać: „Proszę pana, czy to ten kapelusz?”

138

Na razie nie zdecydowaliśmy, kto ma podejść, a potem zobaczyliśmy to czarne pudło, które nas zupełnie dobiło. Bo pan Kolanko nie wyszedł sam, lecz z wielkim czarnym pudłem, przypominającym kształtem trumienkę. Taszczył pudło z wielkim, trudem, uginał się niemal pod nim i dlatego prawdopodobnie nie wybrał krótszej drogi przez wyrwę w murze, lecz skierował się w stronę alei kasztanowej prowadzącej do głównej bramy.

— Co on tak taszczy? — zapytał szeptem Maciek.

— Nie mam pojęcia — odparłam. — Może coś ukrył w tym pudle.

— Mnie się zdaje — powiedział Maciek — że to futerał od wiolonczeli.

— Równie dobrze może nie być futerałem, tylko trumienką, bo czarny.

Niełatwo było ustalić, co taszczy nasz wiolonczelista, więc walnęliśmy się prosto za nim, ale tak, żeby nas nie widział.

139

Byliśmy bowiem niezmiernie ciekawi, dokąd pan Kolanko taszczy tajemniczą skrzynkę.

Nie dowiedzieliśmy się ani na Pasiecznej, ani na Polnej, ani przy domkach campingowych. Dopiero na ścieżce... pękła nowa bomba. Pan Kolanko szedł w stronę domu brodacza.

Maciek aż pobladł z wrażenia.

— A mówiłem — szarpnął mnie za rękaw. | — Widzisz, I kapelusz za sto tysięcy i karteczka... wszystko gra.

— Nic jeszcze nie gra — syknęłam. — Musimy sprawdzić, co będzie grało.

Tymczasem skrzypiał tylko piasek pod trampkami pana Kolanki, w gęstwinie pogwizdywał kos, a wiolonczelista po-sapując walił wprost do pustelni brodacza.

Przy domu ukryliśmy się za najgrubszymi sosnami, czekaliśmy, co będzie dalej. A dalej było trochę jak w teatrze przedstawieniu. Wiolonczelista przeszedł pod oknami, zaszurał nogami na wycieracze, wtedy na ganeczku zjawił się brodacz i, jak w teatrze, rozłożył szeroko ramiona.

— Witam, panie Walery, witam! Już nie mogłem się pa
na doczekać. ?

Pan Kolanko też rozłożył ręce, a raczej jedną rękę, bo w drugiej taszczył czarne pudło.

— Nareszcie, profesorze — powiedział zdyszany. — Nareszcie... — i razem z czarnym pudłem wpadł w rozwarte ramiona brodacza.

Weszli do domu, a potem nie widzieliśmy nic, bo okna były zamknięte.

Na szczęście za chwilę brodacz otworzył okno, a my wspięliśmy się na niewielki piaszczysty pagórek i spoza drzew przez lornetkę obserwowaliśmy, co się dzieje.

140

Chwilowo nie działało się nic uieKawegu. wiudt ??i?, ^»-ko rudą brodę profesora i lśniąca łysinę wiolonczelisty, a nad nimi szeroko rozłożone skrzydła jastrzębia. Rozmawiali — prawdopodobnie o pogodzie — i pili kawę. Nawet nie spojrzeli na czarne pudło stojące w kącie pod wypchaną cyranką.

— Samiec — szepnął Maciek.

— Gdzie? — wzdrygnęłam się.

— Nie gdzie, tylko cyranka. Poznałem po upierzeniu. Zabawny ten Maciuś! Tam piją kawę, w powietrzu wisi

niepokój, a on zastanawia się, czy wypchana cyranka jest samcem, czy samicą! I w ogóle niczym się nie przejmuje, bo wie zapewne, że ja denerwuję się za niego.

Nie mogłam doczekać się, kiedy wypiją tę kawę. Nareszcie brodacz wstał i pan Kolanko wstał, i znowu w powietrzu zawisła nowa sensacja. Zobaczyłam, że pan Kolanko podchodzi do czarnego pudła... Zbliża się, waha chwilę, zastanawia, a potem w tajemniczy sposób otwiera...

— Mówiłem, że wiolonczela! — usłyszałam uszczypliwą uwagę Maćka.

Maciek miał rację. W czarnym pudle była po prostu wiolonczela, a skoro pan Kolanko posiadał ten

instrument, musiał być wiolonczelistą. Oto klops z powidłem. Klapa! Zamiast okazać się kimś podejrzanym, groźnym, niebezpiecznym, zaczął brzdąkać palcami po strunach, a potem jeździć smyczkiem. Aż uszy cierpły.

Na dodatek brodacze przyniósł skądś skrzypce i brzdąkali już razem.

— Stroją instrumenty — zauważył fachowo Maciek. —

Zaraz zaczną grać.

Byłam bliska płaczu. Czego innego spodziewałam się po nich. Rozczarowali mnie zupełnie.

141

— Maciek - - potrąciłam ornitologa — może ten brodacze, ten profesor, nie jest chemikiem, tylko zwykłym skrzypkiem?

— Nie — odrzekł z powagą. — On pewno, jak Einstein, tworzy rozmaite teorie, a w przerwach gra na skrzypcach, żeby mu głowa nie pękła od tych wzorów, formułek. To jego hobby.

Nie chciałam uwierzyć. Wydało mi się, że znowu przygotowują jakąś wielką niespodziankę, żeby wszystkich wywieść w pole, a przede wszystkim mnie.

— Czy nie podejrzewasz — szepnęłam Maćkowi w ucho — że to dla zamydlenia oczu?...

Wzruszył ramionami.

— Komu mieliby mydlić?

— A nam. Albo Gogusiowi.

— Śmiej się z tego!

Pan Kolanko siedział na krześle i poruszał smyczkiem z góry na dół, a profesor stał i poruszał — z dołu do góry. A przez okno płynęła ku nam muzyka.

— Pięknie — westchnął Maciek.

— Co pięknie?

— Nie słyszysz? Grają Haendla.

— Ty się znasz na tym?

— Chodzę na lekcje fortepianu.

— To mi powiedz, kiedy to się skończy, bo nie mogę wytrzymać.

— Dopiero zaczęli, a ty chcesz, żeby już kończyli.

— Lubisz muzykę?

— Ubóstwiam.

— No to słuchaj, aż skończą, i kapuj, co będzie dalej, a ja walę do hotelu. Może tam dzieje się coś ciekawszego. Wpadnij, będę na ciebie czekała.

142

CZWARTY DO ERYDŹA

Wracałam zamyślona wzdłuż brzegu. Nie spostrzegłam, że się wypogadza. Dopiero gdy piasek pojaśniał pod moimi stopami i morze błysnęło jak lustro, rozejrzałam się do-; koła.

Morze falowało spokojnie. Fale nie niosły już grzyw ani nie zalewały plaży. Nad morzem wisiały jeszcze chmury, lecz wiatr poprzerywał je i niósł bezwolnie. A między warstwami chmur przecierał się błękit i światło opadało ku wodzie niby srebrzyste zasłony. Jednym słowem, jak na pocztówce pod tytułem „Po sztormie”.

Nawet letnicy wysypali się z domów. Nieśmiało schodzili na plażę. Brodacz miał rację — jutro na pewno będzie pogoda, a niżowi, który tak uparcie zalegał nad Skandynawią, można zagrać na nosie.

Niestety, nie miałam czasu na podziwianie piękna krajobrazu i gry światła na morzu. Czekają mnie ważniejsze sprawy. Chciałam przecież zrobić małą inspekcję w hotelu „Pod Trzema Żaglami”. Najpierw jednak wstąpiłam do „Ustronia” przebrać się, zostawić kapelusz i zobaczyć, co piszczy w trawie.

Tata z Jackiem wyjechali na ryby, mama natomiast — jak było do przewidzenia — siedziała w hotelu i łupała w brydża.

Tymczasem z Robin Hooda przeobraziłam się w Alicję z Krainy Czarów. Włożyłam bowiem błękitną sukienkę, której nie znosiłam. Kapelusz rzuciłam głęboko na szafę, żeby nikt go nie zauważył. Niech sobie leży! Nic nie wiadomo, może to właśnie ten za sto tysięcy?

Potem krokiem tanecznym, pogwizdując po drodze rozmaite piosenki, poszłam do hotelu „Pod Trzema Żaglami”.

143

W hotelu jak w hotelu — nic ciekawego; ten sam portier połyskujący złotymi guzikami, te same znudzone starsze panie w fotelach, ten sam samolot LOT-u na afiszu i ten sam ruch; jedni wchodzą, drudzy wychodzą, nie wiadomo właściwie po co?

I byłoby wszystko nieciekawe, gdybym nie spostrzegła mojego trzyćwierciedośmierci udającego najnieszczęśliwszego kalekę na świecie. Siedział, jak zwykle, na wózku i, jak zwykle, rozwiązywał krzyżówki.

Zdaje mi się, że kaleka stworzony był do udawania. Udał nawet, że mnie nie poznał, chociaż wlażłam mu niemal na odciski i chrząknęłam znacząco. Nie drgnął, tylko wlepił oczy w zeszyt z krzyżówkami, a długopisem kreślił coś na marginesie.

Chciałam mu jednak pokazać, że nie jestem czczą pustką. Dygnęłam z przesadną grzecznością i przywitałam go głośno.

— Moje uszanowanie panu, jak się udał przedobiedni spacer?

Piękna szpileczka ze złotą główką ugodziła amatora krzyżówek tam, gdzie trzeba. Łypnął na mnie burymi oczyma i mruknął:

— Dziękuję, dziękuję... Zupełnie nieźle. — Jak się panu podoba okolica?

— Dziękuję — syknął i dodał szeptem: — Zmykaj, bo mi przeszkadzasz.

Udałam, że nie usłyszałam jego niezbyt stosownej uwagi, uśmiechnęłam się przymilnie i zapytałam jeszcze głośniejsze:

— Bardzo się cieszę, bo mnie też ogromnie się podoba, a najbardziej ten wysoki brzeg za campingiem.

Spopielaciał, syknął jeszcze zjadliwiej:

144

— Zawołam portiera, żeby cię wyprosił.

— Dziękuję bardzo — roześmiałam się czarująco. — Chciałam jeszcze zapytać, jak zdrowie?

Tym razem nie czekałam, aż mnie rozszarpie na kawałki, dygnęłam z przesadną elegancją i zwałam, udając, że się go nie boję.

W sali klubowej czekała mnie nowa niespodzianka. Przy stoliku mamy, zamiast pani doktorowej z Rzeszowa, zobaczyłam... fajkę, a potem resztę, czyli całego Gogusia.

Gdyby nawet napisali o tym w „Ekspressie”, też bym nie uwierzyła. Bo skąd Goguś przy stoliku mojej mamy i skąd mama w towarzystwie Gogusia? Powinien przecież śledzić brodacza, ukrywać kapelusz lub trzymać za rękę panią Monikę. Tymczasem trzymał w ręku karty i licytował w najlepsze.

Chciałam wycofać się dyskretnie. Niestety, mama zauważyła mnie wcześniej.

— Nareszcie! Gdzieś ty przepadła, moje dziecko! — Przywitała mnie tak czule, jakby od obiadu nic

nie robiła, tylko tęskniła za mną.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Niestety, nie wypadało. Mogliby pomyśleć, że jestem źle wychowana. Dygnęłam więc uprzejmie.

W ogóle śmieszna sytuacja; ja nie chciałam przyznać się do Gogusia, Goguś do mnie, a tu nagle mamie coś się przypomniało i odezwała się ni w pięć, ni w dziewięć:

— Wyobraźcie sobie państwo, moja Krysia ukończyła kurs dzudo i daje radę wszystkim chłopcom.

— Brawo! — podchwycił Goguś. — Ho, ho, jaka dzielna panna. — Nie wiem, jak mu to przeszło przez gardło. Powinien się raczej udławić, a on tymczasem uśmiechnął się do mnie i dorzucił: '— My się już przecież znamy.

10 Kapelusz za 100 tysięcy

145

Mama zrobiła wielkie oczy.

— Pan zna moją Krysę?

— Tak — wtrąciłam szybko, żeby go uprzedzić — odnosiłam raz panu kwiaty.

Goguś zachował się jak stuprocentowy dżentelmen.

— Muszę powiedzieć — zwrócił się do mamy — że pani I córka jest nie tylko dzielna, ale też niezwykle uczynna. Przepraszam bardzo, może nawet nadużyłem jej uprzejmości, lecz, proszę mi wierzyć, nikogo nie mogłem znaleźć... !

— Ciekawe — zastanowiła się mama — ona nie wspomniała nawet o tym.

— To zapewne przez skromność i wrodzoną delikatność — palnął Goguś uśmiechając się jak Burt Lancaster w filmie „Karmazynowy Pirat”. Gdyby mógł, to zapewne dodałby jeszcze, że jestem najlepsza w klasie, mam same piątki, a w przyszłości będę Walentyną Tierieszkową. Przejrzałam go, ratował nie mnie, lecz siebie.

Nastąpiła chwila ciszy.

Dopiero pani mecenasowa z Dąbrowy Górniczej uratowała nas wszystkich.

— Trzy piki — powiedziała zniecierpliwiona. Goguś odparł wytwornie:

— Kontra.

Od tej chwili przestałam dla nich istnieć. Istniały tylko piki, kiery, kara i trefle, nie mówiąc o kontrze Gogusia.

Może pół godziny w ogóle dla nich nie istniałam, aż wreszcie mama przypomniała sobie o mnie i zauważyła:

— Moja Krysiu, zamiast tu ślęczeć, mogłabyś przewietrzyć się trochę. Zdaje mi się, że się rozpogadza.

A Goguś dodał nie wyjmując fajki:

— Tak, tak... mały spacer nad morzem dobrze ci zrobi.

146

Chciał się mnie pozbyć. Pewno knuł coś nowego i wolał nie mieć mnie na karku. Przeliczył się. Udałam oczywiście, że tęsknię za krótkim spacerem. Wyszłam z sali klubowej, ale zamiast iść nad morze, ukryłam się w wielkim fotelu i czekałam, co będzie.

Nic szczególnego nie było, prócz mojego paralityka. Tkwił w tym samym miejscu i z miną męczennika rozwiązywał krzyżówki. Czasem jednak jego bystre spojrzenie biegło w stronę grających w brydża. Domyślałam się, że pilnuje Gogusia.

TECZKA W FUTERALE

Nudziłabym się w tym fotelu do wieczora, gdyby nagle w obrotowych drzwiach nie zjawił się Maciek. Już z daleka po jego minie poznałam, że przynosi nowe sensacje.

«Wpadł do hallu jak wichra, a gdy zobaczył mnie, zawołał:

— Nie masz pojęcia, co się stało!

Nie miałam pojęcia, lecz to wcale nie usprawiedliwiał jego zachowania, zwłaszcza w obecności biednego paralityka. Poprosiłam go, by mówił nieco ciszej, zaprowadziłam do najdalszego kąta hallu i zapytałam:

— Pewno tylko udawali, że grają Haendla, a tymczasem coś kombinowali.

— Nie — zaprzeczył gwałtownie — Haendla dograli do końca. Mówię ci, fantastycznie.

— W takim razie kłapa.

— Poczekaj. Ja chcę mówić o szlagierowych wiadomościach, a ty wciąż mi przeszkadzasz.

— To mów!

147

bo ko-

_ Nie wiem tylko, od czego zacząć.

_ Wal od początku, tylko się nie zastanawiaj, nam z ciekawości!

Maciek swoim zwyczajem potarł nos dłonią, a potei podrapał się za uchem. .

_ Dziewiątka — zagadnął — o jakiej ty wspominałaś
teczce?

_ O niebieskiej, z jakimś napisem.

— Jest!

— Gdzie?

__ W pudle na wiolonczelę.

__ ? wiolonczela?

— Została u brodacza.

__ Niczego nie rozumiem.

Maciek westchnął. ?

— Ja też nie rozumiem, ale zaraz ci opowiem. Grali naprawdę bardzo pięknie. A potem brodacz podszedł do biurka, wyjął niebieską, plastikową teczkę...

— Widziałeś?

__ Przez lornetkę. Jak na dłoni!

— I był napis?

__ Był, ale napisu nie widziałem.

— I co dalej?

__ Wyjął teczkę, dał ją panu Kolance, a pan Kolanko wsadził teczkę do futerału i zamknął futerał.

_ To szlagier! — zawołałam, a Maciek dokończył: ! __ A potem pożegnali się. Pan Kolanko zostawił u brodacza wiolonczelę, a futerał z teczką zaniósł do siebie, do

baszty. . ,.

Chciałam rzucić się Maćkowi na szyję, ale przy paralityku nie wypadało. Mógłby się domyślić, że wykryliśmy coś niezwykle ważnego.

— Maciek! — zawołałam. — Jesteś wspaniały, genialny i tak dalej... Sam sobie dośpiewaj, jaki jesteś.

Maciek przez wrodzoną skromność nie dośpiewał. Jeszcze raz potarł łuszczący się nos i zapytał:

— Ciekaw jestem, co może być w tej teczce?

— Ba, gdybym wiedziała... W każdym razie coś bardzo ważnego, skoro pan Kolanko wiolonczelę zostawił w kącie, a teczkę wpakował do futerału, a Goguś dopytywał się o nią. Trzeba będzie sprawdzić.

— Co? — przeraził się Maciek.

— Właśnie to, co jest w tej teczce.

— Masz pomysły! Przecież teczka jest w futerale.

— Maciuś — roześmiałam się — jesteś naprawdę genialny, ale czasem masz ptasi rozumek! A kapelusz?

— Co kapelusz?

— Mamy przecież kapelusz, który dostałam od brodacza. Panu Kolance bardziej zależy na kapeluszu niż na teczce. Zaniesiemy mu kapelusz, a przy sposobności może nam się uda zajrzeć do futerału.

Maciek zatarł dłonie.

— Fantastyczny pomysł... tylko jak mu wytłumaczymy, że wiemy, gdzie mieszka?

— Nie martw się! Powiemy mu, że bawiliśmy się w Indian i wpadliśmy przypadkowo na jego trop.

TAKI DZIEN, MOŻNA ZWARIOWAĆ!

Do zabawy w Indian potrzebni są przynajmniej dwaj chłopcy. Jeden powinien być wodzem, a drugi czarownikiem. Obaj palą fajki i naradzają się, komu wydać wojnę. Wojownicy tymczasem czekają w lesie, kiedy zapalą się

na górach ogniska, znak, że należy wkroczyć na ścieżkę 1 wojenną.

Oprócz dwóch chłopców potrzebne są jeszcze pióropusze, j tomahawki i łuki, nie mówiąc o sokolim wzroku i mężnym i sercu. Mieliśmy wprowadzić sokoli wzrok i mężne serca, bra- i kowało nam tylko reszty.

Od czego jednak głowa na karku, a pod czaszką dobrze pracujący mózdzek. Resztę uzupełniłam w „Ustroniu”,! gdzie z ulgą zrzuciłam błękitną sukienkę i wpakowałam się w przyzwoite džinsy. Znaleźliśmy za szafą dwie zakopiańskie ciupagi. Z powodzeniem mogły zastąpić indiańskie tomahawki. Maciek na poczekaniu zrobił dwa wspaniałe łuki z leszczynowych wędek, a pióropusze?... Z pióropuszymi było najtrudniej. Maciek jednak wpadł na fantastyczny pomysł. Przypomniał sobie, że szczep Suanatocua, zamieszkujący Góry Skaliste, nie nosił pióropuszy, tylko wpinał we włosy po jednym orlim piórze. Wpięliśmy więc po jednym indyjskim piórze, zabrałam kapelusz i z okrzykiem „śmierć bladym twarzom!” poszliśmy na ulicę Pasieczną.

Teren ruin nadawał się znakomicie do zabawy w Indian. Nic więc dziwnego, że czuliśmy się jak prawdziwi czerwonoskórzy ze szczepu Suanatocua i czekaliśmy tylko, komu wypowiedzieć wojnę.

Wypowiedzieliśmy, oczywiście, panu Kolance. W cieniu baszty, tuż pod jego oknem, odtńczyliśmy wspaniałą taniec wojenny.

Na odgłos wojennych okrzyków — pan Kolanko wysunął łysą głowę.

— Kto tam tak hałasuje? — zawołał gniewnie.

— Szczep Suanatocua! — odkrzyknęłam. — Wydajemy wojnę bladym twarzom.

150

— To ty, Dziewiątko — zdumiał się wiolonczelista. — Błagam cię, idźcie trochę dalej, bo mi bębenki w uszach popękają.

— Milcz, tchórzliwy kojocie! — zawołałam. — Zaraz podpalimy stos i upieczemy cię żywcem.

— Nie żartuj! — odezwał się błagalny głos pana Ko-lanki. — Proszę cię, trochę ciszej, bo w radio jest koncert symfoniczny.

— Phi — zawołałam — nie przerazi nas dźwięk waszych trąb! Zedrzymy z twego łba skalp i rzucimy go na pożarcie psom.

— Dziewiątko — jęknął pan Kolanko — chodź lepiej do mnie na górę. Poczęstuję cię pysznym gotowanym bobem.

— Poddajesz się, nędzny cieniu?

— Poddaję.

151

— ?? świetnie, przygotuj fajkę pokoju i ucztę dla dwóch wojowników.

Pan Kolanko uniósł ręce błagalnym gestem.

— Już dobrze, dobrze... Chodźcie, bo nie mogę znieść tych krzyków.

— Udało się — szepnęłam Maćkowi do ucha. — Walimy na górę. Tylko nie otwieraj dzioba, bo wszystko sknocisz.

Maciek skrzywił się niemiłosiernie.

— Może ja zostanę jako ubezpieczenie.

— Boisz się?

— Trochę się boję, a trochę się nie boję.

— Ja też — powiedziałam otwarcie. — Ale co robić,

skoro zamówiłam ucztę dla dwóch wojowników.

— Ha, trudno — westchnął Maciek. W tej chwili nie

przypominał szlachetnego wojownika ze szczepu Suana-tocua, w ogóle nikogo nie przypominał, tylko trząsał się jak osika. Ja — przyznaję — też...

— Klucz jest pod wycieraczką — usłyszałam z góry

głos pana Kolanki.

Istotnie, był tam, gdzie być powinien — wielki, ciężki, staroświecki i wzbudzający respekt i strach.

— Może jednak udamy, żeśmy zbłądzili. — szepnął Maciek.

Nie miałam ochoty więcej udawać. Otworzyłam bramę pchnęłam ją z trudem i weszliśmy na palcach do siedzib widm i duchów,

— Boisz się? — szepnął drżącym głosem Maciek.

— Trochę.

— Ja też.

— To walimy dalej.

Dalej była wielka, kamienna sień z gotyckim sklepieniem, a z boku nisza, z której prowadziły wąskie, kamienne schody. Szliśmy w milczeniu, czekając, kiedy wreszcie zjawi się jakieś widmo lub upiór, ale prawdopodobnie na widma było jeszcze za wcześnie, bo nic się nie zjawiało. Dopiero na

pierwszym piętrze zjawił się w otwartych drzwiach pan Kolanko; rozjaśnił swą łysiną panujący wokół mrok.

Na widok mojej ciupagi, a zwłaszcza indyczego pióra drgnął i cofnął się do środka.

— Moje dziecko, co ty wyprawiasz? — zawołał i załamał ręce. — Iw ogóle po co ta maskarada?

— Nie widzi pan, że bawimy się w Indian? — odparłam i weszłam do izby.

Spodobało mi się to zabytkowe mieszkanie. Białe ściany, sklepiony w łuki sufit, podłoga z sosnowych desek, we wnęce małe okienko pełne kwiatów i zieleni, a na środku pan Walery Kolanko. W tej chwili wyobraziłam go sobie jako średniowiecznego zakonnika w klasztornej celi. Byłoby mu do twarzy w zgrzebnym habicie i świątobliwej łysince.

Oprócz pana Kolanki w izbie było jeszcze żelazne łóżko, szafa z prostych desek, stół i krzesło, a na stole elektryczna kuchenka i cały bukiet jarzyn. Domyśliłam się, że pan Kolanko jest jaroszem.

— Oto moja świątynia dumania — powiedział wiolonczelista.

— Bardzo mi się podoba — zauważyłam. — I jestem ciekawa, co pan wydumał w sprawie swego kapelusza?

Uśmiechnął się gorzko, niemal boleśnie, i swoim zwyczajem zdjął okulary.

153

— O, moja Dziewiątko, nawet mi o tym nie wspominaj. Nieszczęście... po prostu nieszczęście. Dałam ogłoszenie do gazety, ale właściwie straciłam już nadzieję.

— A ja nie — wtrąciłam i pokazałam mu kapelusz, który uprzednio trzymałam ukryty za sobą.

Jednym szarpnięciem wyrwał mi go z rąk. Potem podszedł do okna, założył okulary i zapytał:

— Gdzieś go znalazła?

— To zdobycz wojenna — zażartowałam.

Pan Kolanko w drżących dłoniach obracał kapelusz, naraz odwrócił go dnem do góry i odchylił skórzaną wkładkę. Zdawało mi się, że za chwilę podskoczy z radości i rzuci mi się na szyję. On tymczasem kręcił głową, szeptał coś] do siebie, a potem zdecydowanym ruchem podał mi kapelusz.

— Nie, to nie jest mój!

Zrobiło mi się bardzo żal pana Kolanki. W jednej chwili wszystko mu przebaczyłam.

— Może jednak... — wyszeptałam. — Może pan jednak lepiej obejrzy.

— Nie — powiedział stanowczo. — Dziękuję ci bardzo za pamięć, ale mój kapelusz był inny.

— Niech pan się nie martwi. Postaram się... może jednak uda mi się odnaleźć tamten, prawdziwy...

— Chciałam jeszcze powiedzieć kilka słów na pocieszenie, lecz w tej chwili na dole rozległ się dobrze mi znany głos:

— Panie Walery, panie Walery, jest pan w domu? Ruszyliśmy oboje do okna. Na dole stał rudowłosy profesor. Zadzierał głowę do góry i wołał zdyszany:

— Niech pan zejdzie! Mam do pana ważną sprawę. Pan Kolanko w jednej chwili zapomniał o wszystkim

i zbiegł szybko na dół.

154

— Wal za nim — szepnęłam do Maćka — i nie spuszczaaj ich z oka.

Maciek zniknął w mrocznej czeluści schodów. Zostałam sama. Było zupełnie cicho. Na kuchence dochodził bób, na stole leżały kalafiory, a w kącie pod oknem stał czarny futerał na wiolonczelę. Wyglądał groźnie i tajemniczo.

Coś mnie ogarnęło, prawdopodobnie jeszcze większy strach, który zwykł w takich momentach ogarniać człowieka. Zdawało mi się, że ktoś przykleił mnie do podłogi i nie mogę się ruszyć.

Nareszcie przemogłam strach, podeszłam do futerału. Odnalazłam klamerkę zameczka, odsunęłam ją wolno, otworzyłam futerał. Zamiast wiolonczeli w futerale leżała spora, pękata teczka z plastyku. Schyliłam się, by przyjrzeć się jej lepiej. Na okładce teczki ujrzałam przypiętą kartkę, a na kartce było wypisane drukowanymi literami: KAPELUSZ PEŁEN DESZCZU.

Pociemniało mi w oczach. Przez moment nic nie widziałam. Potem jednak zobaczyłam w wyobraźni posklejane strzępki depeszy, którą Goguś podarł przed pocztą, a na depeszy zagadkowe zdanie: „Spe... za... na... siódmego bm kapelusz pełen deszczu”.

Tam był „kapelusz pełen deszczu” w depeszy, tutaj na teczce. Dlaczego? Co ma jedno wspólnego z drugim? — cisnęły się natrętne pytania. Klęczałam przed otwartym futerałem, zdawało mi się, że śnię.

. Postanowiłam zajrzeć do teczki. Na samym wierzchu była kartka z tajemniczymi symbolami chemicznymi ułożonymi we wzorzysty łańcuszek. Zapewne ta sama, którą podniosłam spod fotela w domu brodacza! A więc wynik długoletniej pracy, grudka złota wydobyta z góry piasku — jak to ładnie określił sam brodacz.

155

Patrzyłam na karteczkę jak urzeczona, a w głowie miałam groch z kapustą.

Naraz na schodach usłyszałam czyjeś kroki. Zamknęłam w popłochu teczkę i zatrzasnęłam futerał.

Ledwo zdążyłam to zrobić, w drzwiach ukazała się zasępiona twarz pana Kolanki.

— Taki dzień! — zawołał — można zwariować! Przepraszam cię, moje dziecko, ale niestety nie będę mógł zaprosić cię na bób. Muszę iść z profesorem.

— A co się stało?

— Można zwariować — powtórzył. Wypchnął mnie za drzwi, zatrzasnął je i chciał zamykać. Wtedy zupełnie skromnie wtrąciłam, że baszta jest historycznym zabytkiem, a zostawienie bobu na kuchence elektrycznej grozi pożarem.

Pan Kolanko złapał się za głowę.

— Taki zwariowany dzień! — zawołał, a potem wbiegł do izby i wyłączył kuchenkę. A mnie zrobiło się trochę smutno, bo bardzo lubiłam gotowany bób.

CO ZA KOMPROMITACJA!

Na dole czekał już na mnie Maciek.

— Mówię ci, nowa draka — wyszeptał z ogromnym przejęciem. — Ktoś zakradł się do domu profesora.

— Kto? — zdębiałam.

— Profesor sam nie wie. Podejrzewa jednak kogoś, bo idą z wiolonczelistą na milicję.

— Kogo podejrzewa?

— Nie mam pojęcia. Rozmawiali cicho, więc nie słyszałem.

156

—¹ To nie mogłeś podejść bliżej?

— Szkoda, żeś ty nie zeszła.

— Nie kłóćmy się.

— Kto się kłóci?

— No, ty.

— Wiesz, ty zawsze jesteś taka...

Naraz w bramie zjawił się pan Kolanko i nie mieliśmy czasu na kłótnie.

Profesor z wiolonczelistą ruszyli z kopyta. A my za nimi w przyzwoitej odległości. Nietrudno było ich śledzić. Zajęci zapewne własnymi myślami, na nic nie zważali, tylko pruli wprost na posterunek MO.

Posterunek milicji znajdował się na ulicy Bursztynowej. Profesor z panem Kolanko wtargnęli do środka i powiedzieli, co mieli powiedzieć, a czego myśmy, niestety, nie usłyszeli.

Zaraz pan sierżant przepasał się pasem, przerzucił przez ramię torbę, przypiął pałkę i przybrał służbowy wyraz twarzy. A potem wszyscy trzej wyszli bardzo urzędowo.

— Dokąd oni mają zamiar iść? — zapytał Maciek, kiedy ruszyliśmy za nimi.

— Milicja nigdy nie idzie, tylko udaje się służbowo — odparłam.

— Czy to nie wszystko jedno?

— Nie, bo gdyby szła, to nikt by się jej nie bał.

— Śmieszne! — nadąsał się Maciek. — Więc dokąd się udaje?

— Nie wiem, ale zaraz się przekonamy.

Myślałam, że udadzą się do pustelni brodacza albo do zabytkowych ruin, tymczasem wkrótce przekonaliśmy się, że walą prosto do hotelu „Pod Trzema Żaglami”.

157

— A to heca! — powiedziałałam. — Ciekawa jestem, ???? tam zahaczą?

Cała trójka z sierżantem na czele weszła do hallu, a do- "1 tern skierowała się prosto do portierni.

— Czy jest ten pan spod trzydziestki dziewiątki? — zapytał wiolonczelista.

„O! — pomyślałam. — Szukają Gogusia”. Portier, widząc przed sobą władzę, uśmiechnął się uprzejmie.

— Szukacie, panowie, pana inżyniera Kardasiewicza? — zapytał, spoglądając na tablicę z kluczami.
— Niestety, nie ma go pod numerem.

Pan Kolanko zbladł, a potem trzepnął się w udo i do profesora:

— A mówiłem panu, że to on.

— Chwileczkę — przerwał mu milicjant — najpierw musimy sprawdzić.

— Co sprawdzić? — zachnął się brodacz. — Przecież, widzi pan, nie ma go w hotelu.

— Chwileczkę — odparł spokojnie sierżant — czy pan jest pewny...

Profesor szarpnął rudą brodę.

— Już go raz widziałem pod moim domem. Nie mam pojęcia, czego tam szukał.

W tej chwili do portierni zbliżył się odźwierny. Błysnął złotem guzików i powiedział:

— Jeżeli się nie mylę, pan inżynier jest w sali klu- , bowej.

Goguś, czyli pan inżynier Kardasiewicz, siedział przy stoliku, udawał, że o niczym nie wie, i licytował, a w zębach trzymał nieodłączną fajeczkę. Jednym słowem, bim-bał sobie z trzech panów, którzy właśnie wtargnęli do sali

158

klubowej. Nawet nie raczył spojrzeć na nich. Mama zrobiła wielkie oczy, panie odłożyły karty, a on, jakby nigdy nic, powiedział: A" !

— Dwa kiery.

Dopiero gdy milicjant zapytał, czy jest tym, kim jest, raczył wyjąć fajkę z ust i uśmiechnąć się wytwornie.

— Jestem inżynier Kardasiewicz. Czego sobie pan życzy?

Wtedy wspaniały brodacz wystąpił z pełną powagą swej profesorskiej osoby i wyjaśnił, czego sobie życzy.

Po wyjściu pana Kolanki z jego domu poszedł na brzeg morza, zostawiając przez nieuwagę otwarte okno, a gdy wrócił po upływie piętnastu minut — nie więcej, broń Boże — otworzył drzwi i wszedł do sieni, ktoś wyskoczył przez okno. Nie zdążył go wprawdzie złapać — dałby mu wtedy łupnia, ho! ho! — ale widział jego sylwetkę i jest przekonany, że właścicielem tej sylwetki był nie kto inny, tylko pan inżynier Kardasiewicz.

Goguś wysłuchiwał profesora z należytą uwagą. Nie skrzywił się, nie uczynił nawet jednego gestu, tylko obracał w palcach fajeczkę i uśmiechał się najwytworniej w świecie.

— Przepraszam pana — powiedział wreszcie — ale to chyba jakaś śmieszna pomyłka. Od obiadu gram tutaj w brydża. Te panie mogą poświadczyć.

Pierwsza poświadczyła, oczywiście, moja mama. Wszystko się zgadza. Pan inżynier od obiadu gra w brydża. Zdążył nawet wylicytować dwa szlemiki, a raz leżeć bez pięciu.

Sierżant zachował się jak dżentelmen. Spojrzał tylko na profesora i zapytał:

— I co pan na to?

Profesor zaniemówił, a gdy odzyskał mowę, wybuchnął:

— Ktoś tu z kogoś robi wariata!

— Właśnie — wtrącił Goguś.

— Dałbym głowę, że widziałem tego pana. Zresztą nie po raz pierwszy. Już raz spotkałem go pod moim domem...

— Zgadza się — przerwał mu dyskretnie Goguś. —

Obejrzałem dom, bo mi się bardzo podobał.

— Czy tylko dom? — wtrącił kpiąco pan Kolanko.

— Chwileczkę — powiedział służbowo milicjant. — Są

tu trzy panie, które twierdzą, że pan Kardasiewicz grał z nimi w brydża, a panowie upierają się przy swoim. — Naraz zwrócił się do brodacza: — Czy panu coś zginęło

z domu?

— Do tej pory nie stwierdziłem, ale nie mogę pozwolić

na to, żeby mi ktoś wchodził bez pytania do domu, i do tego przez okno.

— Oczywiście, panie profesorze — powiedział sierżant — to pana obywatelskie prawo. Jednak, jeżeli pan bezpodstawnie posądza tego pana...

— Bezpodstawnie? — zawołał oburzony pan Kolanko. — Przepraszam, a kto zamienił mój kapelusz?

Zamieniłam się cała w słuch, jeżeli w słuch można się zamienić, bo oto śledztwo wchodziło na nowe tory, które mnie jeszcze bardziej interesowały. Ale skąd to nieoczekiwane pytanie? Przed południem pan Kolanko zrobił ze mnie pięknego balonika, dał z siebie wystrugać pięknego wariatuńcia, a teraz nagle mu się przypomniało! , — Jaki kapelusz? — zapytał sierżant.

> — Właśnie — wtrącił mimochodem Goguś. — Przecież rano wyjaśniłem już panu...

— To było rano — przerwał mu wiolonczelista. — Od rana wiele się zmieniło. Teraz już wiem na pewno, że to

pan zamienił. Nie wyprze się pan tak łatwo. Widziała pana ta dziewczynka...

Struchlałam, nogi ugięły się pode mną. Ale cóż miałam robić, skoro wzywali mnie na świadka. Wystąpiłam więc naprzód. Patrzyli na mnie, jakbym wyrosła spod ziemi. A najbardziej zdziwiła się mama.

— Krysiu — załamano rękę — przecież tak cię prosiłam, żebyś nie mieszała się w sprawy dorosłych.

— O, właśnie — podjął skwapliwie Goguś — chciałem nawet pani powiedzieć, że to miłe stworzenie ma zbyt bujną wyobraźnię.

— To pana wymysł — przerwał mu pan Kolanko.

— Spokojnie, panowie! Spokojnie — powiedział milicjant. — Ja z tego nic nie rozumiem. Proszę mówić po kolei.

Powiedziałam więc jak na lekcji:

— To prawda, widziałam w sobotę przed południem, jak ten pan zamienił kapelusz w kawiarni „Jantar”.

— Śmieszne — wtrącił Goguś. Uderzając fajeczką o dłoń, zwrócił się do sierżanta: — Zaraz panu wyjaśnię. Nie mogłem zamienić kapelusza, bo w sobotę przed obiadem nie byłem w „Jantarze”.

— Był pan! — zawołałam, bo nie mogłam znieść jego kłamstw.

Mama znowu załamano rękę.

— Krysiu, na litość boską, skoro pan inżynier twierdzi, że nie był w „Jantarze”...

— Był! Był! — tupnęłam z wściekłością.

— O, proszę — Goguś uśmiechnął się niemal szatańsko — nawet jej matka ma wyrobione o niej zdanie.

— Przepraszam — wtrąciła mama — moja Krysiu rzeczywiście potrafi czasem fantazjować.

4 Kapelusz ?? 100 tysięcy

161

— To nie fantazja! To prawda! — krzyknęłam. Byłam bliska płaczu, lecz nie zapłakałam, bo przecież nie wypa.ł dało. Co by o mnie pomyśleli? Trzęsłam się tylko ze złości i targałam rękaw swetra. ?

Mama ujęła mnie za rękę. ^B

— Uspokój się, moja kochana! To przecież nie dla ciebie... Nie dla ciebie, Krysiu. - I nagle zwróciła

się do pana Kolanki: — Dziwię się bardzo, że miesza pan w swoje sprawy takie dziecko.

Pan Kolanko otworzył usta, by coś powiedzieć, ale me zdążył, bo mama wzięła mnie za rękę i jak owieczkę pociągnęła do hallu.

Co'za kompromitacja! Mnie, Dziewiątkę, szefa gangu

z Saskiej Kępy!

Wtorek

NA PLAŻY

We wtorek nic się chwilowo nie działo, bo miałam nie mieszać się w sprawy ludzi dorosłych. Tak uchwaliła rada rodzinna wczoraj przy kolacji. Mama zdenerwowała się, tata się zdenerwował, Jacek też, bo Jacek zawsze robił to samo, co tata. A ja miałam być rozsądna i słuchać, jak trawa rośnie.

Ponieważ była piękna pogoda, poszliśmy wszyscy na plażę. „Żeby się nam chociaż częściowo zwróciły koszty pobytu”. Tak przynajmniej mówił tata. Bo podobno najcenniejsze jest zdrowie. Wdychaliśmy wszyscy nasycone jodem powietrze; nasze migdałki uodporniały się na wszelkie bakterie, a nasze płuca wchłaniały na zapas tlen i ozon, których było w powietrzu ileś tam procent.

Tata z Jackiem budowali wielki zamek z piasku, mama z panią doktorową z Rzeszowa opalały sobie plecy i raczyły się najświeższymi ploteczkami, a ja nie mogłam znaleźć sobie miejsca, więc poszłam kąpać się do morza.

Gdy tylko odpłynęłam od brzegu, wydało mi się, że natrafiłam na urwaną podczas sztormu boję. Wnet jednak spostrzegłam, że to wcale nie boja, tylko głowa mojego dobrego znajomego, pana Kolanki.

Na mój widok podpłynął bliżej i zawołał:

:— Bezczelny!

163

— Przepraszam, kto? — zapytałam.

— Ten inżynier Kardasiewicz czy jak on się tam nazywa. Wyobraź sobie, Dziewiątko, powiedział, że ja sprawę zamiany kapelusza wyssałem z palca.

— Bezczelny — powtórzyłam. — Już drugi raz wystrychnął nas na dudków. Ciekawa jestem, jak się zakończyła awantura w hotelu?

— Ho! — prychnął pan Kolanko jak wieloryb. — Ta sprawa dopiero się zaczęła. Nie znasz mnie jeszcze. Trochę mnie co prawda замуrowało, ale nie pozwolę robić z siebie

balona!

— To jasne — przytaknęłam.

— Bezczelny! — pieniał się ze złości. — Zarzucił mi, że go oczerniam i bez powodu sprowadzam mu na kark milicję.

— A co z kapeluszem?

— Właśnie. Chciałem cię serdecznie przeprosić za to ranne zdarzenie. Teraz już jestem pewny, że widziałaś, gdy zamieniał mój kapelusz.

— Rychło w czas! — rzuciłam z przekąsem.

— Wybacz, Dziewiątko, byłem tak wzburzony, a ty plotłaś takie niestworzone rzeczy, że uwierzyłem temu oszustowi. Ale teraz on mnie popamięta!

— Popamięta! — powtórzyłam, myśląc naturalnie o sobie i o Maćku.

— Iw ogóle przeliczył się — powiedział pan Kolanko przewracając się w wodzie na grzbiet.

Teraz nad powierzchnią wody pływały już dwie boje: głowa i okrągłutki brzusek. I było wesoło. My sobie pływamy, mówimy o tajemniczych sprawach, wokół nas morze; łagodna fala unosi nas jak dwa korki, a nad nami czyste niebo i słońce.

164

|
|

— To jeszcze nie wszystko — rzekł po chwili pan Kolanko. — On nie tylko zamienił mój kapelusz, ale jeszcze potem świsnął z wieszaka ten, który tam został.

— Niemożliwe!

— To pewne — powiedział. — Sprawdziłem. Myśli, że trafił na naiwnego. Przeliczył się, moja droga.

' — Jak pan sprawdził?

— Mam swój sposób. Po prostu pod wkładkę tamtego drugiego kapelusza wsadziłem stary bilet tramwajowy. On, oczywiście, niczego się nie domyślał i zdjął kapelusz z biletem. A potem, gdy ty odeszłaś, pokazywał mi go na górze. Bądź spokojna, zajrzałem do środka i zobaczyłem ten bilet.

— Więc dlaczego pan mu tego nie powiedział?

— Nie ma głupich! Mnie przecież chodzi o mój kape-

165

lusz, a nie jego. Przyjdzie czas, że mu wszystko wygarnę, a wtedy popamięta mnie do śmierci! ^^"

— Do śmierci — powtórzyłam z przejęciem. — Jednakż dziwi mnie, że dzisiaj wtorek, jutro środa, a pan, zamiast szukać kapelusza, pływa, gra na wiolonczeli albo gotuje' bób.

Pan Kolanko mlasnął rozkosznie.

— Bób, mówię ci, Dziewiątko, był boski. Szkoda, że nie mogłem cię zaprosić.

— Szkoda... I wczorajsz koncert był podobno bardzo piękny.

— Cóż robić — powiedział jakby do siebie — jeżeli

człowiekowi wali się wszystko na głowę, to szuka ratunku w muzyce.

— Nie rozumiem — wtrąciłam podchwytliwie — tu

chodzi o sto tysięcy, a pan szuka spokoju.

— Pieniądze to jeszcze nie wszystko, moja Dziewiątko. To jeszcze nie wszystko... ^^

— Są rzeczy ważniejsze — podeszłam go chytrze — na przykład niebieska teczka... |i

Pan Kolanko przestał poruszać rękami i gdyby nie jego tusza, na pewno poszedłby na dno.

— Jaka teczka? — zawołał pryskając morską wodą.

— Pan dobrze wie jaka!

— Co ci wpadło do głowy?

— Nic mi nie wpadło, tylko pewien osobnik dopytywał się o niebieską teczkę z jakimś napisem.

— Kto?

— Właśnie pan inżynier Kardasiewicz.

Gdyby w tej chwili podpłynął żarłoczny rekin, nie zrobiłby na panu Kolance takiego wrażenia, jak moja krótka

Informacja. Wiolonczelista przestał pływać, rozdziawił usta i wlepił we mnie oczy.

— Kardasiewicz! — zawołał. — Dobrze, żeś mi powiedziała. Już jestem teraz pewny...

Nigdy nie dowiedziałam się, czego był w tej chwili pewny, bo zapomniał nagle o moim istnieniu. Zagarnął wodę ramionami i jak torpeda popłynął do brzegu.

Chciałam go zatrzymać, ale właśnie mama przypomniła sobie, co jej tato powiedział. A tato rano powiedział, że ma mnie mieć na oku.

PROSZĘ NIE ZAŁAMYWAĆ SIĘ

W tym dniu byłam na plaży i nałykałam się jodu za wszystkie czasy.

Bo tata wymyślił tortury... Powiedział, że najzdrowszym sposobem odpoczynania jest relaks i bez relaksu nie ma nowoczesnego człowieka. Kazał nam wszystkim położyć się w cieniu na kocach, wyprostować nogi, ręce ułożyć wzdłuż ciała i zamknąć oczy. Ale to jeszcze nie wszystko. Kazał nam jeszcze powtarzać w myśli: „Nie ma mnie, nie ma mnie, nie ma mnie”, żeby zapaść w zupełne odrętwienie i żeby udał się relaks.

Relaks nie chwycił. Miało mnie nie być, a tymczasem byłam podwójnie: na kocu, w urzekającym cieniu żywicznej sosny, a jednocześnie jeszcze w stu innych miejscach. W zabytkowej wieży, w tajemniczym domu brodacza, w hotelu pod trzydziestym dziewiątym, w domu ogrodnika i na lodach w „Jantarze”. A wszędzie widziałam jasnobezowy kapelusz z popeliny i wielki znak zapytania.

Nagle wybuchnęła nowa bomba. Za płotem, na chodni-

167

ku, zobaczyłam coś, co wyglądało na dynię, która skacze po sztachetach. Nie była to jednak dynia, tylko głowa 1 dobrze mi znanego wiolonczelisty.

Pan Kolanko szukał kogoś. Po chwili okazało się, że chodzi o mnie. Podeszłam więc cichaczem do płotu.

Na mój widok wiolonczelista przetarł okulary.

— Słuchaj, Dziewiątko — zawołał — gdzie jest kapelusz?

— Ciekawe — odparłam z przekąsem — raz prosi pan, żebym się nim nie zajmowała, a potem chce pan, żebym wiedziała.

Pan Kolanko był bardzo zdenerwowany. Ręce latały mu, jakby nie należały do niego, a na jego twarzy — jak to się pisze — malowało się przygnębienie.

— Opamiętaj się! — jęknął żałośnie. — Tu chodzi o olbrzymią sumę. Powiedz, gdzie podziłaś ten kapelusz?

— Ja? — zdumiałam się. — Przecież ja panu nie zamieniłam kapelusza.

Uniósł ręce do góry ruchem wyrażającym skrajną rozpacz.

— Zlituj się nade mną! Mnie nie chodzi o ten kapelusz, o którym ty myślisz, tylko o ten, który wczoraj przyniosłaś mi do domu.

— AaaL. — zawołałam. — O ten stary?

— Właśnie, gdzie on jest?

Zabił mi porządnego ćwieka. Szukałam w pamięci, gdzie mógłby być ten kapelusz, ale, niestety, po relaksie nie mogłam sobie przypomnieć.

— Jak babcię kocham, nie pamiętam. Chyba zostawiłam go u pana w pokoju.

— U mnie go nie ma.

— To powinien być gdzie indziej.

168

— Nie żartuj, bo mi ręce opadają. Przecież miałaś go ze sobą. Przypomnij sobie dokładnie.

— Przypominam sobie, że przyniosłam go do pana...

— A potem?

— Potem to już sobie nic nie przypominam, bo przyszedł ten brodacz i zapomniałam o kapeluszu...

— Zaraz, zaraz... — pan Kolanko tarł czoło. — Zaraz... przypominam sobie, podałaś mi kapelusz, ja go obejrzałem i zwróciłem. A potem rzeczywiście przyszedł profesor i zawołał mnie... — Spojrzał na mnie badawczo. — Dziewiątko, a ty przez ten czas co robiłaś?

Masz babo placek! Co robiłam? Oczywiście zaglądałam do futerału i do tajemniczej teczki, ale czy mogłam teraz przyznać się do tego? Jeszcze by pomyślał, że jestem źle wychowana...

— Doglądałam bobu, żeby się nie przypalił — odrzekłam.

— A kapelusz?

— Kapelusz leżał tam, gdzie go zostawiłam.

— Czy jesteś pewna, że go nie zabrałaś wychodząc ode mnie?

— Nie.

— W takim razie jestem zgubiony.

— Ale dlaczego? Przecież pan powiedział, że to nie pana kapelusz.

— Jestem zgubiony — powtórzył. — Słuchaj, czy dobrze obejrzałaś ten kapelusz?

— Jeszcze jak!

— Czy pod skórzaną podkładką nie zauważyłaś małej, złożonej karteczki?

— Nie.

— Jesteś pewna?

169

— Jak tu stoję.

Pan Kolanko z rezygnacją opuścił ręce. '

— Dlaczego — wyszeptał — nie powiedziałaś mi, że dostałaś ten kapelusz od profesora?

— Czy ja wiedziałam, że to takie ważne? Przecież pan nie mówił nawet, co jest w kapeluszu i dlaczego z dnia na dzień stał się taki bezcenny?

— Może to moja wina — szepnął jakby do siebie.

— Czy pan myśli, że to był właśnie ten za sto tysięcy?

— Nie jestem pewny, ale... Tak mi się zdaje.

— I pan go nie poznał?

— Coś mnie otumanilo. Wydał mi się za stary i zbyt zniszczony. Dopiero dzisiaj profesor otworzył mi oczy.

— Właśnie — podchwyciłam — skąd pana kapelusz znalazł się u profesora?

— Przypadek, moja droga, ślepy przypadek. Profesor znalazł go na plaży. Widocznie ktoś rzucił go do morza, a morze wyrzuciło go na brzeg. Nic więc dziwnego, że zmienił się i zdefasonował.

— A po co profesorowi był taki kapelusz?

— Ba, czy ja wiem? Mówił mi dzisiaj, że lubi zbierać na brzegu wyrzucone rzeczy. Podobno przynoszą mu szczęście. Każdy ma swojego bzika i każdy jest trochę dziwakiem.

— Jeżeli kapelusz miał mu przynieść szczęście, to dlaczego oddał mi go?

Pan Kolanko spojrzał na mnie pogodniej.

— Spodobałaś mu się, moja droga. Przypominasz mu wnuczkę, którą bardzo kocha. Powiedział, że lubi takie zwariowane dziewczyny.

— Nawet nie wspomniał, że wyłowił ten kapelusz z morza... I czy to był właśnie ten kapelusz?

— Niestety, wszystko na to wskazuje, że to był właśnie ten.

— Skąd pan wie?

— Bo miał pod otokiem wkładkę z gazety.

W tym miejscu powinnam była wydać okrzyk zdumienia, ale nie wydałam, bo mnie zupełnie zamurowało. Oto prawdziwy pech! Mieliśmy w ręku kapelusz za sto tysięcy!

A teraz mamy figę z makiem.

— Ja nie widziałam tej wkładki — rzekłam po chwili.

— Ale profesor ją widział. Wyrzucił jednak, bo kapelusz był dla niego za mały.

— A karteczkę?

— Karteczki, twierdzi, nie widział. Mógł ją wyrzucić razem z gazetą.

— To ci los! — westchnęłam.

— Niestety! — jęknął wiolonczelista. — A do tego nie ma kapelusza.

— Do czego panu kapelusz, skoro nie było w nim karteczki?

— To nie jest pewne. Mogła być, bo-pamiętam, że wsunąłem ją bardzo głęboko.

— A dlaczego pan ją ukrywał w kapeluszu?

— Od dawna miałem taki zwyczaj.

— Iw ogóle co to była za karteczka?

Pan Kolanko spojrzał na mnie przez grube szkła, jak gdyby dopiero teraz mnie spostrzegł.

— Już ci ,mówiłem, że do środy nie mogę ci tego wyjaśnić.

— Niewiele czasu panu zostało — rzuciłam z przekąsem. Pan Kolanko uniósł dłoń do czoła, zamyślił się głęboko.

— Tak. Dziewiątko, niewiele zostało mi czasu, a do tego ktoś wyniósł kapelusz z mojego mieszkania. Byłem

|

tak zaskoczony przybyciem profesora, że zapomniałem wte- ; dy zamknąć drzwi.

— A teczka? — zawołałam.

W tym miejscu pan Kolanko naprawdę zbladł i gdyby miał włosy, na pewno zjeżyłyby mu się na głowie.

— Teczka? — wykrztusił. — Co ty wiesz o teczce?

—¹ Bardzo pana przepraszam, ale wtedy... ja... nie tylko pilnowałam bobu. Tak. się złożyło, że zajrzałam przypadkowo do futerału, bo... bo chciałam zobaczyć, jak wygląda wiolonczela.

Pan Kolanko opuścił głowę.

— Teczki na szczęście nie zabrali, tylko kapelusz. — Naraz wyprostował się i z całej siły trzepnął się w udo. — Ale komu mogło zależeć na tym kapeluszu, przecież... — urwał nagle i ruchem rezygnacji rozłożył ręce.

— Przecież — dokończyłam za niego — krzychał pan na całą kawiarnię, że stracił pan fortunę.

Spojrzał na mnie błędnymi oczami. —¹ Tak krzychałem?

— Może jeszcze gorzej... Narobił pan szumu i niepotrzebnie wywieszał pan kartkę. A teraz pluje sobie pan w brodę i dziwi się...

— Tak — westchnął i znowu wyglądał jak człowiek kompletnie załamany. — Tak, moja droga Dziewiątko, dlatego powtarzam, że jestem zgubiony.

Żał było patrzeć na niego. Przedstawiał bowiem obraz nędzy i rozpaczy.

— Jeszcze nic nie jest stracone — powiedziałam. — Proszę się nie załamywać, bo to panu nie pomoże, i nie rozpaczać. Postaram się odnaleźć panu ten kapelusz. Może mi pan. powie, kogo pan posądza...

172

— Tego łotra Kardasiewicza, oczywiście! — ożywił się nagle pan Kolanko.

— Przecież pan Kardasiewicz grał wtedy w brydża. — To nie wiadomo. Profesor przysięga, że to on zakradł

się do jego mieszkania.

— Nie ma cudów! Jeżeli pan Kardasiewicz licytował szlemika, to nie mógł zakraść się do mieszkania ani zdmuchnąć panu kapelusza.

— A może ten biedaczyna, ten sparaliżowany, który mieszka w baszcie na parterze?

— O, proszę, jest już pan bliżej. Jednak to nie był on, bo on w tym czasie przebywał również w hotelu. Widziałam go w hallu.

— Kto w takim razie?

— O to samo chciałam pana zapytać. Czy pan widział wytworną panią, która przychodziła do tego kaleki?

Pan Kolanko plasnął się dłonią w czoło.

— Oczywiście! Że mi też do głowy nie przyszło. Widziałem ją, jak po południu wchodziła do baszty. Myślałem, że przyszła zaopiekować się tym biednym nieszczęśnikiem.

— Biedny, nieszczęśliwy... — skinęłam głową. — Życzę panu, żeby pan umiał tak skakać, jak on.

— Co ty wygadujesz?

— Wcale nie wygaduję, tylko widziałam na własne oczy. Jak chciał się dostać do mieszkania profesora.

— A ja myślałem, że to najnieszczęśliwszy człowiek na świecie...

— Nie trzeba myśleć, tylko trzeba mieć głowę na karku — powiedziałam energicznie. — Jestem pewna, że kapelusz wyniosła pani Monika. Proszę się więc nie denerwować, a ja postaram się przynieść panu kapelusz.

173

Pan Kolanko rozpromienił się. Wyciągnął ku mnie ręce i » gdyby nie sztachety, na pewno przygarnąłby mnie do siebie jak własną córkę.

— Ja cię chyba ozłocę!

— Dziękuję — odparłam z godnością. — Jestem szła-chętnym detektywem amatorem i nie żądam zapłaty. Musi pan jednak pokryć pewne niezbędne koszty. Mianowicie kupić trzy piękne, pąsowe róże. Za pół godziny czekam na pana pod hotelem.

LIST DO PANI MONIKI

Przyznaję, że zagalopowałam się; miałam być za pół godziny pod hotelem, a tymczasem tata zarządził nowe tortury rodzinne. Powiedział kategorycznie, że wszyscy pójdziemy na spacer pod latarnię morską. Latarnia jest ponoć najstarszą latarnią na naszym Wybrzeżu i byłoby wielkim wstydem, gdybyśmy jej wspólnie nie zwiedzili.

Na szczęście w samą porę zjawił się Maciek. Przedstawiłam go jako znakomitego ornitologa, a on tak zajmująco opowiadał o życiu i zwyczajach perkozów, że tatę ogarnął zachwyt.

— O, proszę — powiedział — nareszcie Krysia znalazła sobie odpowiednie towarzystwo.

A mama dodała:

— Dobrze by było, gdyby trochę poznała życie perkozów. To jej się przyda do lekcji biologii w szóstej klasie.

W ten sposób pocziwe perkozy uratowały mój honor detektywa.

Poszliśmy z Maćkiem pod hotel. Po drodze opowiedziałam mu o tym wszystkim, o czym powinnam mu była opo-

174

siedzieć wczoraj, i o tym, co się zdarzyło dzisiaj. Myślałam, że go olśnie, oczaruję, oszołomię, a on tymczasem wydał wargi i mruknął:

— Spodziewałem się, że tak będzie.

— Masz babo placek! Jak mogłeś się spodziewać, skoro oglądałeś na jeziorze perkozy.

— Babcia mi powiedziała.

— Przecież babcia o niczym nie wie.

— Właśnie — prychnął — niby nie wie, a wszystko wykombinuje. Powiedziała na przykład, że ten kapelusz profesor znalazł nad morzem.

— Genialna! — zaśmiałam się. — Może wie, kto go teraz znalazł?

— Prawdopodobnie wie, bo babcia przeczytała ponad sto powieści detektywistycznych i dobrze się orientuje...

Mów tu z takim! Chciałam mu powiedzieć coś uszczypliwego, lecz nie zdążyłam, bo byliśmy już pod hotelem, a tam czekał na nas pan Kolanko z trzema pąsowymi różami w ręku. Wyglądał trochę jak średniowieczny trubadur, któremu ze zmartwień wypadły wszystkie włosy.

— Czy ma pan papier listowy? — spytałam.

— Po co ci papier listowy?

— Papier jest najważniejszy, ważniejszy nawet od róż. Musi pan napisać list miłosny do pani Moniki.

— Ja, list miłosny? Dziewiątko, zlituj się nade mną! Nigdy jeszcze nie pisałem listu miłosnego.

— Nie szkodzi, to ja panu podyktuję.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że pąsowe róże można posłać tylko z listem miłosnym. Inaczej nie chwyci.

— Iw ogóle po co ta cała komedia? Rozgniewał mnie do tego stopnia, że zawołałam:

175

— Czy pan chce odzyskać kapelusz?

— Po to tu przyszedłem.

— To musi pan napisać list, a ja zaniosę list razem z różami i rozejrzę się, gdzie może być kapelusz.

Pan Kolanko przejechał dłonią po lśniącej od potu łysinie.

— Ty zawsze masz zwariowane pomysły — mruknął. — Ale trudno, jeżeli chcesz, to napiszę. — Wyjął z portfela papier listowy, odnalazł w kieszeni długopis, usiedliśmy na tarasie przy stoliku, a ja podyktowałam:

„Piękna Nieznajoma. Jestem Panią oczarowany. Od chwili gdy Panią ujrzałem, nie mogę spokojnie zasnąć. Marzę o Pani i jako zadatek uwielbienia posyłam trzy pąsowe róże. Czekam na Panią o szóstej w kawiarni »Jantar«. Usycham z tęsknoty”.

— Przepraszam cię, Dziewiątko — wtrącił pan Kolanko — czy musi być: „Usycham z tęsknoty”?

— Musi! — odparłam. — Bo kobiety to lubią...

— Niech będzie — skinął z rezygnacją ręką.

Pan Kolanko z Maćkiem zostali na tarasie, a ja z duszą na ramieniu i z kwiatami w ręku weszłam do hallu. Walnęłam się prosto do portierni i zapytałam, czy pani Monika Płoszańska jest u siebie na górze. Na szczęście była.

Nie wiem, jak znalazłam się na drugim piętrze, a potem pod jej drzwiami, bo wciąż miałam duszę na ramieniu. Nie wiem nawet, czy zapukałam, czy weszłam bez pukania. W każdym razie stanęłam w pokoju pani Moniki i znowu poczułam się jak w kinie.

Pani Monika leżała na łóżku, niby księżna Monaco. Miała na sobie lekki, jedwabny szlafrok, a na twarzy maseczkę ziołową firmy „Herbapol”. Poznałam od razu po opakowaniu. Nie wiedziałam jedynie, czy były to ogórki, rumia-

176

nek, skrzyp czy też czarne porzeczki. W każdym razie coś w tym rodzaju, bo od maseczki rozchodził się ziołowy zapach.

— Kto tam? — zapytała pani Monika nie otwierając oczu.

— To ja, Dziewiątka, jeśli sobie pani przypomina. Przyniosłam pani kwiaty.

— O! — zdziwiła się. — Myślałam, że pokojowa.

Byłam pewna, że kwiaty zrobią na niej olbrzymie wrażenie, tymczasem nawet nie raczyła spojrzeć w moją stronę. Chrząknęłam więc znacząco i dorzuciłam:

— I list też przyniosłam.

— Gd kogo?

— Od jednego bardzo przystojnego pana.

— Dziwni ci panowie! Nie mają innych pomysłów.

12 Kapelusz za 100 tysięcy

177

— Właśnie — podjęłam — usychają za panią z tęsknoty, a jako zadatek uwielbienia przysyłają pąsowe róże.

Myślałam, że westchnie przynajmniej z zachwytu, a ona tymczasem usunęła z twarzy ziołową maseczkę.

— Po prostu śmieszni — powiedziała, ziewając przecią- | gle i ruszyła do łazienki, jak Madame Pompadour w jednej powieści, którą mama chowała pod poduszką.

Byłam pewna, że teraz wykąpie się w mleku oślicy, bo kobiety dla swej urody wszystko potrafią zrobić.

— Przepraszam — powiedziała przez uchylone drzwi — zaraz wyjdę,

Na to tylko czekałam, bo byłam pewna, że to „zaraz” potrwa pół godziny. Udawałam, że stoję spokojnie i zachwycam się zapachem pąsowych róż, a tymczasem zaczęłam myszkować. Nie sprawiło mi to trudu. Wszystko było rozbebeszone, jakby pani Monika chciała mi ułatwić inspekcję. Szafa otwarta, walizka otwarta, nawet torba plażowa wywrócona do góry podszewką. Niestety, po kapeluszu ani śladu. Zajrzałam jeszcze do kosza na śmieci i pod fotel. Daremnie! Kapelusz albo się rozpułnął, albo go w ogóle nie było. Jednym słowem, klapa na całej linii.

Zobaczyłam natomiast coś, co mnie ogromnie zainteresowało. Mianowicie depeszę. Leżała na stoliku obok drobnych pieniędzy i puderniczki. Miałam straszliwą chęć przeczytać ją. Niestety, była złożona. Co robić? W jednej ręce trzymałam bukiet, w drugiej list. Położyłam więc list i bukiet na stoliku, obejrzałam się przezornie. Nic mi nie groziło. Drzwi łazienki były wprawdzie uchylone, ale pani Moniki nie widziałam. Stała zapewne przy umywalce, bo słyszałam szum płynącej z kranu wody.

Zrobiłam więc to, czego robić nie wypada. Rozwinęłam i przeczytałam depeszę, a gdy skończyłam, myślałam, że

178

mnie wzrok myli. Przeczytałam jeszcze raz. Było tam czarno na białym: TYTUŁ — UTWORU — BRZMI — KAPELUSZ — PEŁEN — DESZCZU. .

— Kapelusz pełen deszczu — powtórzyłam szeptem. Byłam tak oszołomiona, że chwilowo nie wiedziałam, gdzie jestem.

Dopiero gdy usłyszałam za sobą głos pani Moniki, zrozumiałam, że jestem u niej w hotelu.

— Kto ci pozwolił to czytać? — zawołała głosem, który nie przypominał ani głosu księżnej Monaco, ani Madame Pompadour.

Wolałabym w tej chwili zapaść się pod ziemię albo rozpułynać się. Pani Monika jednym szarpnięciem wyrwała mi depeszę z ręki.

— Czego tu szukasz? — zawołała ostro.

— Przyniosłam kwiaty — wyszeptałam.

Pani Monika chwyciła pąsowe róże i nie zważając na ich pąs, rzuciła mi je pod nogi.

— Zabieraj to wszystko! Powiedz temu panu, żeby mnie nie zadreęczał, i znikaj mi z oczu.

Cóż miałam, biedna, robić? Zniknęłam, i to bardzo szybko, wraz z pąsowymi różami. Zostawiłam jedynie list, żeby pani Monika dla osłody mogła przeczytać, jak to mężczyźni usychają z tęsknoty.

KTO ZAMIESZKUJE RUINY?

Tymczasem pan Kolanko z Maćkiem usychali na tarasie z ciekawości. Gdy zobaczyli mnie z różami w ręku, obaj zrobili niezbyt mądre miny.

— I co? — zapytali jednocześnie.

179

— Kłapa!

— Nie ma kapelusza?

— Ani słychu, ani dychul _____

Pan Kolanko tak się zmartwił, że zapomniał przetrzeć

okulary. Powtarzał tylko:

— To ci los, to ci los...

A Maciek ni w pięć, ni w dziewięć powiedział:

— Przypuszczałem, że tak będzie.

— Ty zawsze tylko przypuszczasz! — zawołałam oburzona.

Pan Kolanko chciał mnie uspokoić.

— Nie denerwuj się, Dziewiątko, to przecież było do przewidzenia.

, — Więc po co wysłał mnie pan z kwiatami na górę?

— Dziewiątko, przecież to był twój pomysł.

— Tak, ale kwiaty od pana... I dlatego wyrzuciła mnie na zbity pyszczek.

— Nie dojdziemy do ładu — powiedział prawie grobowo pan Kolanko. — Zdaje rni się, że ten kapelusz przepadł już na zawsze.

— Jeżeli pan będzie załamywał ręce i przecierał wciąż okulary, to pewno...

Spojrzał na mnie żałośnie.

— Więc co mam robić?

— Najlepiej zagrać coś na wiolonczeli — rzuciłam z przekąsem.

Pan Kolanko uśmiechnął się łagodnie.

— A wiesz, masz rację. Pójdę do profesora i zagramy sobie Schuberta. To mnie na pewno uspokoi. A róże — dodał — zanieś mamusi. Zrobisz jej tym przyjemność.

To powiedziawszy, założył okulary, przejechał dłonią po łysinie i oddalił się wolnym krokiem.

— To mi się nie podoba — powiedział nagle Maciek. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że Maciek stoi obok,

więc zapytałam:

— Co ci się nie podoba?

— Sprawa tego kapelusza. Kapelusz miał być bezcenny, a tymczasem jego właściciel idzie grać Schuberta. Ja bym przewrócił wszystko do góry nogami...

— Ja też — dodałam. — Więc, co nam szkodzi, przewrócimy.

— Phi, przecież to nie twój kapelusz.

Oto cały Maciek, najpierw przewracałby wszystko do góry nogami, a za chwilę rezygnuje. Złość mnie brała.

— Ty zawsze tak... — palnęłam bez zastanowienia.

— To znaczy jak?

— W ogóle... Nie zapytasz nawet, czego nie powiedziałam panu Kolance?

— Jak mogę pytać o coś, o czym nie wiem?

Racja, za wiele wymagałam od ornitologa. Powiedziałam mu więc o tajemniczej depeszy.

— Bomba! — zawołał. — Ale dlaczego przemilczałaś to przed nami?

— Bo dobry detektyw nigdy za dużo nie mówi, a sam stara się wiedzieć jak najwięcej.

— Dobrze, ale skąd ta depesza?

— Ba, za wiele ode mnie wymagasz. Jedno jest pewne, wszyscy szukają czegoś, co łączy się z niebieską teczką, a niebieska teczka leży spokojnie w futerale. Czy to nie zabawne?

— Tak, to bardzo ciekawe — westchnął Maciek. — Jednego nie rozumiem. Co ma wspólnego teczka z kapeluszem?

181

— Jesteś rozkoszny! Chciałbyś wszystko wiedzieć od razu, a gdybyś wiedział, to przecież nie byłoby ciekawe. Nie patrz tak na mnie! Walimy szukać kapelusza.

— Dokąd? — przeraził się Maciek.

— Do baszty, panie ornitologu.

— Dlaczego do baszty?

— Jeżeli go nie ma u pani Moniki, powinien być w baszcie u kaleki. Czuję to przez skórę.

— Bardzo pięknie, ale jak się tam dostaniesz?

— Mózdzek pracuje — powiedziałam wesoło. — Kto zamieszkuje stare baszty?

— Nietoperze i sowy — odparł Maciek.

— Dziękuję ci za lekcję zoologii! Mnie chodzi o rzeczy bardziej uduchowione.

— Duchy! — zawołał uradowany Maciek.

— O, właśnie! Przeberzemy się za duchy i zaczniemy straszyć. Może nareszcie uda nam się odnaleźć kapelusz!

DUCH W WYPRASOWANYCH SPODNIACH

Miałam być duchem pięknej księżniczki, którą okrutny ojciec zamurował w posępnej baszcie za to, że nie chciała poślubić bogatego księcia, tylko zakochała się w ubogim rycerzu. Duchem ubogiego, lecz szlachetnego rycerza miał być Maciek. Rycerz, zanim stał się duchem, przyjeżdżał na siwym koniu pod okna księżniczki, wzdychał przy świetle księżyca, potrącał o struny harfy i usychał z tęsknoty. A ona nic, tylko płakała i wiedła w oczach z tej nieszczęsnej miłości. A gdy już okrutny ojciec zamurował ją żywcem w posępnej baszcie, rycerz przestał grać, tylko przebił się

182

mieczem. I oboje zamienili się w duchy i od tamtych czasów — nic, tylko straszą.

Nie zmyślałam tej romantycznej historii. Przeczytałam o niej w zbiorze legend, który dostałam od cioci Kazi.

Maćkowi bardzo spodobało się moje opowiadanie. Zapytał jedynie, w jaki sposób szlachetny rycerz mógł przebić się mieczem, skoro miał pancerz. Poradziłam mu, żeby zapytał autora książki, on lepiej będzie wiedział.

Maciek zabrał z domu biały kąpielowy płaszcz babci, ja z „Ustronia” zabrałam stare prześcieradło, na którym mama wylegiwała się na plaży. Ruszyliśmy na ulicę Pasieczną do zabytkowych ruin. Tam przebraliśmy się w krzakach za duchy nieszczęśliwej pary.

Byliśmy superduchami. Ja przestraszyłam się Maćka, Maciek przeraził się mnie. A potem zaczęliśmy pomrukiwać i wydawać dźwięki, jakie zwykły wydawać prawdziwe duchy: ja — hohohu..., Maciek — huhuhu... I znowu baliśmy się samych siebie, ale nie za długo, bo trzeba było wejść do baszty.

— Jak my to zrobimy? — zapytał Maciek.

— Po prostu. Jak duchy przenikniemy przez mury.

— Nie żartuj, przecież j.esteśmy na niby.

— Tak, ale możemy spróbować.

Nie zastanawiając się wiele, podeszłam pod bramę i chciałam przez nią przeniknąć, jednak nie udało się. Dostałam się do środka prostszym sposobem: pod słomianą wycieraczką znalazłam klucz, którym pan Kolanko zwykł otwierać bramę.

— Czy to wypada? — zapytał szeptem Maciek.

— Duchom wszystko wypada — odparłam również szeptem, gdyż ten sposób mówienia najbardziej nam teraz odpowiadał.

183

Przeniknęliśmy przez bramę za pomocą klucza i nagle Maciek znowu zapytał:

— Kto za nami zamknie?

— Ty — odszepnęłam niby duch.

— Jeżeli zamknę, to nie będę w środku.

— Rzeczywiście. Zostawmy więc bramę otwartą.

— Jeżeli zostawimy otwartą, to może ktoś wejść.

— Nie szkodzi, nastraszymy go, i po krzyku. Cóż to znaczy dla duchów, i to takich jak my.

Klucz zostawiliśmy pod wycieraczką, a sami przeniknęliśmy do środka i dopiero, gdy zasunęliśmy za sobą bramę, a wokół zapanował mrok, zaczęliśmy się bać naprawdę.

Najpierw należało znaleźć mieszkanie kaleki. Ale gdzie go szukać? Pomyślałam, że jeżeli kaleka udaje kalekę, wjeżdża i wyjeżdża z baszty na wózku, to nie może mieszkać wysoko. Zaczęliśmy więc szukać nisko, czyli na parterze.

Na parterze, jak już poprzednio opisywałam, była wielka, ponura sień. Z prawej znajdowała się nisza, z której prowadziły kręte schody do pana Kolanki, a z lewej do tej pory nic nie było. Dopiero gdy Maciek znalazł drugą niszę, okazało się, że coś jest. Był wąski korytarzyk, który prowadził lichowię dokąd.

— Zostań tu — szepnęłam cichutko do Maćka. — Zobaczę, co to za korytarz.

— ja? — jęknął duch niezłomnego rycerza.

— Musisz zostać, żeby mnie ubezpieczyć. Schowaj się na schodach, a jak ktoś wejdzie, to zahukaj jak puszczyk, trzy razy. Spróbuj!

Maciek zahukał trzy razy, ale nie jak puszczyk w zabytkowych murach, lecz jak niemowlę wzywające pomocy.

— Głośniej — szepnęłam.

184

Tym razem udało się. Był to głos wspaniałego puszczyka.

— Wałę — szepnęłam — a ty trzymaj się!

Ruszyłam w czarną otchłań korytarza. Najpierw były trzy schodki w dół, potem równo, potem trzy schodki do góry, a potem uderzyłam głową w coś twardego. Po chwili natrafiłam na mur. Myślałam, że korytarz kończy się ślepo, lecz wnet z lewej strony namacałam drzwi, a w drzwiach klamkę.

Nie wiem dokładnie, jak to się stało, ale zdaje mi się, że nacisnęłam klamkę, pchnęłam drzwi i stanęłam w progu niewielkiej izdebki.

Izdebka wyglądała zupełnie tak, jakby w niej właśnie ukryto tajemniczy kapelusz, jednym słowem, bardzo zabytkowo i tajemniczo. Stare mury pamiętające nie wiadomo jakie czasy, a w tych murach kilka staroświeckich sprzętów: wielkie łóżko, umywalka z marmurowym blatem, komoda, nad komodą wielkie lustro w drewnianych ramach, a w lustrze moje odbicie.

Przeraziłam się własnego odbicia, bo zamiast wesołej Dziewiątki — zobaczyłam ducha nieszczęśliwej księżniczki. Chciałam krzyczeć, uciekać, ale przypomniałam sobie o kapeluszu. Zaczęłam więc rozglądać się, czy go nie ma.

Jeżeli pan Kolanko twierdzi, że zdmuchnięto go z jego mieszkania, powinien gdzieś być. Jednak tak przeważnie bywa, że jeśli coś powinno być, to go nie ma. Sprawdziłam wszędzie, nawet pod łóżkiem, lecz nie natrafiłam na najdrobniejszy ślad.

Natrafiłam natomiast na kilka książek. Leżały na stole i aż się prosiły, żeby je obejrzeć.

Tytuły same mówiły za siebie: „Masy plastyczne i ich zastosowanie”, „Węglowodany cykliczne”, „Węglowodany pierścieniowe”,

185

„Meta-dwuhydroksybenzen i jego pochodne”... Jednym słowem, język można połamać i oko zwichnąć, zanim człowiek przeczyta coś takiego! Jedno było pewne: to, o czym pisał brodaty profesor, kaleka studiował i czytał. A gdy otworzyłam jedną z książek i zobaczyłam w niej białą karteczkę z chemicznymi znakami, rozmaitymi C_{10}H_8 (C_{10}H_8)², nie miałam już wątpliwości. Obaj! mieli podobne zainteresowania.

Znalazłam również kilka zeszytów z rozmaitymi krzyżówkami. Zainteresował mnie zwłaszcza jeden z rozwiązana już krzyżówką i z zakreśloną czerwonym ołówkiem pozycją — MARABUT. A więc kaleka bez mojej pomocy] znalazł ptaka, który zaczynał się na „m”, kończył na „t” i miał siedem liter, a który tajemniczo znalazł się w podartej depeszy Gogusia.

Byłam zupełnie oszołomiona. Meta-dwuhydroksybenzen pomieszał mi się z marabutem i zapomniałam, że jestem duchem nieszczęśliwej księżniczki. Dopiero na odgłos czyn' ichś kroków w korytarzu ocknęłam się. Coś tu nie klapowało! Co robi Maciek, którego zostawiłam na straży? Dlaczego nie pohukuje jak puszczyk? Pewno znowu coś skno-cił. Tymczasem kroki zbliżały się. Chcąc nie chcąc, musiałam coś postanowić. Postanowiłam więc ukryć się pod łóżkiem. Nie było to najodpowiedniejsze miejsce dla ducha księżniczki, lecz trudno.

Wśliznęłam się błyskawicznie i czekałam, a kroki były coraz bliżej. Zdawało mi się, że jestem zgubiona. Wpadnie kaleka, wyciągnie mnie spod łóżka i zapyta: „Co ty tu robisz?”

Za chwilę drzwi się cichutko otworzyły... Zamknęłam oczy, żeby nie być świadkiem tego, co się stanie. Minęło jednak kilka chwil i nic się nie stało. Otworzyłam więc oczy. To,

186

co zobaczyłam, przekraczało granice prawdopodobieństwa.]Ma tle kamiennej podłogi ukazały się bowiem eleganckie buciki, wyłaniające się z nich wytworne bordowe skarpetki i dwie nogawki z kantami ostrymi jak brzytwa. Któż mógł posiadać takie buciki, takie skarpetki, tak zaprasowane spodnie? Oczywiście Goguś!

Skąd się tutaj wziął? Czego szuka?

Goguś tymczasem myszkował. Najpierw zatrzymał się przy stole. Po szeleście papieru poznałam, że przewraca i ogląda książki. Potem szybko zbliżył się do komody. Po skrzypnięciu drzewa wnioskowałam, że otwiera wszystkie szuflady od góry do dołu. Wreszcie zbliżył się do łóżka. Zamarłam. Myślałam, że już po mnie, bo Goguś zajrzał pod poduszkę, pod kapę, pod prześcieradło.

Teraz wreszcie powinien zajrzeć pod łóżko... Byłam przygotowana na najgorsze.

Tymczasem Goguś oddalił się. Widocznie nie chciał ??-dzierać z duchami. Zakręcił się jeszcze na środku pokoju, westchnął' ciężko i znikł za drzwiami. A w pokoju została tylko pustka i cisza dźwięcząca w starych murach...

Wyczołgałam się spod łóżka, a gdy spojrzałam w lustro, przeraziłam się, byłam cała szara od kurzu, spocona, zziębnięta i dopiero teraz przypominałam prawdziwego ducha.

NARADA U KALEKI

Nie miałam zamiaru narażać się. Ulotniłam się szybko, a gdy znalazłam się na korytarzu, zapomniałam o strachu. Dopiero w sieni przeraziłam się znowu, bo usłyszałam głos puszczyka. Wnet jednak przypominałam sobie, co może pohukiwać na schodach.

— To ja! — zawołałam. — Nie widzisz mnie? Z niszy wysunęła się bezszelestnie-biała zjawą.

— Myślałem, że ktoś idzie — wyszeptał Maciek.

— Ty zawsze myślisz za późno. Coś robił, kiedy Goguś tędy przechodził?

— Goguś? Nie widziałem Gogusia.

— Oczywiście, zawsze widzisz, kiedy nie trzeba.

— O co ci chodzi?

— Byłby mnie nakrył u kaleki, a ty jeszcze pytasz, o co mi chodzi?

— Daję słowo, nie widziałem.

— Pewno puchacz usiadł ci na nosie.

— Nie, ale w wykuszu znalazłem gniazdo kawek z młodymi.

Opadły mi ręce.

— Oczywiście, zawsze ta sama historia.

Bylibyśmy się posprzeczali, ale nie było na to czasu. Należało ulotnić się z baszty, zanim znowu ktoś przyjdzie. Zamknęliśmy więc bramę na klucz, i dalej w krzaki.

Maciek zapytał:

— Jest kapelusz?

— Nie ma, ale są książki chemiczne.

— To ciekawe!

— Jeszcze jak! Może nasz kaleka też coś kombinuje z tlenem, wodorem i węglem?

— Może on też jest chemikiem.

— To trzeba sprawdzić — powiedziałam.

— A co z kapeluszem?

— Kapelusz może być w szopie ogrodnika albo w mercedesie.

— To nielogiczne. Przecież w tym czasie, kiedy zdmuchnięto kapelusz, Goguś grał z twoją mamą w

brydza.

188

— Wszystko jest nielogiczne — odparłam. — A to, co jest najbardziej nielogiczne, może okazać się najbardziej logiczne.

Miałam rację. To, co ujrzeliśmy w tej chwili, potwierdzało moje słowa. Na ścieżce prowadzącej do baszty pojawiła się bardzo malownicza grupa osób. Przodem, na wózku, jechał kaleka, a za nim szli Goguś z panią Moniką. Do licha, co się stało? W takim zestawieniu nigdy jeszcze nie występowali.

Oto Goguś, który przed kilkoma minutami szperał w książkach kaleki i zaglądał mu pod poduszkę, teraz uśmiecha się do niego jak do najlepszego kompana. Oto pani Monika, która udawała wobec Gogusia, że nie zna kaleki, owija mu pledem nogi, jak gdyby naprawdę był sparaliżowany. A wszyscy walą w najlepszej komitywie,

189

wymieniając po drodze przyjazne uśmiechy. Koniec światła! I gdzie tu logika.

— Oni się już skumali — szepnął Maciek. — A teraz razem coś kombinują.

— Niby coś kombinują — powiedziałam — ale jeden drugiego chce po prostu okpić. I bądź tu mądry, kto kogo?

— Może Goguś ich, a może oni Gogusia.

— Jesteś niezwykle spostrzegawczy — zakpiłam, bo pomyślałam, że najprawdopodobniej wzajemnie nabijają się w butelkę.

Tymczasem malownicza trójka zniknęła za ciężkimi drzwiami zabytkowej baszty, a my umieraliśmy z ciekawości, o czym będą rozmawiać. Na szczęście, będąc u kaleki, zorientowałam się, że okno jego izby wychodzi na ruiny zamku. Okrążyliśmy więc basztę i zbadaliśmy teren. Nadawał się znakomicie na przeprowadzenie wywiadu. Między, basztą a ścianą zamku znajdował się wygodny wy-! kusz zarośnięty krzakami dzikiego bzu. Okno wychodziło wprost na wykusz.

— Idę pierwsza — szepnęłam do Maćka.

Maciek wspaniałomyślnie pozwolił się wyprzedzić. Został w krzakach jako ubezpieczenie. Po chwili byłam już na wykuszu. Może dwa metry przed sobą ujrzałam małe okienko, a za okienkiem wnętrze mieszkania. Paralityk chodził po pokoju żywo wymachując rękami i mówił coś przyciszonym głosem; pani Monika siedziała wygodnie w fotelu i oglądała paznokcie. A Goguś... Cóż mógł robić Goguś? Oczywiście ssał wygaśłą fajkę i robił mądrą minę. A wszystko odbywało się w zadumie historycznych murów.

Naraz paralityk zatrzymał się na środku izby i uniośł ręce teatralnym gestem.

— Ja już dłużej nie wytrzymam — powiedział.

190

I Pani Monika utkwiała wzrok w suficie. — Zastanów się, Waldemarze.

A Goguś skinął tylko znacząco głową. Paralityk zaczął krążyć po pokoju jak ranne zwierzę. I Pani Monika znowu oglądała wylakierowane paznokcie, a Goguś wstał, wyjął z ust fajkę i rzucił wytwornie:

— Nie będę dłużej przeszkadzał. Pani Monika ma rację. Należy się dobrze zastanowić. A więc do zobaczenia — skłonił się i dorzucił z progu: — Czekam na panią po kolacji w barze. — To rzekłszy zniknął za drzwiami.

Ledwo ucichły jego kroki, paralityk doskoczył do pani Moniki i złapał ją mocno za ramię.

— To przez ciebie! — powiedział.----Ja bym mu nie
zaufał.

Pani Monika wzruszyła ramionami.

— Nie miałam innego wyjścia. Lepiej było zgodzić się aniżeli narażać się na nieprzyjemności.

— On nas ma teraz w ręku.

— Tak samo, jak my jego.

— A ty dałaś się nabrać na jego umizgi. Nawet nie wiesz, kto to.

— Tak samo, jak on nie wie, kim ja jestem.

— Więc po co mnie w to mieszałaś? Pani Monika uśmiechnęła się gorzko.

— Śmieszne, on ciebie rozszyfrował już pierwszego dnia, kiedy widział cię pod willą profesora. A wczoraj powiedział... — urwała nagle, bo w krzakach rozległ się radosny okrzyk:

— Dziewiątka, patrz, jaka fantastyczna sójka!

Nie muszę wspominać, kto krzyczał i dlaczego. Jedno jest pewne: krzyk podziwu przerwał rozmowę w najcie-

191

kawszym momencie. Pani Monika podeszła do okna, wychyliła się i powiedziała:

— Zdaje mi się, że ktoś się tu kręci. Paralityk rozłożył ręce.

— Zawsze ktoś musi przeszkadzać.

Myślałam, że za chwilę ujrzą mnie i zdemaskują, ale oni zamknęli okno i zostawili mnie na wykuszu z piekącymi policzkami i z nie zaspokojoną ciekawością.

KIM JEST GOGUS?

— Sójkę mogłeś sobie zostawić na później — powiedziała Maćkowi, kiedy zlazłam z wykuszu. Byłam wściekła. Gdybym mogła, tobym mu oberwała uszy, lecz ornitolog miał tak niewinną minę, że śmiać mi się chciało.

— Dziewiątko — tłumaczył się — nie masz pojęcia, jaka fantastyczna sójka.

— A przez sójkę generalna klapa!

— Nie gniewaj się! Teraz już będę uważał.

— Teraz możesz iść liczyć kawki w kominie. Wszystko przepadło.

— A co oni tam mówili?

— Właśnie... — Chciałam mu powtórzyć, co mówili, lecz sama niczego z ich rozmowy nie zrozumiałam. Wszystko wydawało mi się niezwykle mgliste i pogmatwane. Jedno było pewne: kaleka bał się Gogusia i dlatego nie miał do niego zaufania, a Goguś, nie w ciemię bity, już dawno go rozszyfrował, to znaczy wiedział, że nie jest paralitykiem.

— Właśnie — dokończyłam — wszystko się wyjaśni, tylko, błagam cię, nie krzycz w najciekawszym momencie!

192

Potem zdjęliśmy w krzakach nasze szatki i nie byliśmy już duchami, tylko Dziewiątką i Maćkiem.

— Co robimy? — zapytał Maciek.

— Szukamy kapelusza.

— Gdzie?

— Tam, gdzie powinien być.

— A jeżeli go tam nie będzie?

— To już nie wiem — westchnęłam. — Chyba zostanę ornitologiem.

Byłam teraz pewna, że kapelusz za sto tysięcy jest w domu ogrodnika. Postanowiłam jeszcze raz spróbować szczęścia.

— Słuchaj, Maciek — zwróciłam się do ornitologa — ty zostań tutaj i kapuj na nich, a ja walę do ogrodnika po ogórki.

Maciek wybałuszył na mnie oczy.

— Nie boisz się?

— Czego? — zażartowałam. — Każdy może kupować ogórki lub kalafiora... co mu się zresztą podoba.

— Tylko uważaj na siebie. I nie rób głupstw.

Mówił jak dorosły. Może nie wiedział, że zrobić małe głupstewko to czasem najprzyjemniejsza rzecz na świecie. Nie miałam jednak zamiaru robić głupstw, tylko chciałam odnaleźć najdroższy kapelusz świata.

Najpierw musiałam upewnić się, gdzie jest Goguś. Nie miałam ochoty spotkać go przy ogórkach. O tej porze — zbliżała się szóstka — pan inżynier Kardasiewicz powinien siedzieć na tarasie hotelu, podziwiać grę świateł i wsłuchiwać się w szum prąsłowiańskich fal Bałtyku.

Nie myliłam się, gdy zaszłam pod hotel, na tarasie ujrzałam małą fajeczkę i resztę, a reszta podziwiała, wsłuchiwała się i popijała kawę.

13 Kapelusz za 100 tysięcy

193

„bobra — pomyślałam — teraz będę mogła spokojnie zrobić u ogrodnika zakupy". Po drodze wstąpiłam do »Ustronia", zostawiłam prześcieradło, stwierdziłam, że rodzinka nie wróciła jeszcze spod latarni morskiej, i w ogóle Poczułam się dużo lepiej, zwłaszcza gdy zjadłam w przelo- · cie pół słoika pysznego śliwkowego dżemu.

Wzięłam jeszcze koszyk na zakupy i pięć złotych ze swych oszczędności, niech rodzina chociaż raz zje mizerię za moje pieniądze, a potem ruszyłam, udając, że naprawdę idę po ogórki.

Gdy stanęłam pod bramą ogrodnika, nogi ugięły się Podo mną i zaczęłam się pocić ze strachu.

Byłabym zrezygnowała z ogórków, z mizერი i ze wszystkiego, gdyby nie starsza pani, która z koszyczkiem w ręku zbliżyła się do furtki. Zaraz poczułam się rażniej. Zapytałam nawet, co ma zamiar kupić. Okazało się, że fasolkę szparagową. Ubóstwiam fasolkę, więc nie namysławiając się już wiele, nacisnęłam dzwonek.

A dalej było zupełnie jak w bajce. Niby spod ziemi zjawiała się stara babula w czarnej chustce na głowie. Otworzyła nam furtkę. Powiedziała, że ogrodnik za domem podlewa grządki.

— Czy są ogórki? — zapytałam dla dodania sobie odwagi.

— Ja tam nie wiem. Zapytaj się ogrodnika. A starsza pani dodała:

— Są, moje dziecko, bo rano moja sąsiadka przyniosła Pięć kilo.

Jeżeli są ogórki, to wszystko w porządku!

Poszłyśmy z panią za dom. Za domem była wielka szklarnia i wielki ogród warzywny, a w ogrodzie stał ogrodnik i z hydrantu polewał grządki.

194

Nie chciałam mu przeszkadzać w pracy.

Postawiłam koszyczek na ziemi, przez chwilę podziwiałam wspaniałe kalafiory, kapustę głoską, fasolkę szparagową i pracowitość ogrodnika, a potem zaczęłam podziwiać szopę, w której przez uchylone drzwi zobaczyłam fantastycznego mercedesa-220. Nie mogłam wyjść z podziwu, zwłaszcza że zobaczyłam coś, co mnie bardzo zastanowiło. Mianowicie nad szopą wznosiła się pokryta czarną papą przybudówka, a na pięterku widniało małe, zasłonięte papierem okienko.

Okienko wydało mi się bardzo tajemnicze i podejrzane. Udałam więc, że zachwycam się mercedesem, i niby lunatyczka zbliżyłam się do szopy. Zerknęłam za siebie. Nikt mnie nie obserwował. Starsza pani szła właśnie w stronę ogrodu, ogrodnik wciąż podlewał, a ja tymczasem wśliznęłam się do szopy.

Mercedes był rzeczywiście super, ciemnoszary ze srebrzystym połyskiem. Byłby jeszcze wspanialszy, gdyby miał w środku kapelusz, lecz kapelusza nigdzie nie spostrzegłam, nawet w bagażniku, który mimochodem podniosłam.

Zainteresowało mnie jednak coś innego: niskie drzwi w bocznej ścianie. Były pomalowane na zielono i same się prosiły, by je otworzyć. Nacisnęłam więc klamkę, otworzyłam ostrożnie. Nawet nie skrzypnęły. Widać, że gospodarz dobrze je nasmarował, a za drzwiami ujrzałam strome, drewniane schodki.

Dokąd one prowadzą? Zapomniałam o ogórkach i o mizerii, na palcach wspięłam się na górę. Zobaczyłam znowu niskie drzwi z białych desek, ale jednocześnie opuściła mnie odwaga. Poczułam serce w gardle, a w głowie zupełną pustkę. Mimo to nacisnęłam klamkę...-

195

Wtedy ktoś z drugiej strony pomógł mi otworzyć drzwi. A gdy go zobaczyłam, myślałam, że spadnę ze schodów... I Jednak nie spadłam, bo ten ktoś schwycił mnie nagle za ramię i wciągnął do środka.

Początkowo nic nie widziałam. Usłyszałam tylko głośnie sapnięcie, a potem wściekły głos:

— Tego już za wiele! Z tym trzeba raz skończyć!

Nie wiedziałam, czego jest za wiele i z czym trzeba skończyć, więc zamknęłam oczy i czekałam, co

nastąpi. Myślałam, że za chwilę rozszarpie mnie na kawałki. Tymczasem usłyszałam łagodny głos:

— Nie bój się!

— Przyszłam po ogórki! — zawołałam.

— Nie udawaj niewiniątka.

— I nie myślałam, że pana tu spotkam. Pan przecież przed chwilą siedział na tarasie.

Goguś roześmiał się, jakby w tym było coś śmiesznego, ja zaś otworzyłam oczy. Dopiero teraz zobaczyłam, gdzie jestem. Byłam na poddaszu, a raczej na stryszku. Mała klitka w formie trumny, okno zasłonięte papierem, polowe łóżko, stara szafa, stolik, krzesło, umywalka, oto wszystko. Podłoga wymyta, na stoliku czysta serwetka, wazonik z kwiatami. Wszystkie rzeczy pochowane, tylko na krześle wisiała marynarka i wspaniały, jedwabny krawat, a na stoliku przy popielniczce krótka fajeczka. Oto wzorowa melina wytwornego przestępcy!

Goguś śmiał się jeszcze chwilę śmiechem sztucznym i podejrzanym, a potem rozłożył szeroko ręce.

— Szatan z ciebie, nie dziewczyna! Czy ty wiesz, kogo śledzisz? — Nie czekając na odpowiedź, wyjął z kieszeni małą legitymację i mignął mi nią przed oczami. — Jestem oficerem służby śledczej, a ty mi stale przeszkadzasz.

196

- Pan?... - - wyszeptałam. — Pan oficerem śledczym... a ja myślałam... — Szczerze mówiąc w tej chwili nic nie myślałam, bo po takiej bombie trudno nawet mrugnąć okiem. Czułam się jak na karuzeli. Wszystko zawirowało mi w głowie. Nie wiedziałam, kto jest kim, a kto kim nie jest. A może to wszystko śniło mi się i jeszcze dobrze się nie przebudziłam. Ale to nie był sen, bo oto Goguś wziął mnie łagodnie za rękę i zaprowadził do krzesła.

— Siadaj — powiedział — i nie dziw się. Jestem oficerem służby śledczej, mam tutaj niezwykle ważne zadanie, a ty przeszkadzasz mi, gdzie możesz.

— To pan szuka tego kapelusza za sto tysięcy? — wyszeptałam.

— O nic nie pytaj, tylko przyrzeknij mi, że już nie będziesz mieszała się w te sprawy.

— Nie będę — powiedziałam. — Tylko chciałabym wiedzieć, co z tym kapeluszem?

— Ciszej — syknął. — Mogę ci tylko przyrzec, że jutro wszystko się skończy. Wtedy zaproszę cię na lody...

— Wolę rurki z kremem...

— Niech będą rurki... I powiem ci, jak to było z tym kapeluszem.

— Dopiero jutro! — westchnęłam.

— Wcześniej nie mogę. Muszę najpierw rozpracować szajkę, która chce ukraść niezwykle ważne dokumenty...

— W niebieskiej teczce? Chwycił mnie mocno za ramię.

— Tak. Może wiesz coś o niej? — Jest zamiast wiolonczeli.

— Gdzie?

— W futerale u pana Kolanki.

— Widziałaś?

197

— Pewno, że widziałam. Byłam u niego w baszcie i otworzyłam futerał.

— Był tam napis?

— Tak. „Kapelusz pełen deszczu”. Jak w pana depeszy...

Drgnął, jakby go przeszedł prąd... Na chwilę w jego oczach zapalił się gniewny błysk.

— Skąd wiesz, co było w depeszy? — zapytał ostro.

— Skleіłam depeszę i przeczytałam... Rozpaczliwym gestem złapał się za głowę.

— Dziewczyno, co ty wyrabiasz! Pamiętaj, nie wspominaj nikomu o depeszy.

— Ani mru, mru! — szepnęłam.

— Iw ogóle zapomnij o tym, co widziałaś, a jutro wieczorem zajdź do hotelu na taras, to powiem ci o wszystkim, lecz pod jednym warunkiem: nikomu nie piśniesz ani słówka. — Wyciągnął do mnie dłoń.
— Przysięgasz?

— Przysięgam — wyszeptałam cichutko. Jakże mogłam nie przysięc oficerowi służby śledczej?

Środa

NAJAZD SZWEDÓW

*

W środę miało się wszystko wyjaśnić. Ciekawe, dlaczego właśnie w środę? Czyżby środa miała być najodpowiedniejszym dniem do wyjaśnień? Oto pan Kolanko, pechowy wiolonczelista, uparł się, że dopiero w środę zdradzi mi tajemnicę kapelusza za sto tysięcy. Oto oficer śledczy, pseudo Goguś,

pseudo pan inżynier Karda-siewicz, przyrzekł solennie, że dopiero w środę wieczorem wyluszczy wszystko, co trzeba. A ja tymczasem musiałam czekać i drżeć z niecierpliwości, a najgorzej, że nie mogłam puścić pary z ust ani podzielić się sensacyjnymi odkryciami nawet z Maćkiem!

Skwierczałam z ciekawości i zastanawiałam się — dlaczego? Przypomniałam sobie wszystko po kolei i z wolna rozjaśniało mi się w głowie. Najpierw depesza: „Spe... za... na... siódmego bm...”, siódmego bieżącego miesiąca, a więc w środę. A potem rozmowa z pokojową z trzeciego piętra: „Trzeba wszystko wyglancować na cacy, bo w środę przyjeżdża zagraniczna wycieczka, podobno ze Szwecji...” Byłabym najgłupszą istotą na świecie, gdybym nie zrozumiała, że te dwie sprawy łączą się ze sobą. Ale w jaki sposób?

Niepotrzebnie łamałam sobie głowę. Niech łamią sobie osoby stworzone do tego, a przede wszystkim oficer śled-

199

czy. Płacą mu za to, bulą grubą forszę za pokój w eleganckim hotelu, za jedwabne krawaty...

Swoją drogą — genialny detektyw. Niech się Sher-lock Holmes schowa. Nawet mnie nabił pięknie w butelkę. Ssie fajeczkę, czaruje stoma krawatami, posyła kosze pąsowych róż, odgrywa wytwornisia, a tymczasem rozpracowuje niebezpieczną szajkę i czeka na odpowiedni moment, żeby ją nakryć. Coś fantastycznego! Nadawałby się znakomicie do filmu na szlachetnego szeryfa, który bimba sobie z bandy Zezowatego Jima i z zamkniętymi oczyma trafia z colta w główkę od szpilki.

Nic więc dziwnego, że nie mogłam doczekać się, kiedy wreszcie zacznie się środa, bo śniadania ani domowych rozmów o brydżu i o taaakich szczupakach nie liczę.

Środa zaczęła się dopiero wtedy, kiedy do jadalni wpadła jak bomba pani Fufalska spod siedemnastki i przyniosła sensacyjną wiadomość, że zbliża się szwedzki statek.

Wszyscy zerwali się od stołu, zapomnieli o owsiance, a potem pobiegli na molo. Ja też pobiegłam, ale służbowo, tylko zupełnie prywatnie. O sprawy służbowe niech się martwi niezrównany Goguś. Poczekam do wieczora. Chciałam tylko zobaczyć, jak wyglądają prawdziwi Szwedzi, bo znałam ich tylko z lektury „Potopu”.

Najpierw statek, który nazywał się Sven Hedin, przybił do mola i zawyła syrena, a potem Szwedzi zaczęli wychodzić przez trap i fotografować. Nic, tylko uśmiechali się i fotografowali, jakby każdy z nich miał fabrykę taśmy fotograficznej. A tłum pchał się, aby coś zobaczyć.

Strasznie się rozczarowałam, gdy ujrzałam zwykłych ludzi, zupełnie takich samych jak Polacy. Różnili się od nas tylko tym, że nie można ich było zrozumieć, bo mówili po szwedzku.

200

Nie pchał się tylko szlachetny oficer śledczy, bo go w ogóle nie było. Widocznie czaił się i czekał na odpowiedni moment. Nie było też pani Moniki, kaleki na wózku, brodatego profesora ani nawet pana

Kolanki.

Był natomiast Maciek.

— Dobrze, że cię znalazłem! — zawołał, gdy mnie zobaczył w tłumie. — Dlaczego nie przyszedłeś do mnie wieczorem?

Nieszczęsny, nie wiedział, że nie wolno mi puścić pary z ust!

— Nie mogłam — odparłam.

— Byłaś u ogrodnika?

— Byłam.

— I co?

— A nic, ogrodnik podlewał grządki i ogórki staniały.

201

— Kpisz sobie ze mnie! — oburzył się ornitolog.

— Daję słowo, że podlewał.

— A kapelusz?

— Kapeluszem przestałam się interesować.

Tak na mnie spojrzał, jakbym była sójką albo śmie-ciuszką.

— Nie bujaj! Ty coś przede mną ukrywasz.

— Nawet mi się nie śni!

— Szkoda — westchnął żałośnie. — Wyobraź sobie, ' babcia wpadła na nowy pomysł! Znalazła w jakiejś powieści kryminalnej podobną sytuację. Jest tam pewien prywatny detektyw, który udaje wiolonczelistę, a tymczasem śledzi gangsterów. A gangsterzy chcą wykraść pewnemu dyplomacie tajne dokumenty... Czy nie uważasz, że nasz wiolonczelista może być detektywem?

— Wykluczone! — zaprotestowałam żywo.

— Dlaczego?

— Bo detektywem jest już kto inny — wyrwało mi się nieopatrznie.

Maciek zzieleniał z ciekawości.

— Kto?

— Przypuśćmy, że kaleka — rzuciłam wykrętnie.

— Wykluczone!

— Dlaczego?

Maciek swoim zwyczajem potarł koniec łuszczącego się nosa.

— Bo ty... nawet się nie zapytasz, co robiłem.

— Pewno podglądałeś sójki.

— Wprost przeciwnie.

Nie miałam pojęcia, co oznaczało: „wprost przeciwnie”, jednak Maciek wnet mi wytłumaczył. Chciał naprawić wczorajszy błąd i zabrał się poważnie do śledzenia baszty.

202

— Mówię ci, nakryłem ich! — wyszeptał. — Była paskudna draka. Dzisiaj rano poszedłem na Pasieczną, żeby zobaczyć, co i jak. Zaszyłem się w krzakach, a tu pani Monika taszczy z bramy truposza na wózku, a za nimi pan Kolanko...

— Skumał się z nimi! — zawołałam przerażona.

— Nie. Jak ich zobaczył, zbiegł na dół i zaczął się awanturować, że niby ktoś z nich chciał się włamać do jego mieszkania.

— Kiedy?

— Rano, gdy on poszedł do ogrodnika po warzywa.

— Nakrył ich?

— Nie, tylko podejrzewał i krzyczał, że pójdzie na milicję.

— A oni?

— Oni odgrywali naiwne niewiniątka. Dziwili się, wzruszali ramionami. „Ależ skąd, to niemożliwe, pan się chyba myli, a jeśli pan chce koniecznie, to proszę bardzo, może pan zawiadomić milicję...”
Mówię ci, przedstawienie!

— A on?

— Powiedział, żeby z niego nie robili wariata, bo doskonale wie, że kaleka nie jest kaleką.

Uśmiechnęłam się kpiąco.

— I ty myślisz, że pan Kolanko może być detektywem!

— Dlaczego nie?

— Jaki detektyw palnąłby takie głupstwo? Prawdziwy detektyw powiedziałby: „Bardzo panu współczuję. Ma pan sparaliżowane dolne kończyny, a mimo to potrafi pan wejść na piętro i manipulować przy moim zamku”. Bo detektyw nigdy nie mówi wprost, tylko zawsze zagadkowo.

— Może chciał ich zaskoczyć.

203

— Kogo? — prychnęłam. — Takich chytrusów? Pewno roześmiali mu się w twarz.

— Jakbyś zgadła! Pani Monika parsknęła i powiedziała: „Pan wybaczy, ale to śmieszne. Mój wujaszek dostał postrzał na wojnie i od tego czasu...” A pan Kolanko zu- I pełnie zbaraniał. Ale to jeszcze nie wszystko. Wyobraź sobie, kogo jeszcze widziałem pod basztą?

— Gogusia.

— Skąd wiesz?

— Bo on powinien tam być.

— Dlaczego?

Gdyby Maciek mógł wiedzieć dlaczego, nie zadawałby tak naiwnych pytań. Goguś działa jak Sherlock Holmes. Niby popija kawę na tarasie, a tymczasem zawsze jest tam, gdzie być powinien.

— I jak to się skończyło? — zapytałam.

— Pani Monika z kaleką odjechali, pan Kolanko wrócił na górę i gotował kalarepkę.

— Skąd wiesz, że kalarepkę?

— Poznałem po zapachu. A Goguś rozpułynał się w ruinach.

— Na niby, oczywiście — dodałam, bo dobrze wiedziałam, że został jeszcze chwilę i sprawdził wszystko jak najdokładniej. Nie byłby przecież oficerem służby śledczej, gdyby postępował inaczej.

— Więc co teraz zrobimy? — zapytał Maciek.

— Witamy Szwedów!

— Nie poznaję cię, Dziewiątka. Tu dzieją się takie rzeczy, a ty sobie żartujesz.

— Mówię zupełnie poważnie.

— A co będzie z kapeluszem? A co będzie z niebieską

teczką? 204

— Nie martw się, wszystko wyjaśni się w swoim czasie. Maciek przestał trzeć nos.

— A ja myślałem, że będziemy śledzili.

— Znudziło mi się.

— Mnie nie! — zachnął się gniewnie. — Ty coś ukrywasz przede mną, aleja nie jestem taki naiwny, jak sobie wyobrażasz. Zobaczysz, będę śledził na własną rękę.

Cóż miałam na to powiedzieć? Nie mogłam mu przecież zabronić, skoro nagle zapomniał o ornitologii i zapalał chęcią śledzenia.

— Powodzenia! — rzuciłam kpiąco. — Tylko uważaj, żebyś się nie rozczarował.

— Dobrze! — zawołał. — Przekonamy się, kto z nas jest lepszym detektywem. — Rzucił mi gniewne spojrzenie i odszedł śledzić na własną rękę.

PRZYPALONA KALAREPKA

Szwedzi zachowywali się zupełnie tak jak Szwedzi. Nic w tym dziwnego. Nie musieli udawać, że są na przykład Chińczykami. Walili więc do hotelu „Pod Trzema Żaglami”, a po drodze podziwiali piękno polskiego Wybrzeża i dziwili się, dlaczego całe Nieborze wyległo na ich spotkanie.

Pod hotelem ktoś mnie złapał dyskretnie za ramię. Któż mógł złapać tak dyskretnie, jak nie oficer służby śledczej, czyli Goguś. Był dzisiaj ubrany sportowo: jasne, płócienne spodnie, sandały, szalowa koszula frote i nieodłączna fajeczka w zębach. Miał tylko zmieniony wyraz twarzy; skupiony, czujny i — jeśli się nie mylę — był nieco zdenerwowany. Nic dziwnego, przecież środa, a on nareszcie zabrał Się do roboty.

205

— Byłem u ciebie — powiedział bez ceregieli. Nie rano — I głąm nawet zapytać, skąd wie, gdzie mieszkam, bo nie wypadało. Od tego jest oficerem śledczym, żeby wiedzieć. I Potem spojrzał mi głęboko w oczy: — Mam do ciebie! prośbę.

— Bardzo mi miło — powiedziałam.

— Jestem chwilowo zajęty, rozumiesz?

— Rozumiem. — Któż mógł go lepiej zrozumieć? Miał przecież pełne ręce roboty i musiał dobrze kapować, żeby mu się nie wymknął jakiś podejrzaný osobnik. Na przykład taki kaleka, którego

nimochodem ujrzałam na tarasie. Siedział na wózku i niby przyglądał się szwedzkim turystom, a na pewno coś knuł i kombinował.

Oficer powiedział szeptem:

— Jesteś dzielna dziewczyna i mam do ciebie zaufanie. Słuchaj uważnie, co ci powiem. Pójdiesz do tego pana, który mieszka w baszcie. .

— Do pana Kolanki?

— Tak — syknął zniecierpliwiony. — Powiedz mu, żeby natychmiast zaniósł teczkę do willi profesora, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Powiesz mu, że jeśli tego nie zrobi, to teczka może wpaść w nieodpowiednie ręce.

— Tak! — zawołałam. — Czy pan wie, że już ktoś chciał się włamać do jego mieszkania.

— Wiem — uciął szybko. — Jeżeli zapyta, kto go ostrzegł, powiesz, że agent, który specjalnie przyszedł do ciebie. Nie możesz mu jednak powiedzieć, że to ja. Nie chcę się jeszcze ujawniać.

— Oczywiście — wtrąciłam. — Musi pan wpierw wszystkich nakryć.

206

— Brawo, o to mi właśnie chodzi! Dodasz jeszcze, że profesor czeka na niego i jest o wszystkim powiadomiony.

— I jeżeli nie zanieś tej teczki — dorzuciłam — to narazi profesora.

— Tak jest — poklepał mnie z szacunkiem po ramieniu. — Masz znakomitą orientację. Powtórz, co masz powiedzieć.

Powtórzyłam bez zająknięcia.

— Świetnie! — pochwalił mnie oficer. — A teraz biegnij, bo każda minuta jest droga.

Nie trzeba mi było powtarzać. Ruszyłam sprintem. Okropnie się bałam, czy zastanę pana Kolankę.

Gdy zbliżyłam się do baszty, poczułam zapach spalenizny i zobaczyłam dym wydobywający się z okna. Skoro się dymiło, pan Kolanko powinien być u siebie.

Nie namyślając się, wbiegłam na schody i na wet nie wiem, kiedy znalazłam się pod drzwiami wiolonczelisty.

Drzwi stały na oścież otwarte, dym walił z nich jak z pieca, a za drzwiami, niby zły duch w piekle,

miał się pan Kolanko. Gdy mnie zobaczył, zawołał:

— Dziewiątko, pomyśl tylko, przypaliłem kalarepkę!

— Głupstwo! — krzyknęłam i w tej samej chwili za-krztusiłam się. Cenne sekundy płynęły. Wreszcie silniejszy powiew wiatru rozwiał zasłonę dymną. Zobaczyłam pana Walerego Kolanke ze łzami w oczach pochylonego nad rondelkiem, w którym na dnie widniały resztki zwęglonych witamin. Żal mnie ogarnął, więc powiedziałam:

— Niech się pan nie martwi!

— Co za pech — jęknął. — Dusilem ją w maśle, wyszedłem na chwilę i masz babo placek!

Dopiero teraz jednym tchem wyrecytowałam to, co miałam, i zakończyłam okrzykiem:

207

— Niech pan wali do profesora, bo może być nieszczęście!

Pan Kolanko oniemiał, a gdy odzyskał mowę, chwycił mnie za oba ramiona i potrząsnął.

— Kto cię tu przysłał?

— Agent milicji.

— Skąd on mógł wiedzieć, że teczka jest u mnie?

— Jeżeli jest agentem, to widocznie wie. Albo profesor mu powiedział.

Pan Kolanko plasnął się dłonią w czoło.

— To jasne! — zawołał. — Profesor wczoraj dzwonił do Słupska, do Komendy Powiatowej — urwał i w tym samym momencie zapomniał o przypalonej kalarepce. Podbiegł do futerału, drżącymi rękami wyjął zeń niebieską teczkę.

— Dziewiątko — westchnął — ftie masz pojęcia, co ja dzisiaj przeżyłem!

— Mam — powiedziałam, żeby zbytecznie nie tracił czasu — próbowali włamać się do pana mieszkania.

— Skąd wiesz? .

'— Proszę mnie o nic nie pytać, tylko pruć prosto do profesora.

Pan Kolanko załamał ręce.

— Myślałem, że już po teczce. Co ja bym powiedział profesorowi! Na szczęście spłoszyłem tych łajdaków.

— Doskonale, ale proszę się śpieszyć, bo każda minuta droga.

— Każda minuta droga — westchnął i naraz spojrzał na mnie z zakłopotaniem. — Dziewiątko, może ty skoczysz za mnie do profesora? Jestem zupełnie skołatany i rozbity.

— ja? — wyszeptałam zdumiona. Nie chciałam początkowo wierzyć, a gdy uwierzyłam, klasnęłam w dłonie: —I

208

Wspaniale, zaniosę profesorowi teczkę i nikt nawet nie pomyśli, że właśnie ja ją niosę. Pan Kolanko zatarł ręce.

— Znakomity pomysł! Teczkę włożymy do drugiej teczki i nikomu nawet się nie przyśni.

Ożywił się, jakby mu nagle lat ubyło, spod stołu wyciągnął ceratową teczkę z nutami, wyjął z niej nuty i włożył niebieską teczkę profesora.

— Spiesz się, moja droga! — powiedział na pożegnanie. — I pamiętaj, nie zatrzymuj się, nie wstępuj nigdzie, tylko idź prosto do profesora.

— To się wie! — zawołałam. Chwyciłam teczkę, przycisnęłam ją mocno do boku i już mnie nie było.

TEGO TYLKO BRAKOWAŁO!

Biegłam ulicą Pasiieczną. Zdawało mi się, że z ramion wyrastają mi skrzydła. Oto ja, Dziewiątka, były szef gangu, a obecnie detektyw amator niosłam coś tak ważnego, że nawet nie śmiałam o tym pomyśleć. Podskakiwałam ze szczęścia, a jednocześnie uważałam, czy ktoś mnie nie śledzi.

Ładnie bym wyglądała, gdyby tak na przykład zjawił się kaleka na wózku i zapytał, co niosę. Nie mogłabym powiedzieć, że ogórki od ogrodnika, bo i tak by nie uwierzył.

Na Pasiiecznej ani na Polnej, ani przy barze mlecznym nikogo nie spotkałam. Dopiero na wydmach przy domkach campingowych zobaczyłam murzyńskiego studenta.

Minęłam domki campingowe i obóz akademików, a za wydmami weszłam na ścieżkę prowadzącą do willi profesora. Byłam już prawie u celu.

14 Kapelusz za 100 tysięcy

209

Nagle przede mną wyrosła biała koszula frote i fajeczka. Pomyślałam, że czujny oficer śledczy niepokoił się o losy teczki, więc przyszedł sprawdzić, czy doręczono ją profesorowi.

— Gdzie pan Kolanko? — zapytał patrząc na ceratową teczkę, którą mocno przyciskałam do siebie.

— Właśnie — odparłam — jest zupełnie skołatany i rozbity. Prosił, żebym odniosła teczkę...

Przez szlachetne oblicze oficera przemknął błysk radości.

— Brawo! — zawołał. — Nie bałaś się?!

— Czego miałam się bać?

— Brawo! — powtórzył i rozkazującym gestem wyciągnął rękę. — Pokaż!

Wahałam się chwilą. Żał mi było rozstawać się z teczką. Chciałam wręczyć ją osobiście profesorowi, ale skoro oficer pragnął ją obejrzeć...

Ręka mu drgnęła, gdy sięgał po nią. Był widocznie bardzo wzruszony. Zważył ją najpierw w dłoni, a potem otworzył i zajrzał do środka.

— Dobrze — skinął głową. — Niestety, profesora nie ma w domu. Właśnie stamtąd wracam. Wypłynął żaglówką w morze.

— Co ja zrobię? — zapytałam zmartwiona.

— Nic się nie stało. Chwilowo przechowam ją u siebie, a potem odniosę profesorowi. Może nawet lepiej, że będę miał ją przy sobie. Profesor jest roztargniony, mógłby strzelić jakieś głupstwo. Nagle zamknął teczkę, zdecydowanym ruchem włożył ją pod ramię i rzucił pospiesznie: >— Dziękuję ci! Przyjdź wieczorem na taras hotelu, to ci wszystko opowiem. — To rzekłszy, odwrócił się i ruszył szybkim krokiem.

210

Poczułam żal. Wydawało mi się, że zbył mnie byle uśmieszkiem i nie powinien tak szybko ulotnić się z teczką. Mógł przynajmniej zaproponować wspólną przechadzkę do Nieborza. Ale trudno, oficer służby śledczej najlepiej wie, co robić. Niech mu będzie, nie obrażę się, zwłaszcza że wieczorem wszystko mi wyjaśni i fundnie dwie rurki z kremem.

A jednak było mi nieswojo, jakbym coś zgubiła, zapomniała, sknociła. Bliska płaczu szłam niemrawym krokiem w stronę Nieborza.

Nie zauważyłam, kiedy minęłam obóz, domki campingowe, bar mleczny i znalazłam się na ulicy Plażowej. W rogu-ulicy Żart ocknęłam się z zamyślenia. Zobaczyłam bowiem Maćka. Stał pod płotem ogrodnika, jakby na kogoś czatował. Przykleił się niemal do sztachet, skulił, a wzrok utkwiał w głębi ogrodu.

Na jego widok zanuciłam żartobliwie: „Hej, przeleciał ptaszek przez zielony lasek...”

— Cicho! — syknął i ręką dał mi znać, żebym ukryła się w krzakach.

— Co robisz? — zapytałam szeptem.

— Nie widzisz, że śledzę?

— Kogo?

— Gogusia.

— Gogusia? — dziwiłam się. — Byłeś przy willi profesora?

— Nie, w hotelu.

— Przecież przed chwilą widziałam go na wydmach.

— To ci się chyba zdawało. Cały czas kręcił się przy hotelu — powiedział niezwykle przejęty.

— Bujasz! Niedawno z nim rozmawiałam. Maciek cmoknął zniecierpliwiony.

211

— Jak mogłaś z nim rozmawiać, kiedy on rozmawiał ze Szwedem.

— Masz chyba gorączkę i majaczysz!

!— To ty coś kręcisz od rana. Ale ja nie jestem taki głupi. Siedzę na własną rękę. Nie masz pojęcia, jaka sensacja. Ten Szwed chyba wcale nie jest Szwedem, bo mówi raczej po niemiecku, a gdy podszedł do Gogusia, to powiedział: „Marabut”.

Pociemniało mi nagle w oczach i czułam, że wszystko wali się na mnie.

— Maciek — szepnęłam — przysięgnij, że mówisz

prawdę.

— Słowo honoru!

— W takim razie jest dwóch Gogusiów, a ja palnęłam największe głupstwo na świecie. O Boże, jaka ja jestem głupia!

Maciek zbaraniał.

— Co się stało?

!— Nie pytaj — jęknęłam. — Gdzie twój Goguś?

— Wszedł właśnie do ogrodnika.

— Poczekaj tu na mnie — szepnęłam. — Za chwilę dowiesz się o największej sensacji tego sezonu.

Zostawiłam Maćka z rozdziawioną buziuchną i z ćwiekiem w głowie, a sama pobiegłam do furtki. Z radością zobaczyłam, że była otwarta. Wśliznęłam się więc do ogrodu. Pod osłoną krzaków przemknęłam się ku szopie.

Było zupełnie cicho, jakby nagle wszystko umilkło. Słyszałam tylko własny oddech i szelest chwastów pod stopami. Kilkoma susami dobiegłam do węgła, a potem wzdłuż ściany przesunęłam się ku drzwiom. Jedno ich skrzydło było otwarte. Ukryłam się za nim i przez szparę w deskach zajrzałam do środka...

212

Jeżeli w tej chwili nie zemdlałam, to tylko dlatego, że chciałam zobaczyć, co będzie dalej. Nawet to, co zobaczyłam, wystarczyłoby na napisanie powieści. Pośrodku stał mercedes, nic ciekawego. W mercedesie leżały spakowane walizki, nic ciekawego. Ale obok mercedesa, zupełnie jak na filmie, stało dwóch Gogusiów. Początkowo myślałam, że śnię albo dwoi mi się w oczach. Jeden w białej koszuli frote i drugi w białej frote; jeden w jasnych spodniach z płótna i drugi... Jak odbitka, jak sobowtór. Nie śniłam ani nie dwoiło mi się w oczach. Przeżywałam największą klęskę, a najgorsze: nie wiedziałam, który jest którym!

Dopiero kiedy jeden z nich podniósł ze skrzyni ceratową teczkę pana Kolanki i wyjął z niej teczkę niebieską, mogłam przypuścić, że to ten, który mnie tak haniebnie oszukał. Byłabym rzuciła się na niego i wygarnęła mu porządnie, ale zdrowy rozsądek i drzwi nie pozwalały.

213

Tymczasem mój Goguś podał niebieską teczkę Gogusio-wi Maćka, ten zaś włożył ją do wielkiej papierowej koperty, przewiązał sznurkiem, potem, nie powiedziawszy ani słowa, skinął tylko tamtemu Gogusiowi i wyszedł z szopy.

Nie był to już wytworny Goguś ani szlachetny oficer służby śledczej, ani nawet tajemniczy osobnik, tylko nędzna kreatura, przebiegły przestępca, zwykły oszust, a może tylko połowa oszusta, bo druga została przecież w szopie.

Walił teraz prosto do furtki. Nie spodziewał się, łajdak, że jest ktoś, kto obserwuje go bacznie. Nie mogłam jednak wiecznie stać za drzwiami. Skoczyłam w zarośla i ruszyłam za nim.

On tymczasem minął furtkę i jakby nigdy nic skręcił w prawo w stronę Plażowej. Szedł bardzo szybko. Musiałam biec, żeby go nie stracić z oczu.

Na rogu Plażowej wpadł na mnie Maciek. Zdziwiłam się ogromnie, bo zupełnie o nim zapomniałam. Maciek zapytał rzeczowo:

— Co jest?

Dałam znak, żeby zamilkł, ruchem głowy wskazałam Gogusia. Zrozumiał, że musimy go śledzić. Posłałam jedną stroną ulicy, Maciek drugą, a przed nami sunął Goguś. Wśród pni migała jego biała

koszula i fajka.

Na rogu Bursztynowej Goguś zatrzymał się i nagle skręcił w stronę skweru położonego nad samą plażą. Zniknął na chwilę w cieniu, ale wnet wyłonił się spoza drzew i zbliżył się do ławki, na której siedział zażywny jegomość w alpagowej marynarce i w białym płóciennym kapeluszu.

Maciek szarpnął mnie za rękaw.

— To ten „Szwed”, który mówi po niemiecku. Oczywiście, któż inny mógłby czekać na Gogusia. Pięknie to sobie obmyślili!

214

Goguś usiadł obok przybysza ze Szwecji, poprosił go o zapalki. Ten wolnym, prawie leniwym ruchem wyjął z bocznej kieszeni marynarki pudełko zapalek i podał je Gogusiowi. Goguś jeszcze wolniej wziął od niego zapalki, potrząsnął pudełkiem, a potem, po raz pierwszy w Niebo-rzu, próbował zapalić fajkę. Nie o to jednak chodziło, lecz o teczkę ukrytą w kopercie, bo za chwilę obcy zupełnie nieznacznym ruchem wziął teczkę z kolan Gogusia, wstał, uchylił kapelusza, skłonił się wytwornie i ruszył tak spokojnie, jak gdyby wybierał się do kawiarni na lody.

W tej chwili stało się coś, czego nikt z nas nie mógł przewidzieć. Zza żywopłotu niby duch wyskoczył kaleka (daj mi Boże takie zdrowie), jednym susem dopadł Gogusia, złapał go za koszulę i zawołał stłumionym głosem:

— Łajdaku, chcesz mnie oszukać!

Goguś był tak zaskoczony, że wypuścił fajkę z zębów. W pierwszej chwili zdawało się, że rzuci się na kalekę, lecz to widocznie nie było w jego stylu. Uśmiechnął się pogardliwie, odepchnął lekko kalekę i rzekł cicho:

— Niech pan nie robi skandalu, wszystko da się załatwić!

Nie mogłam na to pozwolić, by cokolwiek załatwili, więc szepnęłam do Maćka:

— Wal za „Szwedem”, ja idę na milicję.

CO TY PLECIESZ, DZIEWIĄTKO?

Biegłam jak wicher, wpadłam jak burza i zatrzymałam się dopiero przed biurkiem, za którym siedział dobrze mi znany z poprzedniej awantury w hotelu sierżant. Myślałam, że na mój widok wprawi w ruch cały aparat służby śledczej, a on tymczasem sięgnął po szklankę z piwem.

215

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Nie namyślając się wiele, zawołałam:

— Ścigajcie przestępców!

Pociągnął łyk i wyrozumiale pokiwał głową.

— Znowu chcesz nas nabrać!

— Słowo honoru! — zawołałam zrozpaczona. — Ukradli teczkę profesora.

; Sierżant otarł z warg pianę.

— Spokojnie, spokojnie, moja mała! Czy ci się coś znowu nie przyśniło? Wtedy mówiłaś o kapeluszu, a teraz znowu o jakiejś teczce.

— Bo ukradli teczkę — jęknęłam. — A na teczce był napis: „Kapelusz pełen deszczu”.

Sierżant spojrzał na mnie, jakbym miała na głowie gniazdo bocianie.

— Uspokój się! — powiedział. — Jaki kapelusz? Dlaczego pełen deszczu? Ty coś chyba fantazjujesz.

— Nie! — wrzasnęłam. — Nie chodzi o kapelusz, tylko o teczkę, która miała napis...

— Jaką teczkę? — niecierpliwił się sierżant.

— Przecież mówiłam... profesora... tę, która była w futerale od wiolonczeli.

— Jakim futerale? Od jakiej wiolonczeli? — Naraz uderzył dłonią w biurko i powiedział ostro: — Moja mała, nie zawracaj mi głowy, mam ważniejsze sprawy do załatwienia. — To powiedziawszy, nalał do szklanki piwa.

Ręce mi opadły. Tam obcy przybysz wali z teczką w niewiadomym kierunku, a tu sierżant milicji popija sobie piwo. Ogarnęła mnie złość. Zaczęłam tupać i krzyczeć:

— Ukradli ważne dokumenty! Cała szajka bimba sobie z pana, a pan popija piwo. Na własne oczy widziałam dwóch Gogusiów, a pan nawet palcem nie ruszy...

216

Sierżant wstał, podszedł do mnie i położył mi rękę na czole.

— Uspokój się, moje dziecko!

— Nie jestem pana dzieckiem...

— Pewno byłaś wczoraj na tym sensacyjnym filmie w „Jutrzence”.

— Nie byłam na filmie! Mówię prawdę, a pan...

W tym momencie uchyliły się boczne drzwi, a w drzwiach ukazał się cywil.

— Co się tu dzieje, sierżancie? — zapytał, patrząc na mnie.

Sierżant wyprężył się służbowo.

— Kapitanie, ta mała opowiada jakieś niestworzone rzeczy. Ona już drugi raz usiłuje wprowadzić w błąd...

— Nie usiłuję — przerwałam gwałtownie. — Na własne oczy widziałam, jak ukradli teczkę profesora!

Kapitan jednym susem był już przy mnie. Złapał mnie za ramiona, spojrzał mi prosto w oczy.

— Teczke profesora Barabasza, tego, co mieszka w willi za campingiem? — zapytał.

— Tak! — zawołałam. — Widziałam na własne oczy, jak Goguś dawał ją przybyszowi ze Szwecji.

Kapitan aż syknął z wrażenia.

— Mów dokładnie, co widziałaś. Mnie właśnie w tej sprawie przysłano z Komendy Powiatowej.

Nareszcie mogłam wszystko spokojnie opowiedzieć. Gdy skończyłam, kapitan w cywilu podziękował mi i w jednej chwili postawił cały posterunek na nogi. Jednego wywiadowcę posłał do hotelu, jednego na ulicę Plażową, a sam wziął mnie za rękę i oznajmił:

— Idziemy do domu ogrodnika! Może ten drugi sobowtór jeszcze nie wyjechał.

217

Sierżant osłupiał. Wybąkał ni w pięć, ni w dziewięć:

— Ba, gdybym wcześniej wiedział...

Otóż to! Przecież już w hotelu mógłby capnać Gogusia. Ba, ale kto mógł się wtedy domyślać, że Goguś ma sobowtóra?

Zostawiliśmy sierżanta i poszliśmy do domu ogrodnika. Nareszcie szłam z prawdziwym oficerem służby śledczej, który nikogo nie udawał, tylko był tym, kim być powinien!

Furtkę otworzyła nam jędzowata babulina w czarnej chustce na głowie. Była wystraszona. Oświadczyła, że ogrodnika nie ma w domu i jarzyn też nie ma, jakby je nagle zżarły gąsienice. Początkowo w ogóle nie chciała otworzyć, bo nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Potem zrobiła świętoszkowatą minę i wpuściła nas do ogrodu.

A w ogrodzie było zupełnie tak samo jak dawniej; tylko jeszcze bardziej tajemniczo. Oficer nie zastanawiał się nad tym. Miał co innego do roboty. A właściwie nic nie miał... bo, gdy stanęliśmy przed szopą, już z daleka można było stwierdzić, że drugi Goguś ulotnił się, zanim przyszliśmy tutaj.

Brama szopy stała szeroko otwarta, a w szopie nie było już mercedesa, tylko żałosna pustka.

— Zwiął — szepnęłam do siebie.

— Zwiął— odpowiedział jak echo oficer.

Weszliśmy do szopy, a potem na schodki i na poddasze. Było zupełnie cicho i pusto. I wszystko na swoim dawnym miejscu, jakby tu nikt nie mieszkał. Okno zasłonięte papierem, pod oknem polowe łóżko nakryte kocem, obok stara szafa, krzesło, stolik. Na stoliku czysta serwetka, wazonik z kwiatami. A w powietrzu brzęczała złotawa muszka i... Może dlatego było jeszcze bardziej tajemniczo.

218

Oficer zbliżył się do szafy, otworzył ją jednym szarpnięciem. Drzwi zaskrzypiały żałośnie, a mnie jakby coś schwyciło za gardło... bo oto w pustej szafie, w samym kącie, leżał jasnobeżowy kapelusz z popeliny. Myślałam, że to zjawą albo fatamorgana. Ktoś dmuchnie, ktoś powie jedno niepotrzebne słowo i kapelusz rozplynie się w powietrzu.

Podeszłam na palcach, schyliłam się i podniosłam go delikatnie z dna szafy. Był... był prawdziwy, rzeczywisty, namacalny. Trzymałam go w dłoniach, jak ptaka, który za chwilę wyfrunie, potem odwróciłam ostrożnie... Spod jasnej, skórzanej opaski wyglądał skrawek zadrukowanego papieru... Gazeta, jak babcię kocham, a do tego „Życie Warszawy”!

— Jest! Jest! To już na pewno ten za sto tysięcy! Oficer spojrzał na mnie zdumiony.

— Co ty wygadujesz? Co ci się stało?

— Nic — rzuciłam pospiesznie. — Przepraszam pana, muszę walić do wiolonczelisty. — Zanim zdążył mnie zatrzymać, byłam już na dole, a w ręku mocno ścisnęłam najdroższy kapelusz świata.

s . . .

KAPELUSZ ZA PÓŁ MILIONA

Zatrzymałam się dopiero pod basztą. Zabrakło mi po prostu tchu. Stałam na chwilę z kapeluszem w ręku. Miałam już wejść do środka, gdy nagle w krzakach dało się słyszeć ciche pohukiwanie puszczyka.

Zawróciłam, by sprawdzić, co to tak pohukuje. Nagle wśród listowia ujrzałam łuszczący się nos Maćka.

— Co ty tu robisz?

r— Nie widzisz? Śledzę — odparł szeptem.

219

— Miałas śledzić obcego przybysza.

— Już nie trzeba! Capnęli go w hotelu.

— Więc kogo?

—; Panią Monikę. Ukryła się w baszcie.

— A kaleka?

— Kaleki nie widziałem.

— A pan Kolanko?

— Pan Kolanko jest na górze.

— To świetnie! — ucieszyłam się. — Ty śledź dalej, a ja idę do naszego wiolonczelisty. Jeżeli oszaleje z radości, to wal biegiem po pogotowie ratunkowe.

— Kapelusz! — wybąkał oszołomiony Maciek. Mignęłam mu przed nosem zdobyczą.

— Właśnie kapelusz i właśnie ten, którego wszyscy szukamy! Zgadnij, gdzie był? — Maciuś oczywiście nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Dodałam więc: — Wyobraź sobie, tam gdzie ja mówiłam! — zostawiłam zdumionego Maćka na posterunku, a sama sypnęłam się do baszty.

Na odgłos pukania pan Kolanko zawołał:

— Proszę nie pukać! Nikogo nie wpuszczam!

„Pewno gotuje fasolkę szparagową i nie chce, żeby mu przeszkadzano” — pomyślałam i krzyknęłam:

— To ja, Dziewiątka, mam dla pana ważną wiadomość!

Przyczłapał pod drzwi, odsunął zasuwę i pokazał w szparze swą okazałą łysinę. Zaraz jaśniej zrobiło się na schodach.

— To ty, moja droga? Odniosłaś teczkę? Zastałaś profesora?

Zrobiło mi się głupio i nieswojo. Zupełnie zapomniałam o teczce, a teraz wypadało przecież poinformować pana Kolankę, co się stało w tym czasie, gdy on gotował fasol-

220

kę. Pomyślałam jednak, że nie wypada go zbytnio denerwować. Sprawę teczki odłożyłam na sam koniec. Niech się biedaczek ucieszy wpierw kapeluszem.

Załatwione — powiedziałam. — Ale mam dla pana jeszcze jedną niespodziankę.

— Co się stało, moja droga? Co się stało? — powtórzył przecierając okulary. Wtedy dygnęłam przed nim.

— Proszę zamknąć oczy!

Co ty ze mną, dziewczyno, wyprawiasz! — zawołał zakłopotany.

— Proszę zamknąć oczy i nic nie mówić.

Przymknął oczy. Wyglądał jak stary mandaryn chiński na obrazku. Ja zaś wspierałam się na palce i jego piękną łysinę nakryłam kapeluszem.

Jeszcze chwilę stał z zamkniętymi oczami, a gdy je otworzył, zdarł z głowy kapelusz, odsunął go od siebie, przyjrzał się bacznie, a potem odwrócił i zajrzał do środka.

Tak! — zawołał. — To nareszcie mój kapelusz.

Spójrz, „Życie Warszawy”, tak jak ci mówiłem.

Odrzucił złożoną gazetę, odwrócił skórzaną wkładkę i nagle zbladł.

— To mój kapelusz — powtórzył — ale i tak wszystko na nic...

— Co na nic? — zapytałam.

— Wszystko — jęknął i osunął się na krzesło. Nie widziałam jeszcze nigdy tak zrozpaczonego człowieka. Zupełnie oklapnął, jakby życie z niego uszło.

— Ale dlaczego? — zawołałam przerażona.

Spojrzał na mnie nieprzytomnymi oczyma i uśmiechnął się żałośnie.

— Lepiej nie pytaj, moja droga!

[— Obiecał pan, że w środę wyjaśni mi wszystko.

221

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Ma, bo ja przez pana narobiłam takiego bigosu, że całe Nieborze się trzęsie.

Pan Kolanko uśmiechnął się boleśnie.

— Dziewiątko — westchnął — jestem najbardziej pe- I chowym człowiekiem! Miałem fortunę i

straciłem, a wszystko przez ten przeklęty kapelusz.

— Bardzo mi przykro — powiedziałam. — Chciałam panu pomóc. Wygrzebałam kapelusz spod ziemi, a pan nawet mi nie powie...

— Bo wstyd mi samego siebie.

— Ale dlaczego wszystko stracone? — zawołałam.

— Bo nie ma karteczki, którą schowałem pod skórzany otok.

— Jakiej karteczki?

— Właśnie — pokiwał posępnie głową. — Powiem, . skoro ci przyrzekłem. Tylko, błagam, nie śmiej się ze mnie. Był to po prostu kupon Totolotka z sześcioma trafieniami. Gdybym miał tę karteczkę, otrzymałbym około

pięciuset tysięcy.

— Pięćset tysięcy! — wyszeptałam. Nagle wszystko zawirowało mi w głowie. — Pięćset tysięcy — powtórzyłam — a pan chowa kupon do kapelusza.

— Wybacz, taki miałem zwyczaj. Zawsze kupony Totolotka chowałem za skórzany otok w kapeluszu, bo żona gniewała się, że niepotrzebnie wydaję pieniądze.

— Masz babo placek! A skąd pan wie, że miał pan sześć trafnych?

— Wiem, moja droga, numery zawsze zapisywałem w notesie. Jeżeli mi nie wierzysz, to proszę bardzo. — Sięgnął do kieszeni, wyciągnął stary, zniszczony notes. — Patrz! Tu masz zapisane numery, które wpisałem, a tu wy-

222

ciniek z gazety. Wszystko się zgadza jak ulał. Sześć trafnych. Pięćset tysięcy. Czy ty wiesz, co to znaczy dla biednego wiolonczelisty?

— Domyślam się — wyszeptałam.

— A zresztą gwizdź na te pięćset tysięcy. Pieniądze — to jeszcze nie wszystko — uderzył dłonią w stół, aż ron-delki zadźwięczały i z ręki wypadł mu notes. Potoczył się pod moje nogi, a gdy zatrzymał się, pomiędzy kartek wysunął się kupon.

Pan Kolanko spoglądał chwilę z niedowierzaniem. Naraz rzucił się na kolana i podniósł kartkę z

podłogi.

— Jest! — zawołał głosem podobnym do ryku bawołu. — Był w notesie, a ja, głupi, myślałem, że w kapeluszu. — Zerwał się i odtńczył przede mną taniec zwycięstwa, — Jest! — pokrzykiwał. — Sto razy przeglądałem notes i nie zauważyłem. Dziewiątko, jestem uratowany! Dzisiaj środa, ostatni dzień zgłoszeń. Gdybym dzisiaj nie zgłosił wygranej, wszystko by przepadło. Dziewięteczko, przyniosłaś mi szczęście! I ogromnie cię przepraszam. Gdybym dokładniej przetrząsnął notes, to uniknęlibyśmy tych wszystkich perypetii...

— Tak — powiedziałam — ale cała historia nie byłaby tak ciekawa. — Złapałam go za ręce i razem odtńczyliśmy dziki taniec indiański na cześć dobrych bóstw, które w ostatniej chwili zlitowały się nad pechowym wiolonczelistą.

Po kilku dniach

PRZYJĘCIE U PANA KOLANKI

i rzez kilka następnych dni nic się właściwie nie działo. Trwało tylko śledztwo w sprawie niebieskiej teczki profesora. Kapitan służby śledczej wypytywał każdego z osobna: „Co? Gdzie? Kiedy? Dlaczego?” Wyśpiewałam wszystko jak na spowiedzi, Maciek też wyśpiewał i na tyrry się skończyło. Wiedzieliśmy więc tyle samo, co przed rozpoczęciem śledztwa.

Tymczasem ustaliła się pogoda. Niż znad Skandynawii przesunął się daleko na wschód, pan Wicherek z Telewizji miał coraz weselszą minę i zapowiadał same wyże, a my umieraliśmy z ciekawości.

x W poniedziałek spotkałam w „Jantarze” pana Kolanke, a wiolonczelista zaprosił nas na pożegnalne przyjęcie. Myślałam, że pan Kolanko zmieni się nie do poznania, że człowiek, który wygrał pięćset tysięcy, wygląda zupełnie inaczej. Tymczasem był taki sam jak przedtem, nawet może trochę bardziej zakłopotany.

— Przyjdźcie do mnie po południu — powiedział przecierając okulary — zrobimy małą ucztę na cześć profesora. i — I na cześć pana pół miliona — dorzuciłam.

Machnął tylko ręką.

— O tym szkoda mówić. Sam nie wiem, co będę robił

z tymi pieniędzmi. 224

— Niech się pan nie martwi — pocieszyłam go. — Pana żona na pewno sobie poradzi.

— Tak, tak — pokiwał głową. — Teraz będzie wiedziała, chociaż gniewała się, gdy wypełniałem kupony.

— A co ze śledztwem? — zapytałam.

— Właśnie... idę na ostatnie przesłuchanie. Mam nadzieję, że po południu będę mógł wam wszystko

wyjaśnić.

Nie mogliśmy doczekać się wyznaczonej godziny. Gdyśmy się wreszcie doczekali, pobiegliśmy na ulicę Pasieczną.

Ciekawe — mur, ruiny, baszta nie były już tak tajemnicze jak przed tygodniem. Coś się zmieniło, coś minęło bezpowrotnie. Brakowało może kaleki na inwalidzkim wózku, może pani Moniki, aktorki, która nie była nigdy aktorką, i eleganckiego Gogusia z wygasłą fajką. Zdawało mi się, że po ich zniknięciu z zabytkowych murów wyprowadziły się wszystkie upiory i duchy, a mury zostały tylko murami.

I pan Kolanko został dobrodusznym panem Kolanka, mimo że wygrał pół miliona, bo gdy zapukaliśmy do jego drzwi, otworzył i zawołał uradowany:

— Jak to dobrze, żeście przyszli, moi mili! Właśnie bób już dochodzi. — Potem zwrócił się do mnie:

— Nareszcie będę mógł cię zaprosić na bób, którego wtedy nie zdążyliśmy zjeść.

Maciek trącił mnie łokciem.

— Ładna uczta! — szepnął rozczarowany.

Ale Maciek, jak zwykle, mylił się, bo wnet zobaczyliśmy pięknie zastawiony stół. Było wszystko, czego dusza zapagnie: czekoladowy tort, galaretka z porzeczek, wspaniałe rurki z kremem, znakomite czekoladki od Wedla, poziomki w śmietanie, a na kuchence gotowało się fantastyczne kakao. Prawdziwa uczta!

15 Kapelusz za 100 tysięcy

225

Przyznam się jednak, że najlepiej cieszyłam się bobem, bo wiedziałam, że pan Kolanko robi go specjalnie dla

mnie.

Sytuacja była dość zabawna. Pan Kolanko gotował bób, na stole czekały na nas rozmaite smakołyki, a my skwierczeliśmy z ciekawości, co wykazało śledztwo... Nikt nie miał odwagi o to zapytać. Wreszcie nie wytrzymałam:

— Ciekawa jestem, co też tam się wyjaśniło? Pan Kolanko podniósł pokrywkę i zajrzał do bobu.

— Zdaje mi się, że dochodzi...

— To świetnie, ale kto to na przykład był ten Szwed, który mówił po niemiecku?

Pan Kolanko zamieszał bób chochelką.

— Za chwilę będzie gotów.

— Wspaniale, ubóstwiam bób, ale umieram z ciekawości, czy złapali Gogusia?

Wiolonczelista sięgnął do solniczki.

— Trzeba jeszcze ciut, ciut dosolić.

Wtedy Maciek nie wytrzymał i palnął obcesowo:

— Bób bobem, a my czekamy na wynik śledztwa! Pan Kolanko spojrzał na Maćka.

— Czy to was interesuje?

— Jeszcze jak! — zawołaliśmy jak na komendę. — Po prostu nie możemy się doczekać.

Nasz milioner, a raczej półmilioner, przymrużył zabawnie oko.

— Niezwykle ciekawa sprawa.

— To się rozumie! — dodałam uradowana.

— Ciekawa i pouczająca. A swoją drogą — zwrócił się do mnie — to namąciłaś, Dziewiątko, namąciłaś.

— Nie miałam zamiaru mącić, chciałam tylko pomoc panu odszukać kapelusz.

226

— Powiedzmy, że chciałaś pomóc... — Naraz roześmiał się serdecznie. — Właściwie to dobrze, że namąciłaś. Dzięki tobie ja mam pół miliona, a profesor swoją bezcenną teczkę. Bo pomyślcie, gdyby Dziewiątka nie zaczęła śledzić Gogusia, to Gogusiowi udałooby się prawdopodobnie zwędzić profesorowi teczkę, a ja do końca życia myślałbym, że kupon Totolotka został w kapeluszu.

— Właśnie — wtrąciłam z przekąsem — a pan nie chce nam opowiedzieć, co wykazało śledztwo.

Pan Kolanko rozłożył ręce.

— Chcę, tylko nie wiem, od czego zacząć.

— Zaczniemy od początku — powiedział Maciek. Pan Kolanko przetarł okulary.

— Dobrze — rzekł z namysłem — zaczniemy od momentu, kiedy Goguś w „Jantarze” zamienił przypadkowo mój kapelusz.

PAN KOLANKO WNIOSKUJE

— Czy jest pan pewny, że przypadkowo? — zapytałam.

— Oczywiście, zupełnie przypadkowo. Należy tylko zastanowić się, który z dwóch Gogusiów zamienił kapelusz?

— Iw ogóle — wtrącił Maciek — trzeba ustalić, który Goguś był którym.

— O właśnie — skinął głową pan Kolanko. — Z tego coście mi opowiadali i co słyszałem na posterunku milicji, wnioskuję, że jeden' kierował robotą, a drugi raczej wykonywał rozkazy. Ten, który kierował robotą, mieszkał u ogrodnika nad garażem, ten zaś, który wykonywał jego rozkazy, ulokował się w hotelu, by mieć większą swobodę działania.

227

— A byli tak do siebie podobni, że trudno ich odróżnić — powiedziałam w zamyśleniu.

Pan Kolanko wywinął nad naszymi głowami ścierką.

— Jeżeli chcecie, żebym wam opowiedział, to na litość boską nie przerywajcie, bo nigdy nie dojdziemy do ładu!

— Przrzekam, że nawet nie pisnę! — zapewniłam.

— Otóż to, ani mru, mru, bo mi się wszystko pokiełba-si. A więc... kapelusz zamienił ten, który mieszkał w hotelu. Nazwijmy go Gogusiem pierwszym. I zamienił go najzupełniej przypadkowo. Ty zaś, Dziewiątko, spotkałaś na ulicy Żart Gogusia drugiego. Nic więc dziwnego, że drugi Goguś w tym momencie wyparł się i był niezmiernie zdumiony. Dopiero po spotkaniu z Gogusiem pierwszym doszli do wniosku, że należy postępować konsekwentnie i nadal nie przyznawać się do zamiany kapelusza. Nie przypuszczali, że istnieje Dziewiątko, która dobrze zalezie im za skórę.

— Właśnie — przerwałam. — I dlatego postanowili usunąć z kawiarni kapelusz, który zostawił Goguś pierwszy.

— Brawo! — zawołał pan Kolanko. — Dobrze to wywnioskowałaś. Goguś pierwszy zaszedł do „Jantaru” i bez trudu zabrał kapelusz z wieszaka. A potem zaniósł go do hotelu. To właśnie ten kapelusz, którym chciał mi zamydlić oczy...

— I który leżał w jego szafie, a ja go widziałam. Mieli już wtedy trzy kapelusze: dwa swoje i jeden pana.

— Tak — ciągnął pan Kolanko — mieli trzy kapelusze. I był jeszcze czwarty, profesora. Ten narobił najwięcej zamieszania, bo zjawił się zupełnie niespodziewanie. Gdy profesor powiedział mi o nim, byłem pewny, że to właśnie mój.

228

— Przepraszam — wtrącił Maciek — czy pan domyśla się, kto panu ukradł ten fałszywy kapelusz?

Pan Kolanko roześmiał się.

— Najciekawsze, że nikt go nie ukraść. Odnalazł się po kilku dniach w hotelu. Oddała mi go sprzątaczką...

— Rozumiem — wyszeptałam. — Ale ze mnie fujara! Teraz dopiero przypominam sobie, że nie zostawiłam go u pana, tylko zabrałam ze sobą.

— Oczywiście — podjął pan Kolanko. — Zabrałaś go, a pętem zostawiłaś w sali klubowej. Nie martw się, moja droga, w takim momencie każdy mógłby zapomnieć.

— Więc sprawa kapeluszy jest już właściwie wyjaśniona — powiedział Maciek. — Miał pan szczęście — zwrócił się do wiolonczelisty.

Nie dodaliśmy już ani słowa, tylko zabraliśmy się do bobu, który pan Kolanko podał nam na talerzykach. Bób był fantastyczny, lecz nie jadłam go dużo, bo chciałam zostawić miejsce na inne przysmaki.

Przy bobie zaczynałam nieśmiało:

— Sprawa kapeluszy jest już wyjaśniona, pozostaje jeszcze sprawa niebieskiej teczki...

W tym momencie na dole odezwał się donośny głos:

— Panie Walery, jest pan tam? To znakomity brodacze wołał spod okna.

OPOWIADANIE PROFESORA BARABASZA

Zanim rudobrody profesor zaczął nam opowiadać o sprawie niebieskiej teczki, zjadł trzy porcje porzeczkowej galaretki. Nic dziwnego, musiał posilić się przed opowiadaniem.

229

— Moi drodzy — zaczął wesoło — nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Przeżyłem ciężkie chwile, kiedy dowiedziałem się o porwaniu teczki... No, ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło, a przy sposobności nakryliśmy szajkę aferzystów.

— To ja z Maćkiem nakryłam — wyrwało mi się nieopatrznie.

— Tak, tak — profesor pogroził mi żartobliwie. — A jednak należałoby ci się kilka dobrych klapsów. Kto oddał teczkę złodziejowi?

— Ja — odparłam — bo myślałam...

— Dobrze, dobrze — przerwał mi profesor. — Zapomnijmy o tym. Grunt, że teczka nie popłynęła do Szwecji.

— Do Szwecji? — westchnął Maciek.

— Tak, do Szwecji — ciągnął profesor skubiąc rudą brodę. — Ale zacznijmy od początku. W niebieskiej teczce były wyniki mojej długoletniej pracy. Od lat bowiem pracowałem nad wynalezieniem syntetycznej masy plastycznej, która byłaby twardsza od najtwardszej stali. Po kilku latach pracy udało mi się wreszcie stworzyć taką masę plastyczną. Pracę tę prowadziłem pod kryptonimem: „Kapelusz pełen deszczu...”

— Dlaczego właśnie... kapelusz pełen deszczu? — zapytałam.

— Byłem raz na sztuce teatralnej pod tym tytułem. Tytuł spodobał mi się, więc użyłem go jako kryptonimu.

— Już teraz rozumiem — zawołałam. — Już wiem, dlaczego w depeszy do Gogusia znalazł się „kapelusz pełen deszczu”. A potem ten sam „kapelusz” był w depeszy do pani Płoszańskiej.

— Chwileczkę — przerwał mi profesor. — To nie ta-

23Q

kie proste. Najpierw trzeba zrozumieć, skąd się wzięła depesza. Wy tłumaczył mi to oficer milicji, który prowadził śledztwo. Otóż w moim instytucie, gdzie przeprowadzałem doświadczenia, pracował pewien laborant, niejaki Gabrysiak. Ów Gabrysiak spiknął się z parą genialnych aferzystów, sobowtórów...

— Z Gogusiami — wyszeptał Maciek.

— Wy ich nazywacie Gogusie, lecz oni występowali pod wspólnym sfalszowanym imieniem i nazwiskiem Wiesław Kardasiewicz, mieli identyczne dowody osobiste, byli do siebie tak podobni i działali tak sprytnie, że do tej pory milicja nie mogła ich nakryć.

— Dopiero myśmy ich zdemaskowali — wyrwał się Maciek.

— Mielicie szczęście — uśmiechnął się profesor — i pomógł wam nieszczęsny kapelusz pana Waleriana. Ale wróćmy do sprawy teczki. Otóż Gabrysiak spiknął się z Kardasiewiczami i powiedział im o moim wynalazku. Oni natomiast spiknęli się z pewnym niemieckim aferzystą zamieszkałym w Szwecji i razem z nim planowali wykradzenie mojej teczki, wywiezienie jej za granicę i sprzedanie wynalazku zagranicznym przemysłowcom.

— Łotry — syknął Maciek. — Przecież taki genialny wynalazek potrzebny jest w Polsce.

— Łotry — powtórzył pan Kolanko — i sprzedawczyki, chcieli okraść nasz kraj.

— Tak — podjął profesor. — Centralę mieli w Warszawie. Dlatego „Szwed” zawiadomił Gabrysiaka, kiedy przyjeżdża wycieczka, a Gabrysiak zadepeszcował do Kardasiewiczów. Pełna treść depeszy brzmiała: „Spektakl zaczyna się siódmego bm — Kapelusz pełen deszczu — Marabut”.

231

— Już teraz rozumiem! — zawołałam. — To znaczy, że siódmego miał obcy aferzysta przyjechać z wycieczką p0 teczkę. Ale co miało oznaczać — marabut?

— To ich umówione hasło. Wszystkie depesze podpisywali w ten sposób.

— Dobrze — zastanowiłam się — lecz dlaczego kaleka poszukiwał w krzyżówce ptaka, który zaczyna się na „m”, a kończy na „t” i ma siedem liter, jednym słowem — ma- ' rabuta?

Profesor szarpnął gwałtownie brodę.

— Moja droga, za dużo ode mnie wymagasz. Nie jestem wszechwiedzący. Nawet oficer śledczy głowił się nad tym i nie mógł rozwiązać zagadki. Domyśla się tylko. Prawdopodobnie rozwiązywanie krzyżówek było hobby kaleki, a marabut znalazł się przypadkowo wśród innych rubryk. Licho go wie. W każdym bądź razie kaleka oraz jego współniczka, pani Płoszańska, zupełnie nieprzypadkowo znaleźli się w Nieborzu. Była to zgrana para aferzystów i oszustów.

— Pewno współdziałali z Kardasiewiczami — wtrącił Maciek.

— Nie — powiedział profesor. — Działali odrębnie.

— To dlaczego pierwszy Kardasiewicz posyłał kwiaty pani Monice? — zapytałam zdziwiona.

— Dlaczego, dlaczego? — niecierpliwił się profesor. — Zaraz wam wytłumaczę. Ten z sobowtórów, którego nazwaliście Kardasiewiczem pierwszym, udawał światowca i kręcił się w hotelu dla odwrócenia uwagi. Posyłając kwiaty pani Monice nie wiedział, że ona ma coś wspólnego z kaleką, ba, nie śniło mu się, że razem z kaleką poluje na moją teczkę.

232

— Może spiknęli się z Gabrysiakiem i chcieli okpić Kardasiewiczów? — zapytałam.

— Nie, moja droga. Działali zupełnie odrębnie. W śledztwie wyszło na jaw, że ów kaleka, który nazywa się Stop-czyk, z wykształcenia jest chemikiem...

— Oczywiście! — zawołałam. — Miał u siebie mnóstwo książek z dziedziny chemii...

Profesor syknął zniecierpliwiony:

— Moja droga, czy ty dasz mi dojść do słowa? Chcesz wszystko od razu wiedzieć. A więc ów Stopczyk dowiedział się od jednego z moich współpracowników, że kończę pracę nad moim wynalazkiem. Postanowił wykraść niebieską teczkę i przywłaszczyć sobie mój wynalazek. Jest to człowiek, który ma już na swoim sumieniu niejedną aferę i kilka lat przesiedział w więzieniach. Teraz zrozumiał, że ma ogromną szansę wzbogacenia się. Jako part-

i

233

nerkę dobrał sobie równie sprytną, jak on, aferzystkę. Przyjechał za mną do Nieborza, zagrał wygodną w tym wypadku rolę nieszczęśliwego paralityka i zaczął mnie śledzić...

W tym miejscu nie wytrzymałam.

— Wszystko gra — wtrąciłam — lecz dlaczego w takim razie skumali się z Gogusiem?

— To proste — wyjaśnił profesor. — Po pewnym czasie zrozumieli, że wytworny pan spod numeru trzydziestego dziewiątego ma te same zamiary co oni.

— Kiedy na to wpadli? — zapytał Maciek.

— Przypuszczam, że wtedy, kiedy przyszlismy z panem Kolanka do hotelu i zrobiliśmy tę niedorzeczną awanturę. Od tego czasu działali niby wspólnie, lecz Kardasiewiczze chcieli ich przechytrzyć. Gdy jeden z nich dowiedział się od ciebie, moja droga Dziewiątko, że teczka leży w futerale u pana Kolanki, najpierw chciał włamać się do mieszkania, a gdy pan Kolanko go spłoszył, posłał ciebie...

— A ja uwierzyłem — westchnął pan Kolanko i swoim zwyczajem zaczął przecierać okulary. Naraz zerwał się i pobiegł do kuchenki. — My wyjaśniamy, a tu kakao by się przypaliło. Proponuję, byśmy siedli do stołu.

Zaczęliśmy od kakao i rurek z kremem. Były pyszne i miały jeszcze jedną zaletę: gdy się je jadło, zaraz rozjaśniało się w głowie. Nareszcie rozumiałam wiele rzeczy, których do tej pory nie mogłam pojąć.

Przed wszystkim zaczęłam rozróżniać Gogusiów. Wiedziałam, gdzie, kiedy którego spotkałam. Pierwszy był zawsze elegancki i wytworny; drugi nieco szorstki i przeważnie zdziwiony. Pierwszy posyłał kwiaty pani Monice, drugi za chwilę wychodził z domu ogrodnika i zaczynał się

dziwić. i

234

Ułożyłam sobie w głowie małą drabinkę, na której umieściłam obu.

Goguś I

G o g u ś II

Kupuje kosz kwiatów dla pani

Moniki.

Przychodzi pod willę profesora

z panią Moniką.

Gra z mamą w brydża.

Zbliża się do baszty wraz z kaleką i panią Moniką. Popija kawę na tarasie hotelu.

Wita wycieczkę, a potem wysyła mnie do pana Kolanki. Konferuje ze „Szwedem”.

Stara się dostać do willi profesora.

Czeka na mnie w krzakach i pyta o niebieską teczkę. Skacze przez okno i daje się spłoszyć.

Przed chwilą myszkuje w mieszkaniu kaleki. Siedzi na poddaszu, a gdy wchodzę, czaruje mnie, że jest oficerem śledczym. Stara się włamać do mieszkania pana Kolanki.

Czeka na mnie na wydmach i zabiera mi teczkę.

Wreszcie razem spotykają się w szopie.

Po kilku rurkach z kremem prawie zupełnie rozjaśniło mi się w głowie. Wypadało jednak wyjaśnić wszystko do końca. Przy torcie zapytałam więc pana profesora:

— Bardzo przepraszam, zdaje mi się, że pan profesor był jednak trochę nieostrożny.

— Ja? — zdziwił się. — A skąd mogłem wiedzieć, że jakieś łotry chcą mi wykraść teczkę?

— Przecież ostrzegałam pana...

— Moja droga — przerwał mi — przyznasz, że zachowywałaś się nieco dziwnie. Najpierw siedziałaś na drzewie, a potem plotłaś niestworzone brednie.

— Chciałam panu dać do zrozumienia...

235

— Tak, tak — zmrużył porozumiewawczo oko. — Posądzałaś mnie o kradzież kapelusza, a teraz dziwisz się, że potraktowałem cię nieco pobłażliwie... Zresztą niezupełnie, bo jeśli sobie przypominasz, zaraz po twoim ostrzeżeniu poprosiłem pana Walerego, by przechował u siebie moją teczkę.

— W futerale od wiolonczeli — wtrącił Maciek.

— Tak — potwierdził profesor — a potem, gdy złapałem tego łotra na gorącym uczynku...

— Wcale go pan profesor nie złapał — zaznaczyłam. — Bo gdyby go pan profesor złapał, to później, w hotelu, nie dałby się pan profesor tak okpić.

— Miał alibi — powiedział pan Kolanko. — Nikt z nas nie wiedział wtedy, że jest dwóch Kardasiewiczów.

Profesor roześmiał się.

— To była naprawdę zabawna historia. Zupełnie zba-raniałem. Myślałem, że widząc wyskakującego z mojego okna człowieka, doznałem zamroczenia albo coś mi się przywidziało. Potem jednak cała sprawa, wydała mi się podejrzana, dlatego zawiadomiłem Komendę Powiatową MO.

— I dlatego — dodał pan Kolanko — uwierzyłem Dziewiątce, gdy przyszła i powiedziała, że mam odnieść teczkę...

— To jasne — odezwał się Maciek. — Ciekaw jestem jednak, co się stało z przestępcami?

— Siedzą! — huknął profesor. — Wszystkich wyłapali już w pierwszym dniu. Nie spodziewali się, że dwóch małych detektywów pokrzyżuje im plany. Pierwszego ujęli przybysza ze Szwecji z moją teczką. Nakryli go w hotelu, a teczkę znaleźli ukrytą pod podwójnym dnem w walizce.

236

Prawie jednocześnie aresztowali kalekę. Ujęli go na skwerze, w tym samym miejscu, gdzie zostawiła go Dziewiątka.

— A Gogusiów? — zapytałam.

— Z nimi było trochę trudniej. Obaj mieli zamiar zwać samochodem. Ten pierwszy, który mieszkał w hotelu, już rano spakował swoje manatki i zaniósł je do ogrodnika. Czuli, że grunt pali im się pod nogami. Zaryzykowali. Myśleli, że oddadzą teczkę cudzoziemcowi, nikt się o tym nie dowie, a sami dyskretnie ulotnią się samochodem. Tymczasem ogłoszono alarm milicji drogowej i patrol capnął ich pod Słupskiem.

— I już nie będę udawać jednego Kardasiewicza i ssać nie zapalonej fajki! — dokończyłam. .

SPIS TREŚCI

Sobota

Byłam szefem gangu..... 5

Spotkanie z ornitologiem..... 8

To nie mój kapelusz..... 13

Może pana duch był w „Jantarze”? ... 19

Przepraszam, jak się pan nazywa? ... 23

Ptaszek na siedem liter..... 33

Goguś odbiera depeszę.....	38
„Kapelusz pełen deszczu”.....	41
Niedziela	
Kwiaty dla pani Moniki.....	48
Goguś dostaje kosza.....*	52
Uwaga, zły pies!.....	56
Wilk morski.....	61
Smok, nie węgorz, mój panie!.....	63
Kto zdmuchnął drugi «kapelusz?	69
Sensacja za sensacją	73
Tajemnicza baszta.....	77
To dopiero heca!.....	82
Wyprawa na trzecie piętro.....	87
Kapelusz w szafie.....	89
Ratuj, Dziewiątko!.....	93
Poniedziałek	
Zaraz się przekonamy.....	100
Nie rób z tata wariata.....	103
Ruda foka w kapeluszu	106
Kto kogo śledzi.....	?8
Maciek przychodzi z nowymi sensacjami	111
Co widać z dębu.....4 ...	116
Mam kapelusz!.....	121
Nie powiem panu.....	129

Maciek odkrywa Amerykę.....	132
Co jest w tym pudle?.....	137
Czwarty do brydża.....	143
Teczka w futerale.....	147
Taki dzień, można zwariować!.....	149
Co za kompromitacja!.....	156
Wtorek	
Na plaży.....	163
Proszę nie załamywać się.....	167
List do pani Moniki.....	174
Kto zamieszkuje ruiny?.....	179
Duch w wyprasowanych spodniach . . .	182
Narada u kaleki.....	187
Kim jest Goguś?	192
Środa	
Najazd Szwedów.....	199
Przypalona kalarepka.....	205
Tego tylko brakowało!.....	209
Co ty pleciesz, Dziewiątko?.....	215
Kapelusz za pół miliona.....	219
Po kilku dniach	
Przyjęcie u pana Kolanki.....	224
Pan Kolanko wnioskuje.....	227
Opowiadanie profesora Barabasza . . .	229

